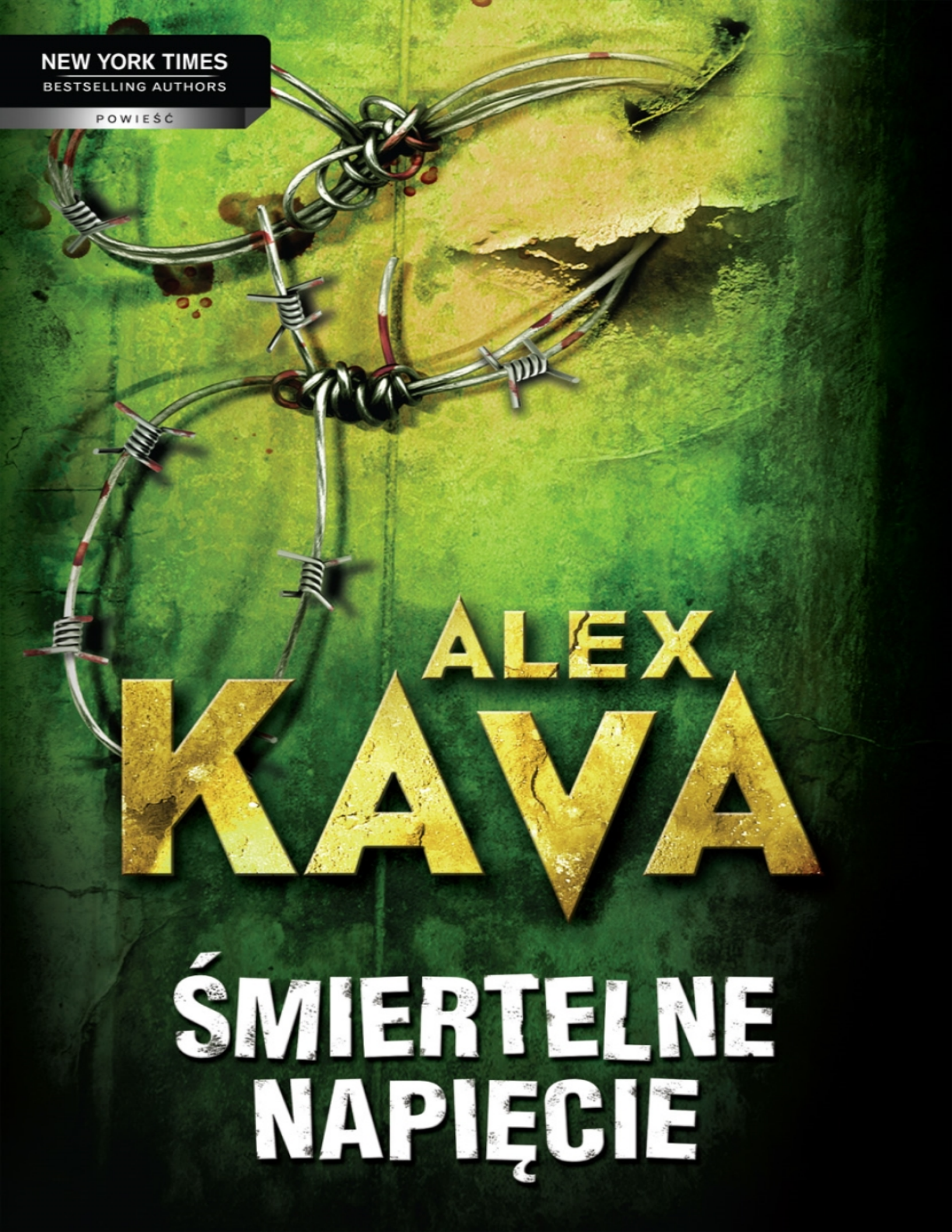
NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS
POWIEŚĆ
ALEX
KAVA
ŚMIERTELNE
NAPIĘCIE

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Alex Kava

Śmiertelne napięcie

Przełożyła
Katarzyna Ciążyńska

Dla Debory Groh Carlin
Skromnej czarodziejki

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czwartek, 7 października
Park Narodowy w Nebrasce
Halsey

Dawson Hayes spojrzał na ognisko i natychmiast rozpoznał tych cieniasów. To było wręcz zbyt proste.

Mógłby udawać, że posiada wewnętrzny superradar, który pozwala mu widzieć ludzi na wylot, ale prawda była taka, że ich dobrze znał, ponieważ... jak brzmi to stare powiedzenie? Pozna swój swego. Całkiem niedawno siedział w tej gromadce, zastanawiając się, czemu go zaprosili, i zlewał się potem pełen niepokoju, jaka jest cena dopuszczenia do ich grona.

Nie żałował ich. Nie musieli tutaj przyjeżdżać. Nikt ich tutaj na siłę nie ciągnął. W pewien sposób sami byli sobie winni. Zapłacili za to, że chcieli udawać kogoś innego.

Przyjęcie do klubu luzaków wymaga poświęcenia. Jeżeli sądzili, że jest inaczej, to naprawdę beznadziejni z nich frajerzy.

Dawson przynajmniej pogodził się z tym, kim jest. Zresztą tak naprawdę nie bardzo się tym przejmował. Lubił wyróżniać się spośród kolegów w klasie, czasami wręcz to podkreślał. Na przykład w futbolowe piątki, kiedy wszyscy wkładali ubrania w barwach szkoły, on ubierał się od stóp

do głów na czarno. Dzięki temu, że był takim palantem, dał się zauważyć, i nawet trener Hickman, który, nim Dawson w piątki zaczął ubierać się na czarno, nie raczył zapamiętać jego imienia, teraz na jego widok przewracał oczami.

Dotąd podczas apelu na początku roku szkolnego trener wrzeszczał:

– Dawson Hayes! – i teatralnie rozglądał się po całej sali, patrzył nad głową Dawsona, a nawet prosto w jego twarz.

Kiedy Dawson podnosił rękę, brwi trenera wystrzeliwały do góry, jakby za żadne skarby świata nie potrafił skojarzyć tak sympatycznego nazwiska z tą pryszczatą gębą i chudą kościstą ręką, która uniosła się z wahaniem. Dawson miał to gdzieś. Nareszcie zaczęli go dostrzegać i wcale go nie obchodziło, czemu to zawdzięczał.

Zdawał sobie sprawę, że wciąż go zapraszają na te ekskluzywne wyprawy do lasu, ponieważ Johnny Bosh lubił to, co Dawson przynosił ze sobą na imprezę. Tego wieczoru to coś omal mu nie wypaliło dziury w kieszeni kurtki. Starał się o tym nie myśleć. Usiłował wymazać z pamięci tę chwilę, kiedy to wyjął – tak, wyjął, pożyczył, nie ukradł – z kabury ojca, który przesypiał wolną od pracy noc. Zresztą pewnie nie miałby mu za złe, gdyby wiedział, że syn zadaje się z Johnnym B. Okej, to nieprawda. Ojciec byłby wkurzony. Ale przecież to właśnie on wciąż go zachęcał, żeby się z kimś zaprzyjaźnił i zajął się czymś, co zazwyczaj interesuje młodych ludzi. Innymi słowy, by dla odmiany zachowywał się jak normalny nastolatek.

Dawson z kolei uważał, że jest zbyt normalny, i w tym właśnie dostrzegał część swojego problemu. Nie przypominał gwiazdy sportu, jaką był Johnny B., ani żującego tabakę kowboja Lucasa. Nie był mądralą jak Kyle. Za to paralizator taser X-26 w lekkiej, jaskrawożółtej obudowie, który świetnie mieścił się w dłoni, dawał mu nową tożsamość i pewność siebie. Wystarczy, że wyceluje i wystrzeli, wysyłając ładunek elektryczny o mocy do 50 tysięcy wolt, i nagle bezbronny Dawson Hayes staje się człowiekiem pełnym mocy. Zdobywa nad wszystkim kontrolę. Dzięki temu cudowi techniki odnosił wrażenie, że jest zdolny do wszystkiego.

Okej, może nie chodziło tylko o tasera. Może w niewielkim stopniu zawdzięczał to też szałwii. Od jakichś piętnastu minut żuł ją i już czuł efekt. To była tylko jedna z głównych atrakcji wieczoru.

Zaczął szukać wzrokiem kamery ukrytej za niskimi gałęziami sosen. Chociaż była schowana, dostrzegł mrugającą zieloną lampkę. Wcześniej to on pomagał Johnny’emu ustawić kamerę w taki sposób, by gałęzie kamuflowały statyw. Nikt inny nie miał pojęcia o jej istnieniu. A więc stały etat palanta miał też swoje plusy.

Rozejrzał się po obozowisku, które urządzili w odludnym miejscu sosnowego lasu, gdzie najpewniej istniał zakaz rozpalania pieprzonych ognisk. Johnny B. powiedział, że nikt ich nie zobaczy ani z drogi, ani z wieży widokowej. Chociaż to bez znaczenia, bo i tak nikogo tam nie będzie. Z jednej strony za ogrodzeniem z drutu kolczastego była

otwarta przestrzeń, czyli porośnięte wysoką falującą trawą wzniesienie. Z drugiej strony zaczynał się las z rzędami sosen żółtych, natomiast jakieś dziesięć metrów dalej wiła się rzeka Dismal. Dawson słyszał cichy jak szept szum wody płynącej po kamienistym dnie.

Zostawili samochody na pustym poboczu jakieś czterysta metrów dalej, wygniatając kołami dwie wąskie ścieżki w sięgającej kolan trawie. Żeby dostać się do lasu, trzeba było przejść przez ogrodzenie z drutu kolczastego. To był dopiero pierwszy test, który musieli zdać tej nocy, ale Dawson uważał, że już na tej podstawie wiele można się było dowiedzieć. Sposób, w jaki jego koledzy manewrowali, żeby przedostać się przez kolczaste druty, pokazywał, jacy są zwinni i sprytni. Wiele mówiło o nich także to, czy pomagali innym pokonać ogrodzenie górą lub dołem, czy raczej czekali, aż im ktoś pomoże. Albo, co gorsza, otwarcie oczekiwali wsparcia.

To była kolejna cecha, która wyróżniała Dawsona spośród rówieśników. Lubił przyglądać się, jak ludzie reagują na innych ludzi, na otoczenie, a zwłaszcza na sytuacje, które ich zaskakują. Jego pokolenie to pokolenie bezmyślnych zombi, którzy się nawzajem naśladują. Uwikłani w pułapce swoich małych światów tu i teraz, nawet nie próbują nic zmienić. I chyba to właśnie najbardziej interesowało Dawsona w eksperymentach Johnny’ego.

Tej nocy było ich tylko siedmioro, a i tak trzymali się w podgrupach. Johnny’ego otaczały laski, Courtney i Amanda. Nawet Nikki dołączyła do tej kliki, co

rozczarowało Dawsona. A tak bardzo liczył, że okaże się mądrzejsza. Wszystkie trzy sprawiały wrażenie, jakby chłonęły każde słowo Johnny'ego, śmiały się głośno i odrzucały do tyłu włosy, a potem przekrzywiały na bok głowy, jak to robią dziewczyny, kiedy chcą okazać zainteresowanie.

No i dobrze. Johnny pokazywał, że to jego fanklub, jego impreza, i nieźle mu to szło. Ten rozgrywający drużyny, ten król balu był czarujący, choć do pewnych granic, to znaczy gdy nikt nie wchodził mu w paradę. Bezpieczniej było być kumplem Johnny'ego niż kimś, kto budzi w nim irytację.

Dawson nie wiedział dokładnie, po co Johnny'emu taser. Zresztą nie musiał tego wiedzieć. Johnny budził zaufanie nawet w tych idiotycznych kowbojskich butach. Dzieciaki wołały na niego Johnny B., i była to najfajniejsza ksywka. Dawson słyszał nawet, jak podczas jednego z meczów pan Bosh zawołał:

– Johnny B., daj czadu! – a potem się zaśmiał, jakby wcale się tego po synu nie spodziewał, i bynajmniej nie miał mu tego za złe.

Pierwszy błysk światła pojawił się bezgłośnie. Wszyscy się odwrócili, ale tylko na moment.

Drugiemu błyskowi towarzyszył trzask nad głowami. Dawson pomyślał, że to błyskawica, ale błysk rozmył się i zamienił w niebieskie i fioletowe linie, które rozciągnęły się nad wierzchołkami drzew jak pęknięcia na zmierzchającym niebie.

Uszu Dawsona dobiegły ochy i achy. Uśmiechnął się pod nosem. Odlatywali, podobały im się te fajerwerki. On pewnie też odlatywał.

Nigdy wcześniej nie brał szałwii, ale Johnny B. stwierdził, że jest lepsza niż wszystko, co można znaleźć w domowej apteczce, i o wiele silniejsza niż normalna szałwia.

– Jest jak rockandrollowe fajerwerki – przekonywał – które ściskają twój mózg, aż ci się zdaje, że możesz latać.

Dawson uznał, że ziółko wygląda niegroźnie. Zielone, w kolorze szałwii lekarskiej, o szerokich liściach, przypominało roślinę, którą widział na grządce uprawianej przez mamę. Boże, jak on za nią tęsknił. Zwinął znów parę listków i włożył między zęby i policzek jak tabakę do żucia. Goryczka rośliny już nie wykrzywiała mu ust.

Johnny nazywał tę roślinę Sally-D i powiedział im, że Indianie stosują ją jako lekarstwo.

– Oczyszcza zatoki i jelita, łagodzi bóle rozmaitego rodzaju i usuwa zakłócenia w czynności elektrycznej mózgu – mówił z entuzjazmem.

Co prawda z równym entuzjazmem wypowiadał się tydzień wcześniej, kiedy kazał im wszystkim wciągać oxycoxin, który rozgniótł na maleńkie kawałki. Udało mu się ukraść z apteczki matki tylko dwie tabletki, więc efekt – po pokruszeniu tabletek i podzieleniu między dwunastkę dzieciaków – nie spełnił obietnic Johnny’ego. Jednak wcale się tym nie przejął, tylko znów przemawiał jak facet z reklamy, czarował ich i skłonił do wypróbowania nowego

narkotyku, w nadziei że poczują się świetnie i będą supergośćmi.

Niecałą minutę po wzięciu do ust drugiej porcji szałwii Dawsonowi zakręciło się w głowie, a miły, pobudzający szumek odseparował go od pozostałych. Patrzył na nich, jak się potykają i ze śmiechem wskazują na niebo. Zupełnie jakby poruszali się w zwolnionym tempie na odległej galaktyce, a on obserwował ich z okna swojej sypialni.

U podstawy jego czaszki rozlegało się niskie rytmiczne dudnienie. Gałęzie drzew zaczęły się kołysać. Nagle zrobiło się tych drzew dwa razy, a może nawet trzy razy więcej.

W tym właśnie momencie Dawson ujrzał czerwone oczy.

Kryły się w krzakach, za plecami Kyle’a i Lucasa, tuż za Amandą.

Ogniście czerwone oczy, które patrzyły to w tę, to w tamtą stronę.

Jak to możliwe, że pozostali ich nie widzą?

Otworzył usta, by ich ostrzec, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Uniósł rękę, by wskazać w tamtą stronę, ale to była jakaś obca ręka, żółto-zielona, niemal fluorescencyjna w migającym stroboskopowym świetle, które pojawiało się nad wierzchołkami drzew. Fale fioletu i błękitu z dziwnym trzaskiem przezierały przez gałęzie.

Wtedy Dawson po raz pierwszy poczuł zapach spalenizny i gorąco. Jakby ktoś na długi czas zostawił włączone żelazko. Nagle ten zapach nabrał mocy, przypominał mu spalone w ognisku hot dogi – czarne, chrupiące, spalone

mięso. Potem przypomniał sobie, że nie przywieźli ze sobą żadnego jedzenia.

Zaczęło się od dreszczy czy mrowienia. Strumień ładunków elektrycznych płynął na falach eteru. Pozostali także to poczuli. Przestali już wzdychać z podziwu. Potykając się, z uniesionymi głowami przeszukiwali wzrokiem wierzchołki drzew.

Dawson przeniósł spojrzenie na krzak, gdzie kryły się czerwone oczy. Jednak znikły.

Kręciło mu się w głowie. Coś w niej kliknęło, zupełnie jakby jego oczy działały jak obiektyw. Każde mrugnięcie było niczym otwarcie i zamknięcie migawki. Każde odbijało się echem w głowie. Rozszerzał nozdrza, wdychając powietrze, które paliło płuca. W gardle czuł metaliczny smak.

Następnemu błyskowi światła towarzyszyło skwierczenie, pozostawiając po sobie tren iskier.

Tym razem Dawson usłyszał okrzyki zdumienia. Krzyki bólu.

Nagle ogniście czerwone oczy wymknęły się zza krzaka, pędząc przez obozowisko prosto na Dawsona.

Uniósł rękę z taserem, wycelował i nacisnął spust.

Stworzenie cofnęło się, upadło jak długie na liście, a spośród sosnowych igieł wystrzeliły w górę lśniące gwiazdy. Dawson nie czekał, aż to coś poderwie się na nogi. Odwrócił się i zaczął biec, a przynajmniej jego nogi biegły. Miał wrażenie, jakby resztę ciała popychała naprzód, w las, jakaś inna siła o mocy większej niż jego nogi.

Jedyne, co mógł zrobić, to unieść ręce i chronić twarz przed gałęziami, które rwały ubranie i kaleczyły skórę. Nic nie widział. Walenie u podstawy czaszki zagłuszało wszystkie inne dźwięki. Za jego plecami wciąż pojawiały się palące jaskrawe rozbłyski. Przed nim była kompletna ciemność.

Kiedy rozpędzony na maksa wpadł na ogrodzenie z drutu kolczastego, raził go prąd. Potknął się i poczuł, że ma poranioną skórę, czuł się jak ryba złapana na tysiąc haczyków równocześnie. Ból przeszywał ciało, otaczał go i atakował ze wszelkich możliwych stron.

Kiedy Dawson Hayes ostatecznie upadł na ziemię, jego koszula była cała we krwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Osiem kilometrów dalej

– Nie ma śladów krwi? – Agentka specjalna FBI Maggie O’Dell starała się ukryć zmęczenie.

Irytowało ją, że nie jest w stanie dotrzymać mu kroku. W końcu była w niezłej formie, biegała, a jednak pokonywanie pofałdowanych piaszczystych wydm porośniętych wysoką trawą przypominało brnięcie przez wodę. Na domiar złego jej towarzysz był od niej o dobrych trzydzieści pięć centymetrów wyższy, a jego długie nogi przywykły do okolic Sandhills w stanie Nebraska.

Śledczy Patrolu Stanowego Donald Fergussen zwolnił i zaczekał na nią, jakby czytał w jej myślach. Kiedy się zatrzymał, Maggie uznała, że zrobił tak przez grzeczność, ale potem zobaczyła ogrodzenie z drutu kolczastego, które blokowało drogę. Fergussen cały czas zachowywał się jak dżentelmen, co drażniło Maggie. Podczas ostatnich dziesięciu lat, które spędziła w FBI, dyskretnie przekonywała swoich kolegów, by traktowali ją tak samo, jak traktowaliby mężczyznę na jej stanowisku.

– W życiu nie widziałem nic dziwniejszego – odparł w końcu, kiedy Maggie już prawie zapomniała, że zadała mu pytanie. Tak było przez całą drogę ze Scottsbluff. Nad każdym jej pytaniem najpierw poważnie się zastanawiał,

a potem dopiero odpowiadał. – Ale tak, nie ma śladów krwi. Ani kropelki. Za każdym razem tak jest.

Koniec wyjaśnień. To także było dla niego charakterystyczne. Był nie tylko małomówny, on ważył słowa i wypowiadał je tak, jakby stanowiły rzadki towar.

Machnął ręką w stronę ogrodzenia.

– Proszę uważać, może być pod napięciem. – Wskazał cienki, prawie niewidoczny drut, biegnący między palikami jakieś piętnaście centymetrów nad najwyższym z czterech oddzielnych pasm drutu kolczastego.

– Pod napięciem?

– Farmerzy czasami instalują tak zwanego pastucha elektrycznego.

– Myślałam, że to własność federalna.

– Park Narodowy od lat pięćdziesiątych dzierżawi ziemię farmerom. To korzystne dla obu stron. Farmerzy zyskują nowe pastwiska, a dodatkowy dochód dla państwa pozwala na ponowne zalesianie. Poza tym wypasanie zapobiega pożarom traw. – Mówił to wszystko bez przekonania, po prostu stwierdzał fakt, jakby czytał ogłoszenie lokalnej administracji. A równocześnie przyglądał się ogrodzeniu, wiodąc wzrokiem od palika do palika. Przeszedł kilka kroków wzdłuż drutów, wyciągając rękę w stronę Maggie, żeby się nie zbliżała.

– W dziewięćdziesiątym czwartym straciliśmy dwa tysiące hektarów. Błyskawica – powiedział, nadal patrząc na drut. – Zdumiewające, jak szybko ogień zżera tutaj trawę. Na szczęście spłonęło tylko osiemdziesiąt hektarów sosen.

Gdzie indziej to nie byłoby dużo, ale tutaj jest największy sadzony ludzką ręką las na świecie. Osiem tysięcy z trzydziestu sześciu tysięcy hektarów pokrywa las sosnowy, i to wbrew naturze.

Maggie obejrzała się za siebie. Jakieś półtora kilometra wcześniej dostrzegła wyraźną linię, gdzie piaszczyste wydmy, miejscami pokryte wysoką trawą, gwałtownie się kończyły i zaczynał się zielony sosnowy las. Po czterech godzinach jazdy samochodem, podczas której prawie nie widziała drzew, nagle zrozumiała, jaka to niezwykła sprawa, że istnieje tutaj ten park narodowy.

Fergussen znalazł coś na jednym z palików i przykucnął, żeby przyjrzeć się z bliska.

– Większość służb leśnych twierdzi, że ogień może się przysłużyć ziemi, ponieważ odmładza las – ciągnął, nie patrząc na Maggie. – Ale tutaj w miejsce zniszczonych drzew trzeba zasadzić nowe. To dlatego las ma swoją szkółkę.

Jak na małomównego człowieka bardzo się rozwinął, a może uważał, że przekazuje istotne informacje. Maggie to nie przeszkadzało. Fergussen miał niski, bogaty w odcienie i łagodny głos, który działał kojąco. Mógłby czytać „Wojnę i pokój”, a człowiek słuchałby go tak, żeby nie uronić ani jednego słowa.

Kiedy zostali sobie przedstawieni, nalegał, by zwracała się do niego Donny. Z trudem stłumiła śmiech. Takim imieniem mogłaby nazywać małego chłopca, a on miał ogorzałą męską twarz. Co prawda uśmiech, któremu

towarzyszyły dołeczki w policzkach, miał w sobie coś chłopięcego, ale zmarszczki wokół oczu i szpakowate włosy wskazywały na lata doświadczeń. Wystarczyło jednak, by zdjął kapelusz – tak jak w tej chwili, żeby stetson nie dotknął drutu – i sterczący do góry kosmyk na starannie zaczesanych włosach znów nadawał mu chłopięcy wygląd.

– Farmerzy nie znoszą ognia. – Donny przystanął i przyjrzał się drewnianemu palikowi. Przekrzywił głowę i wyciągnął szyję, by nie dotknąć palika ani drutu. – Farmerzy narzekają na sadzenie drzew. Nie rozumieją, po co niszczyć tak cenne pastwiska. – Wreszcie się wyprostował, włożył kapelusz i oznajmił: – Jesteśmy bezpieczni. Nie jest pod napięciem. – Mimo to na wszelki wypadek opuszkami palców lekko dotknął drutu, jak się sprawdza gorący palnik, żeby przekonać się, czy jest wyłączony. Usatysfakcjonowany chwycił dwa środkowe druty i rozchylił je, robiąc przejście dla Maggie.

– Pan pierwszy – powiedziała.

Musiała poczekać, aż z dżentelmena przeistoczy się w kolegę funkcjonariusza. Nie ukrył we wzroku konsternacji, całym sobą protestował, aż w końcu kiwnął głową i poprawił dwa górne druty, zamiast dwóch dolnych, żeby mógł przejść przez ten otwór.

Maggie przyglądała się bacznie, jak manewrował potężnym ciałem między drutami, nie musnąwszy ani jednego. Potem, naśladując jego ruchy, przedostała się na drugą stronę, wstrzymując oddech i krzywiąc się, gdy ostry drut zaczepił się o jej włosy.

Znalazłszy się po drugiej stronie ogrodzenia, ruszyli dalej przez wysoką po kolana trawę. Słońce zaczęło wpadać za horyzont, malując niebo wspaniałym fioletem i różem, które z wolna zamieniały się w granat zmierzchu. Na otwartej przestrzeni Maggie chciała się zatrzymać i podziwiać ten kalejdoskop barw. Przyłapała się na tym, że stara się zapamiętać detale, by później podzielić się nimi z Benjaminem Plattem. Już siebie słyszała, jak nawiązując do filmu, przekazuje swoje wrażenia związane z tym widokiem:

– Przypomnij sobie Johna Wayne’a w „Czerwonej Rzece”.

To była ich taka prywatna gra. Oboje kochali stare klasyczne filmy. W ciągu niespełna roku coś, co zaczęło się od relacji pacjentka-lekarz, rozwinęło się w przyjaźń. Szczerze mówiąc, ostatnio Maggie coraz częściej myślała o Benie.

Potknęła się na nierównej ziemi i zdała sobie sprawę, że trawa była coraz gęstsza i wyższa. Z trudem dotrzymywała Donny’emu kroku.

To był duży mężczyzna o szerokim karku i barach. Maggie odnosiła wrażenie, że pod zapiętą na guziki koszulą nosi kamizelkę kuloodporną, ale to nie była prawda. Koszula zakrywała tylko muskularne ciało. Miał chyba ze dwa metry wzrostu, a nawet więcej. Szedł lekko przygarbiony, zgięty w pasie, jakby walczył z wiatrem albo źle się czuł ze swoim wzrostem.

Maggie stwierdziła, że na jeden krok Donny’ego przypadają jej dwa kroki. W zapadających szybko

ciemnościach Donny wydawał się jeszcze wyższy niż w rzeczywistości. Pociła się, choć nagle zrobiło się zimno. Zachodzące słońce zabierało ze sobą całe ciepło, jakim cieszyli się w ciągu dnia. Żałowała, że zostawiła kurtkę w pikapie.

Na szczęście włożyła wygodne, płaskie buty. Była już kiedyś w Nebrasce, więc wiedziała, jak przygotować się do wyjazdu. Poprzednio odwiedziła położone na dalekim wschodzie okolice Omaha, jedynego wielkiego miasta tego stanu, które ciągnęło się wzdłuż nadrzecznej doliny. Tutaj, jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów od granicy Nebraski i Kolorado, krajobraz ją zaskoczył. Podczas podróży ze Scottsbluff prawie nie napotykali drzew, a jeszcze mniej miast. Wioski, przez które przejeżdżali, były tak małe, że tylko na chwilę zmniejszali prędkość.

Wcześniej Donny poinformował Maggie, że liczba sztuk bydła przewyższa w tym stanie liczbę mieszkańców, co z początku uznała za żart.

– Nigdy wcześniej tu pani nie była – raczej stwierdził, niż spytał. Mówił uprzejmie, lecz bez obronnych tonów, gdy zauważył jej sceptyczną minę.

– Kilka razy byłam w Omaha – odparła, natychmiast widząc po jego uśmiechu, że zabrzmiało to tak, jakby na pytanie, czy widziała Little Bighorn, odparła, że była w Smithsonian.

– Żeby przejechać Nebraskę od granicy do granicy, trzeba dziewięciu godzin – rzekł. – Mieszka tu milion siedemset

tysięcy osób. Jakiś milion zamieszkuje Omaha oraz tereny w promieniu osiemdziesięciu kilometrów.

I znów jego głos skojarzył się Maggie z głosem kowboja poety. Wcale nie miała mu za złe tej lekcji geografii.

– Z całym szacunkiem, postaram się to przedstawić w jasny dla pani sposób. – Zerknął na Maggie, dając jej szansę, by zaprotestowała. – Hrabstwo Cherry, na północny zachód od nas, to największe hrabstwo w Nebrasce. Jest mniej więcej wielkości Connecticut. Na piętnastu tysiącach kilometrów kwadratowych mieszka sześć tysięcy ludzi. Wypada jeden człowiek na dwa i pół kilometra kwadratowego.

– A bydło? – spytała z uśmiechem, nawiązując do jego wcześniejszego stwierdzenia.

– Dziesięć sztuk na dwa i pół kilometra kwadratowego.

Pofałdowane wydmy oczarowały Maggie. Nagle zastanowiła się jednak, co by było, gdyby pilnie zechciała wybrać się do toalety. Co gorsza, lekcja geografii tylko potwierdzała jej teorię, że to zadanie – podobnie jak kilka wcześniejszych – to kolejna kara, którą jej wymierzył szef.

Jakiś miesiąc temu zastępca dyrektora Raymond Kunze wysłał ją do Panhandle na Florydzie, w samo centrum uderzenia Katriny, huraganu piątej kategorii. Podczas niespełna roku piastowania tego stanowiska Kunze wciąż zlecał jej jakby szukanie wiatru w polu. Okej, można też powiedzieć, że chronił Maggie, nie narażając jej na niebezpieczeństwo, a tylko na otępiające szaleństwo. Była psychologiem kryminalnym, specjalistką od profili

psychologicznych morderców. Zrobiła dyplom z psychologii behawioralnej, miała też średnie wykształcenie medyczne i zaliczyła podstawowy kurs uniwersytecki z medycyny sądowej. Mimo to upłynęło tak wiele czasu, nim Kunze pozwolił jej znów zająć się sprawą zabójstwa, że zastanawiała się, czy pamięta podstawowe procedury. Zresztą tę sprawę w zasadzie trudno uznać za morderstwo, chociaż mieli do czynienia z niewyjaśnioną śmiercią bydła.

Teraz, gdy podążali naprzód, Maggie starała się skupić uwagę na czymś innym niż zimno i szybko zapadająca ciemność. Znów pomyślała o tym, że nie znaleźli żadnych śladów krwi.

– A może padało?

Niemal instynktownie obejrzała się przez ramię. Oświetlone od tyłu przez fioletowy horyzont szare, pęczniejące w oczach chmury wyglądały groźnie. Jakby były w stanie zablokować resztkę światła. Donny przyśpieszył kroku. Jeszcze chwila i Maggie będzie musiała biec, by za nim nadążyć.

– Od ubiegłego tygodnia nie spadła ani kropla deszczu – odparł Donny. – Dlatego uznałem, że powinna to pani zobaczyć, zanim napłyną burzowe chmury.

Zostawili samochód na trakcie z dala od głównej drogi, obok porzuconego, pokrytego kurzem i pyłem czarnego pikapu. Donny wspomniał, że prosił farmera, by się z nimi spotkał, ale nikt na nich nie czekał, ani człowiek, ani żadna inna żywa istota. Nie było nawet bydła, jak nie omieszkała zauważyć Maggie.

Pagórkowate wydmy zasłaniały drogę. Maggie wspinała się za Donnym, a było tak stromo, że musiała pomagać sobie rękami, żeby nie stracić równowagi.

Na samym szczycie Donny zatrzymał się gwałtownie. Maggie też poczuła ten zapach.

Donny wskazał dół wielkości przydomowego basenu. Wcześniej wspominał o wgłębieniach przypominających kratery, które powstają tam, gdzie wiatr i deszcz zniszczą trawę. Erozja postępuje, jeśli farmerzy nie kontrolują tego procesu.

Z dołu płynął zapach śmierci. Na dnie, na samym środku piasku leżała okaleczona krowa, cztery sztywne nogi sterczały do góry. Maggie w całym swoim życiu nie widziała czegoś takiego, jak to biedne zwierzę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak teren wykopalisk archeologicznych, gdzie właśnie odkryto jakieś prehistoryczne zwierzę.

Pysk krowy odarto ze skóry i mięśni. Zostały same szczęki i zęby, tworząc makabryczny uśmiech. Brakowało też lewego ucha, podczas gdy prawe pozostało nietknięte. Wydłubano gałki oczne, a szerokie gołe oczodoły skierowane były prosto w niebo. Chociaż zwierzę spoczywało częściowo na boku, a częściowo na grzbiecie, z wyciągniętymi sztywno do góry nogami, szyja była wykręcona, a łeb leżał nosem do góry. Maggie nie mogła uciec od myśli, że krowa usiłowała po raz ostatni spojrzeć na tego, kto jej to zrobił.

Domyślała się tylko płci zwierzęcia. Części ciała, które pozwoliłyby na takie ustalenia, zostały usunięte. Ale i tutaj nie było choćby śladu krwi. Ani jednej najmniejszej plamki. Robotę wykonano precyzyjnie, brutalnie i z premedytacją. Mimo wszystko Maggie musiała zadać to pytanie:

– Wiem, że zabrzmi to banalnie – zaczęła ostrożnie, traktując najbliższy teren jak każde inne miejsce zbrodni. – Skąd u pana pewność, że nie jest to dzieło drapieżników?

– Ponieważ rysie i kojoty nie posługują się skalpelem – oznajmił ktoś za plecami Maggie. – W każdym razie do tej pory go nie używały.

To zapewne farmer, z którym jesteśmy umówieni, pomyślała, patrząc, jak nieznajomy mężczyzna schodzi z małego wzniesienia. Ślizgał się w kowbojskich butach po piasku, unosił stopy nad kępkami trawy, a potem znów się ślizgał. Nawet w półmroku świetnie sobie radził. Miał na sobie dżinsy, czapkę z daszkiem i lekką kurtkę, której Maggie mu pozazdrościła.

– To Nolan Comstock – rzekł Donny. – Wypasa bydło na tej parceli. Ile to już czasu, Nolanie?

– Prawie czterdzieści lat. I nigdy nie straciłem w ten sposób żadnej sztuki. Dlatego nie marnujcie mojego i swojego czasu, próbując mi wmawiać, że zrobił to jakiś pieprzony kojot.

– Nolan! – Spokojny dotąd Donny stracił nad sobą panowanie. Maggie zobaczyła, że jego kark poczerwieniał. Zaraz jednak opanował się i powiedział uprzejmym tonem: – To Maggie O’Dell z FBI.

Nolan uniósł krzaczaste brwi i przesunął do tyłu czapkę.

– Nie chciałem pani urazić, szanowna pani.

– Wolałabym, żeby pan tak nie mówił, jeśli można prosić.

– A co? FBI już nie przeklina?

– Chodzi mi o szanowną panią. – Dostrzegła, jak Nolan i Donny wymienili spojrzenia, ale najwyraźniej nie zrozumieli żartu.

Zignorowała ich i przykucnęła nad padliną, upewniwszy się, że stoi plecami pod wiatr. Nie przejechała takiego szmatu drogi, żeby wdawać się w irytującą rozgrywkę między starym farmerem, którego guzik obchodzi jakaś tam

agentka FBI, a funkcjonariuszem, który koniecznie chce pokazać, jaka jest dla niego ważna.

– Proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć – powiedziała, nie oglądając się na nich. Z każdą chwilą ubywało dziennego światła i w tym samym tempie Maggie traciła cierpliwość.

– Tak jak we wszystkich innych przypadkach – wyjaśnił Donny – usunięto oczy, język, genitalia, lewe ucho i boki pyska.

– Lewe ucho... Czy to ma jakieś znaczenie?

– Zwykle w lewym uchu zakłada się identyfikator – rzekł Nolan.

Ponieważ Maggie tego nie skomentowała, Donny podjął:

– Wszystkie te części ciała zostały precyzyjnie odcięte. Nie ma śladów krwi. Jakby ją kompletnie wypompowano. Nie ma też ani śladów stóp, ani kół samochodu.

– Ani śladów żadnych zwierząt – dodał Nolan. – Nawet tej krowy. Jej cielak muczy, nie zostawiłaby go z własnej woli. Reszta stada jest niecały kilometr stąd na zachód. Pewnie leży tu ze dwa dni, ale niech pani tylko popatrzy. Drapieżniki nawet jej nie tknęły.

Podobnie muchy czy robaki, zauważyła Maggie, ale zostawiła to dla siebie. Pozbawiona krwi padlina nie przyciągnie tak szybko robactwa, które w innym wypadku już by tu żerowało.

Podniosła się, podeszła z drugiej strony martwego zwierzęcia i znów przykucnęła. Przez kilka minut dokładnie mu się przyglądała. Jej uwagę zwróciła niezwykła cisza,

jakby pełne szacunku milczenie Donny’ego i Nolana. Spojrzała na nich. Stali jakieś cztery metry dalej niczym widzowie, patrząc z oczekiwaniem.

– Czy to pora na motyw muzyczny z „Archiwum X”? – spytała.

Żaden z nich nie mrugnął ani się nie uśmiechnął, dopiero po chwili Nolan zwrócił się do Donny’ego:

– Archiwum X? A co to jest, do diabła?

– Był taki serial w telewizji.

– Serial?

– To żart – wytłumaczył Donny, choć nadal stał z poważną miną.

– Głupi żart – dodała Maggie gwoli wyjaśnienia.

– Pani myśli, że to żart?

– No ta... – Lecz było już za późno. Wiedziała, że uderzyła w czułą strunę.

Nolan wyszczerzył w sarkastycznym uśmiechu żółte zęby z nalotem z czarnej kawy i przymrużył ciemne oczy.

– To nie jest żaden kawał – rzekł. – A to nie jest jedyna padła krowa. O ile się nie mylę, to już siódma w ciągu trzech tygodni. I to tylko na tym terenie. Nie liczę tego, co dzieje się za granicą z Kolorado, bo znam tylko ze słyszenia. Nie wiem, ile przypadków nie zostało zgłoszonych. Sam znam jednego hodowcę, który w zeszłym miesiącu znalazł martwego woła rasy black angus, ale on też tego nie zgłosi, bo ubezpieczenie nie obejmuje okaleczenia zwierząt.

– Nie chciałam pana urazić – odparła Maggie. – Chciałam tylko powiedzieć, że to bardzo dziwne.

– Ten gość, Stotter – tym razem Nolan zwracał się do Donny’ego – uważa, że to UFO. On w to wierzy. Nie ma sposobu, żeby złapać tych ludzi. Do diabła, czy waszym zdaniem, zdaniem fachowców, to w ogóle zrobili ludzie? Mówię tylko, że mam dość różnych kiepskich wymówek i wyjaśnień.

– A pańskim zdaniem kto za to odpowiada? – Maggie stanęła z nim twarzą w twarz.

– Moim zdaniem? – Stary farmer był wyraźnie zaskoczony tym, że spytała o jego opinię.

Kiwnęła głową i czekała.

Nolan zerknął na Donny’ego, jakby to, co miał do powiedzenia, mogło obrazić śledczego z Patrolu Stanowego.

– Ja myślę, że tu chodzi o podatki.

– Uważasz, że winny jest rząd – rzekł Donny. – Z powodu świateł i helikopterów.

– Helikopterów? – spytała Maggie.

– W nocy ludzie widzą na niebie różne dziwne światła. Niektórzy twierdzą, że widzieli też helikoptery – wyjaśnił Donny. – Dwóch farmerów z hrabstwa Cherry lata śmigłowcami, doglądając swoich stad.

– To nie są śmigłowce farmerów. – Nolan potrząsnął głową. – Te bardzo hałasują. Mówię o czarnych wojskowych helikopterach.

– A znów inni twierdzą, że widzieli statki kosmiczne – dodał Donny tonem, który miał przekreślić oba twierdzenia.

– A za nimi myśliwce – rzekł Nolan, nie zwracając uwagi na Donny’ego, który przewrócił oczami i skrzyżował

ramiona na szerokiej piersi.

– To się zdarzyło tylko raz – podjął Donny. – Jesteśmy w samym środku między NORSTAD a STRATCOM – poinformował Maggie, a potem powiedział do Nolana: – Żadna z tych baz wojskowych nie potwierdziła, że latają tutaj myśliwce.

– No jasne.

Maggie wstała i popatrzyła na nich. Najwyraźniej w jej archiwum brakowało mnóstwa informacji. Nolan przyszpilił ją wzrokiem.

– To może pani nam powie – zaczął znów. – Istnieje tutaj jakiś tajny rządowy projekt?

Obejrzała się na okaleczone zwierzę, widząc, pomimo gasnącego dnia, że otwarte rany wciąż wyglądają na świeże. Potem spojrzała prosto w oczy farmera.

– A dlaczego pan uważa, że rząd by mnie o tym poinformował?

W tym samym momencie krótkofalówka przypięta do paska Donny’ego zaczęła nadawać sygnał.

Nawet w Sandhills w Nebrasce Maggie go rozpoznała. Coś było nie tak. I to bardzo nie tak.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Szesnaście kilometrów po drugiej stronie Parku Narodowego

Wesley Stotter walczył z pokrywą bagażnika buicka roadstera, rocznik 1996. Bezprzewodowy mikrofon kłuł go w szyję, ale trzymał się za kołnierzykiem flanelowej koszuli. Wesley był świadomy, że nadaje na żywo, a jednak zaniemówił ze wzrokiem wlepionym w niebo.

W oddali eksplodowały światła. Niebieskie i białe światła płynęły do góry, a potem znów w dół i z prawej strony na lewą, całkiem inaczej niż statki kosmiczne, które dotąd widywał. Ale takie światła już widział.

– Skurczysyn – rzucił do mikrofonu, nie przejmując się, czy Federalna Komisja Łączności wlepi mu kolejną grzywnę. Od prawie dziesięciu lat próbowali go zdjąć z anteny, ale Stotter przywykł do ludzi, którzy chcieli mu zamknąć usta. Na skutek tego UFO Network – jego oddolna obywatelska inicjatywa poświęcona udowodnieniu istnienia bytów pozaziemskich i ujawnieniu rządowych wysiłków służących ukryciu tego faktu – tylko zyskiwała na sile. Organizacja liczyła już tysiące lojalnych członków. Tego wieczoru jego słuchacze radiowi i ci, którzy oglądali transmisje w internecie, oczekiwali prawdziwej uczty. – Nie uwierzycie, moi przyjaciele – zaczął przekaz, poprawiając

bezprzewodowy mikrofon i wciąż zmagając się z klapą bagażnika. W końcu otworzyła się z trzaskiem i skrzypieniem. Stotter po omacku odszukał worek marynarski i nie patrząc do środka, nerwowo przeszukiwał wnętrze worka, aż znalazł kamerę cyfrową. – Jeszcze więcej świateł na niebie – mówił dalej, próbując zapanować nad trzęsącymi się dłońmi. Od kilku lat atakował go artretyzm, więc wszystko stawało się wyzwaniem. Wytarł najpierw jedną, potem drugą spoconą dłoń w spodnie khaki i wziął się do ustawiania kamery. – Przyjaciele, dziś wieczorem jestem w Sandhills w Nebrasce, tuż za Halsey, jakieś szesnaście kilometrów na wschód od Parku Narodowego. A niech to. Znowu lecą.

Światła gwałtownie się odwróciły i ruszyły prosto na Stottera. Trzy światła jak trzy jasne gwiazdy leciały osobno, a równocześnie razem, w zwartym szyku.

Stotter uniósł kamerę, z ulgą stwierdził, że wizjer się otworzył, a także włączył się tryb nocny. Przycisk nagrania świecił na czerwono. Stotter musiał się bardzo skoncentrować, żeby opanować drżenie rąk.

– Widok jest niesamowity. Ci z was, którzy są subskrybentami Stottercam, powinni widzieć lekko drżący obraz. Pozostałym postaram się to opisać. Światła płyną dokładnie nad moją głową. Przyjaciele, to wygląda jak Wenus i jej dwaj towarzysze – mówię o ich wielkości i jasności – tyle że płyną po niebie razem, powoli. Ale zaledwie kilka sekund temu światła wystrzeliwały w górę

i opadały, każde osobno, niezależnie od pozostałych. Niemal jak odpychające się bieguny.

Wesley Stotter śledził światła na nocnym niebie, odkąd osiągnął odpowiedni wiek, by móc prowadzić samochód. W dzieciństwie słuchał opowieści ojca o służbie wojskowej. Tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej John Stotter stacjonował w wojskowej bazie pocisków sterowanych w White Sands, gdzie przeprowadzano tajne próby niemieckich rakiet V-2. W pobliżu znajdowała się testująca broń nuklearną baza w Alamgido, a niedaleko, tuż za Roswell w stanie Nowy Meksyk, mieściło się lotnisko wojskowe 509.

Ulubiona opowieść Wesleya Stottera dotyczyła nocnego patrolu w pierwszym dniu lipca 1947 roku, kiedy to ojciec obserwował, jak na pustyni rozbił się statek kosmiczny i jako jeden z pierwszych przybył na miejsce wypadku. Opis tego, co John Stotter zobaczył tamtej nocy, wciąż wywoływał u Wesleya ciarki.

Za rok stuknie mu sześćdziesiątka. Jako samorodny ekspert od UFO widział wiele różnych osobliwych rzeczy, ale nigdy nie zdarzyło mu się tak bliskie spotkanie, jakie przeżył jego ojciec. Może ta noc to zmieni.

Światła zatrzymały się, nim dotarły do niego, i zawisły nad piaszczystymi wydmami. Gdzieś tam, jak wiedział Stotter, przez pastwisko płynęła rzeka Dismal. Woda oddzielała tereny wypasu od Parku Narodowego. Wahał się, czy podjechać bliżej, bo nie było żadnej drogi, tylko piasek i wydeptane przez bydło w wysokiej trawie wyboiste

ścieżki. Nie mógł ryzykować opon Stottermobile’u, nie chciał złapać gumy albo zarysować tłumika, co przytrafiło się dwa tygodnie wcześniej.

Kochał swojego roadstera. Drewniany panel miał tylko jedno małe zadrapanie, a wnętrze wciąż było w nienagannym stanie. Co roku mówił sobie, że powinien kupić wóz terenowy, ale z pieniędzmi było krucho. Radio nie przynosiło znaczących dochodów, a istnienie UFO Network było zależne od wpłat członkowskich. Stotter tęsknił za czasami Komety Hale’a-Boppa i sekty Niebiańskie Wrota, które budziły w społeczeństwie takie poruszenie. Ale czy można wymyślić coś lepszego niż ci młodzi wyznawcy w trampkach Nike, którzy włożyli sobie na głowy foliowe torby, zawiązali je, a potem się położyli i czekali na statek kosmiczny lecący w ogonie komety, żeby ich zabrał do wymarzonego celu?

Teraz, dzięki internetowi, pasjonaci UFO znajdują informacje przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Nie są zależni wyłącznie od Wesleya Stottera. Ale tak jak gospodarka rozwija się cyklicznie, tak samo fascynacja bytami pozaziemskimi podlega pewnym cyklom. Im więcej chaosu i niepewności w realnym świecie, tym bardziej ludzie szukają czegoś, na co mogliby zrzucić winę za swoje lęki. Tak więc dzięki inwestycji w transmisje internetowe stottermania zyskała drugie życie.

Kontynuował relację dla radiosłuchaczy, wtrącając charakterystyczne ciekawostki na temat historii i folkloru, czyli coś, co odbiorcy chłonęli:

– To święta ziemia – rzekł łagodnym, nabożnym i rzecz oczywista, nieco teatralnym tonem. – W tych dolinach między piaszczystymi wydmami ukrywali się Czejenowie. Przeżyli tutaj tragiczną jesień i zimę na przełomie tysiąc osiemset siedemdziesiątego ósmego i dziewiątego roku. Wytropili ich żołnierze z Fortu Robinsona, chcieli uwięzić. Kiedy im się to nie udało, zamordowali ponad sześćdziesiąt osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, właśnie w tych dolinach. Mówią, że rzeka Dismal spłynęła krwią. Więc mamy prawo tę ziemię nazwać świętą. Czy to przypadek, że jakaś inna cywilizacja wybrała sobie właśnie niebo nad tą doliną, gdzie o zmierzchu wciąż czuje się energię duchów Czejenów? Nie, to nie przypadek.

Ręce Stottera przestały się trząść. Kamera wciąż obserwowała światła. Ile to już minut minęło? Tak długo pozostawały nieruchome, że ktoś, kto zobaczyłby je po raz pierwszy, uznałby, że po prostu widzi gwiazdy.

Potem tak nagle, jak się pojawiły, światła wystrzeliły przed siebie w takim tempie, że kamera za nimi nie nadążała. Przemykały nad głową Stottera, w górę i na boki, jak meteory, tyle że nie zostawiały za sobą prądu strumieniowego ani żadnego kosmicznego pyłu.
I bezgłośnie zniknęły.

Stotter stał przyklejony do boku samochodu, o który oparł się dla równowagi. Odchylił do tyłu głowę, otwierając szeroko usta. Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, że flanelowa koszula klei mu się do mokrych od potu pleców. Broda go swędziała, na łysiejącej głowie czuł mrowienie,

w uszach dzwoniło, miał też wrażenie, jakby przez niego przepłynął prąd. Obejrzał się, lada chwila spodziewając się ujrzeć błyskawicę. Tymczasem burzowe chmury nadal wisiały nad horyzontem. W świetle zmierzchu bardziej przypominały góry niż chmury.

Zakończył program i zdołał podnieść rękę, by wyłączyć mikrofon. Wtedy właśnie usłyszał:

– ...wzywamy cały personel ratunkowy. – To był jego skaner radiowy. Czyżby policja też dostrzegła te światła? – ...są ranni. Południowa strona lasu od autostrady numer osiemdziesiąt trzy.

Wesley Stotter odwrócił się i spojrzał na niebo nad Parkiem Narodowym, dokładnie w przeciwną stronę niż ta, gdzie widział światła. Musi zdać relację z tego, co tam się dzieje.

Zerknął na zegarek, po czym wrzucił swój sprzęt do marynarskiego worka. Za trzecim razem udało mu się zatrzasnąć klapę bagażnika. Był dosyć blisko, miał szansę dotrzeć na miejsce jako pierwszy. Tym razem zobaczy, co się stało, nim ktokolwiek inny zdąży przekazać to światu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Maggie rozpoznała ten zapach, pamiętała go z innego miejsca, innego czasu. Spalone ciało, przypalone włosy. Tak pachniał leżący w trumnie ojciec. Był strażakiem, który zginął na służbie. Maggie nigdy nie zapomni woni jego spalonego ciała, tak dojmującej, choć ręce i nogi miał owinięte plastikową folią.

Odór był alarmujący, ale to jęki – ciche, zbolałe jęki w ciemności – najbardziej ją zaniepokoiły. Nie była ratownikiem. Potrafiła udzielić pierwszej pomocy, lecz większość ofiar, z jakimi miała do czynienia, już jej nie potrzebowała. Zazwyczaj, kiedy Maggie się zjawiała, ofiary nie żyły.

Wiązki światła z latarek o dużej mocy wyłowiły skulone, kryjące się przed czymś postaci. Liście wirowały i smyrgały spod nóg jak wystraszone zwierzęta.

Maggie na zawsze zapamięta ich twarze: szeroko otwarte oczy, drżące wargi, niektórzy mamrotali coś bez ładu i składu. W strumieniach światła machali rękami jak pijani tancerze pod kręcącą się dyskotekową kulą.

Włożyła skórzaną kurtkę, którą miała w pikapie, ale i tak wstrząsały nią dreszcze. Ciemność w lesie kompletnie ją rozbrajała, pochłaniała wszystko, co omijały światła latarek.

Baldachim gałęzi nad głowami niczym ruchomy sufit kołysał się i poskrzypywał. Spomiędzy gałęzi przezierały

skrawki czarnego nieba. Od czasu do czasu księżyc w pełni przebijał się przez chmury. Wtedy na krótki moment stawała się jasność.

Hank, wysoki szczupły strażnik leśny, prowadził Maggie i Donny'ego. Czekał na nich na głównym polu namiotowym. Twierdził, że nie zdołają dojechać na miejsce samochodem.

– Przyjechali państwo pierwsi – rzekł z wyraźną ulgą.

Maggie trochę było wstyd, ale miała nadzieję, że Donny umie postępować z rannymi. Ona zajmie się tymi – Boże broń, by okazało się to konieczne – którzy już nie potrzebują pomocy.

– Cholera, ale tu stromo – powtarzał wciąż Donny.

Pomyślała to samo, idąc za nim zarośniętą ścieżką. Bardziej wyczuwała tę drogę, niż ją widziała, odgarniała gałęzie, żeby nie uderzały jej w twarz, a i tak kilka razy została smagnięta. Jak, do diabła, przeniosą tą ścieżką rannych?

Kiedy we trójkę dotarli na polanę, z trudem łapali oddech. Mimo chłodu po plecach Maggie spływała strużka potu.

– Przyszliśmy, żeby wam pomóc – zawołał Donny tak łagodnie i cicho, że Maggie nie była pewna, czy ktoś go usłyszał. – Potrzebujemy światła, Hank.

– Posłałem jednego z moich ludzi po przenośny generator i lampy stroboskopowe.

Dyspozytorka podała bardzo skąpe informacje. Ktoś dzwonił z lasu na 911, ale nie miał dobrego zasięgu, więc niezbyt dokładnie go rozumiała. Zaatakowano grupę nastolatków. Byli ranni. Nie, nie wiedzieli kto – albo co,

podkreśliła – ich zaatakował. Dodała, że rozmówca sprawiał wrażenie, jakby był pijany, i nie powiedział, co robili w lesie.

– Jesteś ratownikiem medycznym, tak? – Donny spytał Hanka.

– Tak, proszę pana.

– Agentko O’Dell, a pani?

– Nie.

– Ale zna pani podstawy?

– Tylko podstawy. Trochę już zapomniałam.

– No to ich obejrzyjmy.

Donny skierował na siebie światło latarki.

– Jestem Donny Fergussen z Patrolu Stanowego. Przyszliśmy wam pomóc. Nic wam nie grozi. Jeśli jesteście ranni, zawołajcie. Jeśli ktoś obok was jest ranny, zawołajcie za niego.

Cisza. Umilkły nawet jęki.

Zahukała sowa. Gałęzie zatrzeszczały na wietrze.

Wreszcie usłyszeli dziewczęcy głos, cichy i wysoki:

– Tutaj.

Potem drugi głos. Głos chłopięcy, z przeciwnej strony ciemności:

– Chyba jestem poważnie ranny.

Potem znów głos dziewczyny, na granicy łez:

– On chyba nie żyje. Nie rusza się. O mój Boże, on nie oddycha.

Donny spojrzał na Hanka, jedynego ratownika, który powiedział:

– Zajmę się nim. – Skierował światło latarki w tamtą stronę i ruszył naprzód.

Donny oświetlił przeciwległą stronę, dając znak, że obejrzy poważnie rannego chłopca. Maggie, ze swoją kieszonkową latarką, musiała zająć się dziewczyną. Starała się nie świecić nikomu prosto w twarz, szukając tych, którzy się nie ruszają. Dwie dziewczyny siedziały skulone pod drzewem. Idąc do nich, Maggie próbowała zorientować się w terenie. Szła ostrożnie, świadoma, że być może znajduje się na miejscu zbrodni, więc nie wolno jej zniszczyć dowodów.

Hank prowadził ich przez las, ale po drugiej stronie polany Maggie widziała pastwiska na łagodnych wzgórzach, oddzielone od lasu ogrodzeniem z drutu kolczastego. Niedaleko zapewne płynęła rzeka, gdyż Maggie słyszała szum wody.

Jakieś trzy metry dalej kieszonkowa latarka wyłowiła coś trzepoczącego, co wisiało na gałęzi sosny. Ale najpierw musiała sprawdzić, co z dziewczynami. Oświetlała latarką ścieżkę. Ilekroć światło zbliżało się do dziewcząt, podskakiwały nerwowo, jakby ta cienka smuga cięła je jak ostrze.

– Nic wam nie jest?

Patrzyły na nią szklanymi oczami. W końcu jedna z nich pokręciła głową. Druga z dziewcząt uniosła rękę i powiedziała:

– On mnie ugryzł.

Maggie, stojąc jakieś pół metra dalej, żeby ich nie wystraszyć, lekko się pochyliła. Powiodła światłem latarki wzdłuż ręki dziewczyny, która znów wzdrygnęła się i odskoczyła.

– Nic ci nie zrobię. Chcę tylko obejrzeć twoją rękę. – Gdy wciąż patrzyła pustym wzrokiem, dodała: – Jestem Maggie. Jak masz na imię?

– Amanda. – Odsunęła włosy z twarzy.

Dziewczyny były w szoku, ale poza śladem ugryzienia Maggie nie dostrzegła krwi. Druga z nich patrzyła szeroko otwartymi oczami, bez mrugnięcia, gdzieś za plecami Maggie i nad jej głową. Maggie odwróciła się zaciekawiona, co przyciągnęło jej uwagę. Ciemny przedmiot wiszący na gałęzi kołysał się do przodu i do tyłu.

Maggie wyprostowała się, skierowała na niego światło latarki i podeszła bliżej. Wyglądało to na kawałek ciemnej szmatki nadzianej na gałąź. Kiedy znalazła się niemal dokładnie pod ową gałęzią, zdała sobie sprawę, że to była sowa. Wisząca głową w dół martwa sowa. Przestraszona Maggie przesunęła się w bok i potknęła się o kłodę drewna. Straciła równowagę i upadła, boleśnie uderzając o ziemię i upuszczając latarkę.

– Agentko O’Dell? – dobiegł ją głos Donny’ego. – Nic się pani nie stało?

Po omacku grzebała w sosnowych igłach, szukając latarki i usiłując się podnieść. Latarka, wciąż włączona, leżała jakiś metr dalej. Sięgnęła po nią i w tym samym momencie zauważyła, o co tak naprawdę się potknęła. Promień światła

trafił na szeroko otwarte oczy chłopca, który wyglądał na martwego.

A potem zamrugał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wesley Stotter wiedział, jak od tyłu dostać się do lasu. Wprawdzie piaszczysta droga nawet po niewielkim deszczu stawała się nieprzejezdna, ale jeżeli szczęście mu dopisze, dotrze na miejsce, nim napłyną burzowe chmury.

Trawa była chyba wyższa niż Stottermobile, nawet ta, która rosła między koleinami wyżłobionymi przez koła samochodów, drapała w podwozie. Jeśli jechał zbyt szybko, samochód zaczynał się kołysać, mimo to naciskał pedał gazu. W żaden sposób nie mógł się tam wspiąć na własnych nogach. Kiedyś nie wahałby się ani chwili. Upływ czasu nie robił na nim wrażenia do momentu, gdy wreszcie uświadomił sobie, że wiąże się to z poważnymi fizycznymi ograniczeniami.

Trawy ustępowały miejsca drzewom. Tutaj jednak zamiast sosen żółtych rosły dęby. Liście zaczęły zmieniać barwy, niektóre już opadły. Droga była wąska i kręta, nie pozwalała zobaczyć, co znajduje się za kolejnym zakrętem. Gałęzie zwisały nisko, rysując dach samochodu. Lata temu posadzono tu drzewa w równych rzędach, ale puste miejsca wypełniły zarośla i o zmroku cienie zdawały się rozciągać i pochłaniać każdą wolną przestrzeń.

Jeszcze trochę i trafi na polanę. Jeszcze dwa zakręty na prowadzącej w górę drodze. Potem będzie krótki zjazd

i wreszcie znajdzie się tam, gdzie, jak sądził, dyspozytorka wysłała personel ratunkowy.

Gdy znów odrobinę przyśpieszył, zarzuciło go na piasku przed kolejnym zakrętem. Stotter miał wrażenie, że między drzewami po prawej stronie dostrzegł jakiś ruch. Zwolnił i wyciągnął szyję, żeby wyjrzeć przez okno od strony pasażera. Ktoś biegł. Ktoś albo coś. Przód jego twarzy czy pyska był wydłużony i sterczący, z tyłu wyglądał na zgarbionego. Stworzenie odwracało głowę i patrzyło na Stottera błyszczącymi czerwonymi oczami.

Potem nagle zniknęło, nim Stotter zdołał stwierdzić, czy naprawdę coś widział.

Dodał gazu, lawirując między drzewami, aż oślepił go błysk światła.

Ostro zahamował i dłońmi zakrył oczy. Smuga światła przesuwała się po masce samochodu. Silnik zakaszlał i zgasł. Reflektory też zgasły. Wciąż trzymając jedną rękę przy twarzy, drugą zaczął szukać kluczyków. Znalazł je i przekręcił kluczyk w stacyjce, jednak samochód nie zareagował.

Światło zniknęło, po czym znowu się pojawiło, ostre, przeszywające. Stotter czuł, jakby jego ciało ogarnęła gorączka. Jakby ktoś podpalił mu żołądek, płuca, serce. Ból był nie do zniesienia, w żyłach także płynął ogień. Bał się, że eksploduje mu klatka piersiowa.

Potem nagle wszystko ustało. Po jakiejś minucie Stotter wyprostował się, rozluźnił, odetchnął głęboko, otworzył

oczy. Wtedy zdał sobie sprawę, że światło też zniknęło. Samochód otaczała ciemność. Ciemność i martwa cisza.

Próbował wyjrzeć przez okno, ale widział jak przez mgłę. Światło go oślepiło. Nie zobaczyłby człowieka – czy istoty pozaziemskiej – nawet gdyby stał przed maską jego samochodu.

Znów przekręcił kluczyki, i znów nic. Zazwyczaj akumulator pozwalał jeszcze zapalić lampkę oświetlającą wnętrze auta. Tymczasem to światło, czymkolwiek było, zniszczyło całą elektrykę w samochodzie.

Kręcił się nerwowo, zamykając wszystkie drzwi. Sięgnął za tylne siedzenie po worek marynarski, otworzył go szeroko i zaczął wyjmować wszystko, co się w nim znajdowało.

Zacisnął drżące artretyczne palce na kolbie kolta kaliber 45.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy – powiedziała Maggie do chłopca, który rzucał wzrokiem we wszystkie strony jak złapane w pułapkę dzikie zwierzę. – Nie ruszaj się, dobrze? – poprosiła, widząc na jego ciele drut kolczasty. Ale nawet nie próbował się ruszyć. Nie wiedziała, czy zachowywał się tak ze strachu, czy może z bólu. Podobnie jak dziewczyny, też był w głębokim szoku.

Możliwie najdyskretniej omiatała go światłem, przesuwając je wzdłuż ciała, aż ujrzała ostre kolce wbite w ręce i w klatkę piersiową... dobry Boże, nawet w szyję. Omal się nie wzdrygnęła. Wyglądało, jakby ktoś tym drutem owinął chłopaka, a potem jeszcze drut zacisnął, nakłuwając ciało kolcami. Czy to możliwe, że wpadł na ogrodzenie i sam przypadkiem owinął się tym drutem?

– Ja... ja... tak gorąco – mamrotał.

Maggie zbliżyła się, przysiadła na piętach i zobaczyła krew. Dużo krwi. Teraz też ją czuła na swoich rękach i dżinsach, które się ubrudziły, gdy upadła.

W ciągu tych wszystkich lat spędzonych w FBI widziała bezwzględnie i bestialsko zadane rany, zakrwawione poćwiartowane ciała, ludzkie organy w pojemnikach na jedzenie na wynos. I tylko raz dostała mdłości. Teraz znowu zrobiło jej się niedobrze. Nie na widok wciąż krwawiącego żywego chłopca, a raczej z powodu własnej bezradności, bo

nie potrafiła powstrzymać tego krwawienia. Sądziła, że bezpiecznie poupychała wspomnienia w szczelnie zamkniętych szufladkach, lecz oto znów napłynęły obrazy mordercy, który dawno temu kazał jej patrzeć na swoje krwawe dzieło. Nocami nie prześladował jej widok rozbryzganej krwi ani wrzaski ofiar, lecz poczucie kompletnej, absolutnej bezsilności.

Zastanowiła się, czy nie zawołać Donny'ego, ale bała się podnieść głos. Bała się poruszyć, ponieważ nie chciała przestraszyć i tak już śmiertelnie przerażonego chłopca.

Ciemne kałuże krwi pokryły liście i sosnowe igły pod jego ciałem. Koszula była mokra i rudoczerwona, ale zapach, który tu dominował, nie był zapachem krwi, lecz przypalonych włosów i spalonego ciała. Raz jeszcze przyjrzała się kolczastemu drutowi. Nie widziała ani kawałka, który byłby pozbawiony kolców. To nie był zwykły drut pod napięciem, który wcześniej pokazywał jej Donny.

Pochyliła się i wokół ostrych jak nóż kolców wbitych w szyję chłopca zobaczyła zakrzepłą krew. To dobry znak, dowodził bowiem, że nie miała do czynienia z poważnym krwotokiem. Prawdopodobnie drut nie przebił żyły szyjnej. Jednak mięśnie szyi były napięte, a niebieska żyła pulsowała na jaskrawoczerwonej skórze.

– Jasna cholera – szepnął Donny, który stanął za plecami Maggie, a ona westchnęła z ulgą.

Chłopiec nie szukał wzrokiem właściciela kolejnego głosu, tylko patrzył na Maggie. Po prostu wlepiał w nią

wzrok. To dobrze, że skupił na niej uwagę. A może wcale nie tak dobrze. Bo nie miała pojęcia, co zrobić.

– Nie jestem pewna, czy wciąż krwawi – powiedziała, nie przerywając kontaktu wzrokowego, zdumiona, że jej głos brzmi nadzwyczaj spokojnie. – Na pewno jest w szoku.

– Możemy go w tym stanie ruszyć? Zaraz... da się go z tego uwolnić? – spytał, mimowolnie zdradzając swoją bezradność.

Na co z kolei Maggie chciała zapytać:

– Czy pan nie powinien tego wiedzieć? Ja wiem tylko, co robi się z trupami. – Lecz zamiast tego odetchnęła głęboko i próbowała sięgnąć do swojej bazy danych. Wiele lat temu, w ciemności, w mokrym tunelu, z dala od ludzi, została dźgnięta nożem. Kolejne wspomnienie, dokładnie spakowane i szczelnie zamknięte w jednej z komórek pamięci. Wciąż jednak pamiętała, że nie straciłaby tyle krwi, gdyby morderca nie wyszarpnął z jej ciała noża. – Jeśli zaczniemy wyciągać z niego kolce, możemy spowodować krwawienie. Moim zdaniem nie wytrzyma takiego bólu.

– Jasna cholera – powtórzył Donny.

Maggie wciąż patrzyła w oczy chłopca, próbując wyczuć, czy rozumiał, o czym mówili. Jeśli tak, nie okazywał tego. Nie spuszczał z niej wzroku. Odnosiła wrażenie, że nawet nie mrugnął.

– Rozumiesz mnie? – spytała powoli i wyraźnie. – Jeśli tak, zamrugaj dwa razy.

Nic. Wciąż te same szklane, szeroko otwarte oczy.

Potem jednak opuścił powieki i podniósł je. I znów je opuścił. Ten wysiłek sprawił mu tyle bólu, że dopiero po dłuższej chwili znów otworzył oczy.

Serce Maggie zabiło mocniej, ulga mieszała się z kolejną falą niepokoju. Chłopiec nie stracił świadomości i potwornie cierpiał.

– Jestem Maggie – rzekła w końcu. – Chcę ci pomóc.

– Dawdawdaw... – mamrotał, tyle że tym razem wyglądało to tak, jakby wyczerpywała go frustracja. Mięśnie twarzy i szyi były napięte, zęby zaciśnięte.

Poza tym jego ciało ani drgnęło. Palce się nie zgięły. Nogi – co prawda splątane – nie poruszyły się. Żadna część ciała nie próbowała walczyć z kolczastymi pętami, przeciągnąć się czy choćby naprężyć.

Po raz kolejny Maggie przyjrzała się chłopcu, szukała czegoś, co przypominałoby drut pod napięciem. Szukała śladów przypalenia na skórze, lecz nic takiego nie znalazła. A jednak woń przypalonych włosów i spalonego ciała, a także wyraźny paraliż wydawały się potwierdzać jej podejrzenia. Chłopiec nie tylko był w szoku. Został też porażony prądem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bar U Phila
Williamsburg, Wirginia

Pułkownik Benjamin Platt zamówił cheeseburgera, ignorując uniesione brwi i pełne dezaprobaty spojrzenie Rity, sporo od niego starszej kelnerki. Żeby sprawdzić, jak daleko może się posunąć, poprosił ją też o musztardę i dodatkową porcję cebuli. Rita znała Platta od czasu, gdy był studentem medycyny na uniwersytecie Williama i Mary i zarywał noce pochylony nad podręcznikami, popijając letnią kawę.

Za próbę flirtu wynagradzała go w tamtych czasach kawałkiem nieświeżego placka, a kiedy się bardziej starał, dostawał nawet placek z lodami. Platt już nie pamiętał, kiedy oboje przestali wreszcie udawać, że Rita to jego pani Robinson. Zamiast tego otoczyła go niemal matczyną opieką i dbała o niego jak kwoka o swojego pisklaka, pilnując, by nie zatkał sobie tętnic niezdrowym jedzeniem.

– Przyjechałeś z wizytą w środku tygodnia? – Rita nalewała kawę z dzbanka, patrząc Benowi w oczy i usiłując wybadać jego stan emocjonalny.

Dziwne, ale naprawdę to potrafiła. Wciąż go fascynowało, że wiedziała, w którym ułamku sekundy przestać nalewać kawę. Nawet nie zerkając, unosiła dzbanek w momencie,

gdy gorący jak ukrop płyn sięgnął półtora centymetra do brzegu kubka.

– Jestem z kimś umówiony. – Teraz już nie wpadał tutaj zbyt często, tylko wtedy, gdy odwiedzał rodziców. Gdy Rita uniosła brwi, dodał z uśmiechem: – Nie, to nie to, co myślisz.

– Mam nadzieję, skoro chcesz tyle cebuli.

Odwróciła się, a on przysiągłby, że odchodząc, bardziej kołysała biodrami niż wtedy, gdy do niego podchodziła.

Znowu się uśmiechnął. Nadal potrafiła sprawić, że czuł się jak zakłopotany student. Na dodatek tego wieczoru miał na sobie niebieskie dżinsy, szarą spłowiałą bluzę z logo uniwersytetu Williama i Mary oraz skórzane mokasyny włożone na bose stopy. Przeczesał palcami krótkie, rozwiane przez wiatr włosy. W chwili, gdy spojrzał na swoje odbicie w szybie, zobaczył, jak Roger Bix wysiada z wypożyczonego forda eskorta. Platt nie znał go zbyt dobrze, ale wiedział o nim dość, by zgadnąć, że nie przepada za małymi samochodami.

W blasku barowego neonu niesforna ruda czupryna Biksa wyglądała na ogniście pomarańczową. Nagle skojarzył się Plattowi z Archiem, bohaterem jednego z komiksów. Tyle że Bix był próżny i jakby nieświadomy, że brzuch wylewa mu się zza paska. Najwyraźniej uważał, że w kowbojskich butach z szpiczastym czubkiem i kurtce drużyny bejsbolowej Atlanta Braves nie rzuca się w oczy. A tak naprawdę w niczym nie przypominał ani kowboja, ani sportowca.

Gdy tylko stanął w drzwiach, Platt do niego pomachał. Bix lustrował otoczenie, ściągając wargi z dezaprobatą. Prosił o spotkanie w ustronnym miejscu, z dala od polityków ze stolicy. Bar U Phila, który po pierwsze był usytuowany niedaleko Norfolku, gdzie Bix miał spędzić dzień, a po drugie leżał dwie godziny drogi od Kapitolu, spełniał ten warunek, choć nie sprostał wymaganiom Biksa dotyczącym standardu.

– William i Mary? – rzekł na powitanie, wskazując na bluzę Platta. Charakterystyczny południowy akcent podkreślał i tak czytelne w głosie Biksa sarkazm oraz niesmak. Zajął miejsce w boksie. Zdawało się, że tego wieczoru nic go nie zadowoli. – Brałem pana za twardziela. Absolwenta jednej z uczelni należących do Wielkiej Dziesiątki. Może Notre Dame, ale na pewno nie William i Mary.

– Notre Dame nie należy do Wielkiej Dziesiątki. To niezależna drużyna.

Bix wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że studencki sport to nie jego bajka.

Platt poznał Rogera Biksa kilka lat wcześniej na konferencji poświęconej chorobom zakaźnym. Obaj byli dość młodzi jak na funkcje, które sprawowali. Platt był szefem USAMRIID, Wojskowego Instytutu Badawczego Chorób Zakaźnych Armii Stanów Zjednoczonych w Fort Detrick, Bix zaś szefem CDC, czyli Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób w Atlancie. Przed rokiem pracowali razem podczas epidemii eboli, obaj też musieli się zmierzyć

ze swoimi zwierzchnikami. Fakt, że zachowali stanowiska, wiele mówił. A to, że żaden z nich nie świętował zwycięstwa występami w telewizyjnym show ani nie zachowywał się jak celebryta, pokazywało ich uczciwość i wierność swoim przekonaniom, które ze stanowiskiem nie mają nic wspólnego. Być może była to jedyna rzecz, która łączyła tych tak bardzo różnych mężczyzn.

Do boksu podeszła Rita.

– Tylko kawa – rzucił Bix, nie podnosząc wzroku.

– Coś jeszcze?

– Tylko kawa – powtórzył, tym razem wyraźnie ją odprawiając.

Rita głośno postawiła przed nim kubek i zaczęła nalewać kawę. Bix szybko się zorientował, że zamiast patrzeć na swoje ręce, Rita patrzy na niego. Platt obserwował, jak Bix przenosi wzrok z Rity na kubek i z powrotem. Siedział prosto i czekał, aż kawa się przeleje. Rita uniosła dzbanek, nie rozlewając ani kropli. Z ust Biksa dobyło się westchnienie ulgi.

– Na pewno nie ma pan ochoty na kawałek placka z brzoskwiniami?

Tym razem Bix podniósł na nią wzrok i rzekł:

– Bardzo chętnie.

Platt uśmiechnął się. Rita prawdopodobnie widziała, jak Bix wchodził do baru, wyczuła jego niezadowolenie i załatwiła sprawę tak, jak nikt inny by nie potrafił. W ciągu paru sekund pokazała mu, że tutaj wszyscy są równi.

Platt uznał, że to dobry moment, by zapytać:

– W jakiej sprawie pan do mnie dzwonił?

Szef CDC wrzucił do kawy jedną, a potem jeszcze dwie kostki cukru, nie śpiesząc się, odzyskując pewność siebie. Potem oparł łokcie na stoliku, podniósł kubek i wypił łyk.

W jego głosie nie było cienia beztroski czy żartu, kiedy pochylił się i rzekł do Platta:

– Zadzwoniłem do pana, ponieważ potrzebny mi ktoś, komu mogę ufać. Kto potrafi trzymać gębę na kłódkę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Park Narodowy w Nebrasce

Maggie sądziła, że to niemożliwe, a jednak w świetle reflektorów las wyglądał jeszcze bardziej niesamowicie. Tam gdzie dotąd panowała absolutna ciemność, zarysowały się wyraźne cienie. Sosnowe igły i zaschnięte liście ożyły. Zwierzęta, dotąd niewidoczne, nagle się przestraszyły i zaczęły uciekać, widząc w tym świetle zagrożenie. Hank wspominał coś o pumach i rysiach. Maggie gotowa byłaby przysiąc, że widziała groźnego kota, jak ich śledził wzrokiem z grani.

Przyglądała się, jak Hank i jeden z ratowników ostrożnie podnieśli owiniętego kolczastym drutem chłopca i położyli na noszach z brezentu. Zamiast go nieść w górę ścieżką, przecięli ogrodzenie, które dzieliło las od pastwiska. Przewiozą go piaszczystymi wydmami na tyle samochodu terenowego i przekażą ratownikom, którzy czekali po drugiej stronie. Karetka nie była w stanie podjechać bliżej, ledwie widzieli poblask jej reflektorów.

Maggie ruszyła za nimi wąskimi ścieżkami między pniami drzew, udając, że pomaga nieść rannego. Wiedziała, że mężczyźni świetnie sobie radzą, ale trzymała za róg noszy, jakby nie potrafiła zerwać kontaktu z tym chłopcem. Wcześniej, gdy tylko zaczęła się przesuwać i znikać z pola

jego widzenia, zaczął nerwowo kręcić głową, wyraźnie jej szukał. Ratownik dał mu zastrzyk uspokajający i w końcu chłopiec zamknął oczy. Maggie szła razem z nimi aż do miejsca, gdzie rosły wyższe od niej trawy i rogoże, i gdzie czekał samochód terenowy. Jeszcze jedna krótka wspinaczka na wydmę i chłopiec będzie bezpieczny.

Potem Maggie pośpieszyła z powrotem. Właśnie pomagała Donny'emu przygotować do transportu kolejnego rannego, kiedy na szczycie wydmy ujrzała jakiegoś człowieka. Oświetlony od tyłu reflektorami samochodu wyglądał jak duch.

Maggie zerknęła na Donny'ego, który też już go zauważył.

– Szeryf? – spytała.

– Zapewne.

Po paru sekundach na szczycie wydmy pojawiła się kolejna postać. Potem jeszcze jedna. I dwie następne, i znów jedna.

– Oni wiedzą, że to jest miejsce zbrodni, prawda? – Kiedy Donny nie odpowiadał, zerknęła na niego. Przypominał sarnę oślepioną światłami nadjeżdżającego samochodu. Maggie policzyła mężczyzn. Było ich sześciu. Jeden ruszył w dół wzgórza, w ich kierunku. – Trzeba ograniczyć liczbę osób przekraczających granice tego terenu – oznajmiła zdecydowanym tonem. – Mówił pan, że życie większości rannych nie jest zagrożone, tak?

– Tak. Ratownicy już na nich czekają. Po drugiej stronie wydmy urządzą prowizoryczne stanowisko selekcji rannych.

– Więc kim są ci ludzie? – Gdy milczał, a pozostali mężczyźni ruszyli w ślad za pierwszym, ponagliła: – Donny?

– Może to burmistrz i radni miejscy, może rodzice. Mamy dwóch zmarłych nastolatków i pięcioro rannych. Chcą sprawdzić, czy to ich dzieci.

– Nie może pan pozwolić, żeby weszli na miejsce zbrodni.

– Nic nie mogę na to poradzić.

– Słucham?

– Ten obszar nie podlega mojej jurysdykcji.

– Oni też tutaj nie decydują.

Sekundy mijały. Mężczyźni szli jeden za drugim do przodu piaszczystą ścieżką, tą samą, którą właśnie pojechał samochód terenowy. Już prawie dotarli do wysokich rogoży. Ich głowy kiwały się w światłach reflektorów, jeden był w kowbojskim kapeluszu, dwaj w czapkach bejsbolówkach, pozostali bez nakryć głowy.

Maggie podniosła się, Donny pozostał przykucnięty. Rzuciła mu spojrzenie, licząc, że go zmobilizuje, ale on patrzył na zbliżających się intruzów, jakby zaakceptował nieuniknione. Ten potężny mężczyzna zamilkł, wycofał się, był niemal zastraszony.

Potem Maggie usłyszała jego szept:

– To własność federalna.

– Więc podlega kompetencji Hanka?

Zobaczyła, jak potrząsnął głową, nim dodał:

– FBI jest tu ważniejsze niż Służba Leśna.

Puls Maggie przyśpieszył. Donny miał rację. Nie wiedziała, dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Była jedynym śledczym federalnym obecnym na miejscu zbrodni na terenie federalnym. Niech to szlag! Oficjalnie i teren, i sprawa podlegały jej kompetencji.

Dłużej się nad tym nie zastanawiała, tylko energicznym krokiem pomaszerowała do przodu, ku orszakowi, który pojawił się na granicy miejsca zbrodni, niemal w świetle reflektorów.

– Panowie, dalej nie możecie pójść.

– A kim pani jest, żeby nam zabronić?

Rozpięła kurtkę tak, że musieli zobaczyć kaburę z bronią, a równocześnie zademonstrowała swoją odznakę.

– Jestem szeryfem hrabstwa Thomas – rzekł niski, krępy mężczyzna, przepychając się łokciami. Stanął naprzeciw Maggie.

– A ja prokuratorem hrabstwa – oznajmił mężczyzna, który zerknął na odznakę Maggie, ale odsunął lekceważąco jej rękę. – Prowadzę wszystkie śledztwa dotyczące zgonów w tej okolicy.

– Szeryfie, mam nadzieję, że nam pan pomoże – powiedziała Maggie, celowo patrząc na prokuratora. – Pozostali panowie muszą niestety zawrócić. Las jest własnością federalną – dodała, licząc, że brzmi przekonująco. – To miejsce zbrodni podlega jurysdykcji federalnej. Musimy ograniczyć liczbę przebywających tu osób. Staramy się ewakuować rannych tak, żeby nie zniszczyć śladów i dowodów.

– To śmieszne – odezwał się jeden z mężczyzn.

– Ilu jest rannych? – dopytywał się szeryf. – Informator, który dzwonił do Darlene, nie powiedział tego.

– Jeśli ci panowie odejdą, wtedy poinformuję pana, szeryfie.

– Chwila, tam jest mój syn. Muszę wiedzieć, czy nic mu nie jest.

– Frank, powiedz tej kobiecie, że zajmuję się wszystkimi sprawami dotyczącymi zgonów na terenie trzech hrabstw.

– Panowie, proszę. – Maggie zdecydowanie podniosła głos. – Jeśli zawrócicie na to wzgórze, możemy kontynuować. W ciągu godziny powinniśmy mieć dla panów informacje.

– To jakieś szaleństwo. Nie ma pani prawa nam rozkazywać.

Jeden z mężczyzn chwycił Maggie za ramię, żeby ją odepchnąć.

– Tam są nasze dzieci. Mamy prawo...

Zatrzymał się tak nagle, że ten z tyłu na niego wpadł. Wszyscy patrzyli na smitha & wessona wycelowanego w jego twarz.

– Chyba... chyba pani żartuje – powiedział, ale się nie ruszył.

Nawet szeryf stał z boku i nie podejmował dyskusji.

Pozostali cofnęli się kilka kroków. Maggie widziała krople potu na czole prokuratora hrabstwa.

– Szeryfie – powiedziała. – Proszę przekazać tym panom, że w tej chwili nie mam czasu ich aresztować, ale oczywiście zrobię to, jeśli okaże się to konieczne.

Jedynym dźwiękiem, który teraz słyszała, był szum generatora na grani stłumiony przez drzewa. Wysoko nad polaną zajaśniała błyskawica, a zaraz potem gdzieś w dali rozległ się grzmot. Przypomnienie, że czas ucieka.

– Dam wam znać, co się dzieje – rzekł w końcu szeryf i podszedł do Maggie, ale nie bliżej niż na metr.

Wreszcie mężczyźni odwrócili się i ruszyli z powrotem, zerkając przez ramię i mrucząc coś pod nosem. Nawet prokurator odszedł, choć niechętnie. Przedtem czubkiem buta kopnął ziemię jak niesforny dzieciak.

Kiedy minęli rogoże, Maggie zwróciła się do szeryfa:

– Jestem Maggie O’Dell.

Schowała broń do kabury, nie spuszczając wzroku z mężczyzn. Przeniosła spojrzenie na szeryfa, gdy powiedział:

– Frank Skylar. Co, u diabła, robi tu FBI?

– Może mi pan wierzyć albo nie, ale przypadkiem byłam w okolicy. – Nie dodała: niestety. Prowadząc szeryfa na miejsce zbrodni, podjęła: – Chciałabym, żeby pan wezwał koronera. Proszę się upewnić, czy mógłby tutaj dotrzeć przed burzowymi chmurami.

– Cóż, to pewien problem.

Przystanęła i spojrzała na niego rozczarowana, że szeryf wciąż jest przeciw niej.

– A to dlaczego?

– Właśnie pani odesłała koronera.

– Jeden z nich jest koronerem? Dlaczego nic nie powiedział?

– Prawdę mówiąc, powiedział. Oliver Cushman jest prokuratorem hrabstwa, a według prawa stanowego prokurator hrabstwa pełni też funkcję koronera.

Tym razem to Maggie skomentowała:

– Chyba pan żartuje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Williamsburg, Wirginia

– Właśnie spędziłem trzy dni w Norfolku – powiedział Roger Bix, kiedy przeżuł dwa kęsy placka z brzoskwiniami.

– Domyślam się, że nie na wakacjach w Hilton Head – odparł Benjamin Platt.

– Czterdzieści dwoje uczniów liceum dostało silnych torsji po zjedzeniu lunchu w szkolnej stołówce.

– Zatrucie pokarmowe? – Gdy Bix nie odpowiedział, dodał: – Niestety to się zdarza częściej, niż sądzimy. – Drugi kęs cheeseburgera nie smakował mu tak jak pierwszy, natomiast apetyt Biksa nie uległ zmianie. Jak na kogoś, kto prosił tylko o kawę, pożerał placek, jakby cały dzień nic nie jadł. – Co to było? – spytał, kiedy Bix wciąż milczał. – Salmonella? Bakteria E.coli? – Miał na myśli Escherichia coli, czyli pałeczki okrężnicy.

Szef CDC odłożył widelczyk do ciasta, sięgnął po kubek i siorbnął kawę.

– Nie wiem.

– Za wcześnie, żeby coś powiedzieć?

– Nie, po prostu nie wiem. Przeprowadziłem testy na sześć głównych szczepów E.coli i trzy szczepy salmonelli, lecz do tej pory niczego nie znalazłem.

Platt patrzył na niego, czekając, aż Bix przestanie rozglądać się po barze, jakby nagle stracił ochotę na rozmowę. Bakterie bywają podstępne. Często znajduje się tylko to, czego akurat się szuka. Kiedy kładzie się próbkę pod mikroskopem, drobnoustroje nie pokazują się nam każdy w innym neonowym kolorze. Platt wiedział, że istnieje ponad dwa tysiące rodzajów salmonelli. Większość z nich żyje w organizmach zwierząt i ludzi, nie powodując żadnej szkody, lecz niektóre są groźnymi patogenami, które mogą wywołać wiele różnych chorób i infekcji, od nieżytu żołądka i jelit, po dur brzuszny.

– Chce pan powiedzieć, że to coś bardzo rzadkiego? – spytał Platt.

– Może jakaś zmutowana wersja. Naprawdę nie mam pojęcia.

Platt patrzył na szefa CDC, który bawił się widelczykiem.

– To był wypadek czy celowe zatrucie?

– Niektórzy twierdzą, że nasza żywność to źródło potencjalnej epidemii. Administracja państwowa uznała otyłość dzieci za sprawę narodowego bezpieczeństwa i chce usunąć ze szkół wszystkie automaty sprzedające jedzenie. Chce, żeby McDonald’s przestał zachęcać dzieci zabawkami dodawanymi do zestawów Happy Meals. Wzywa producenta Cheerios na dywanik, bo ten twierdzi, że jego płatki redukują poziom cholesterolu, a nie ma oficjalnie – pokazał palcami w powietrzu cudzysłów – żadnego prawa tak twierdzić. – Uśmiechnął się ponuro. – Nasza żywność jest bardziej niż kiedykolwiek narażona na

zanieczyszczenie, zatrucie i fałszowanie. Jaka jest odpowiedź rządu? Domagają się więcej regulacji prawnych, a jednak nie kontrolują, nie będą i nie potrafią kontrolować tego, co już podlega ich władzy. Zamykają fermę dostawców jajek z powodu wybuchu epidemii salmonelli, ale czterdzieści osiem godzin przed wybuchem epidemii inspektor Departamentu Rolnictwa pisze w raporcie, że ta ferma jest w porządku.

Bix odsunął naczynia i oparł plecy o winylową ściankę boksu. Cały ten czas Platt siedział w milczeniu, pozwalając mu się wygadać.

Platt był żołnierzem. Nie mógł sobie pozwolić na luksus publicznego wyrażania swoich poglądów politycznych tak jak Bix, który, choć był urzędnikiem państwowym, równocześnie był też cywilem. Co nie znaczy, że Platt nie zgadzał się z Biksem, przynajmniej w pewnych poruszonych przez niego kwestiach. Ale zrobiło się już późno. Platt jechał do baru prawie dwie godziny. Czekała go dwugodzinna podróż powrotna. Nic nie był Biksowi winien. Zdaniem Platta byli kwita.

– Co się właściwie dzieje, Roger?

Bix, skończywszy placek, oparł łokcie na stoliku i złączył dłonie, tworząc wieżę z palców wskazujących.

– Chorobę na pewno wywołało coś, co te dzieci zjadły. Najwyraźniej mamy do czynienia z jakimś zatruciem. Tego dnia wszystkie te dzieci jadły lunch w stołówce i po paru godzinach wykazywały typowe symptomy zatrucia pokarmowego: wymioty poprzedzone nudnościami, skurcze

jelit, a potem biegunka. I wreszcie gorączka. Tak było pierwszego dnia. Żałuję, że od razu mnie o tym nie poinformowano. Drugiego dnia część dzieci zaczęła oddawać mocz z krwią i skarżyć się na zawroty głowy. Trzeciego dnia kilkoro z nich cierpiało na straszne bóle. Pojawiły się halucynacje, były też dwa przypadki napadu drgawek.

– Kiedy do pana zadzwonili?

– Dzisiaj rano. Czwartego dnia.

Platt dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że odsunął na bok talerz ze zjedzoną do połowy kanapką. Pod stołem zacisnął dłonie w pięści. Nie, to nie może się powtórzyć. To niemożliwe. Niespełna dwa miesiące wcześniej w Pensacoli na Florydzie po operacjach kończyn, w tym amputacjach i zabiegach protetycznych, zachorowały dziesiątki żołnierzy, którzy wrócili z Iraku i z Afganistanu. Kilku z nich zmarło. Objawy były podobne. Ostatecznie okazało się, że było to spowodowane skażeniem tkanki, którego nikt się nie spodziewał ani nie przewidział. Świadomość, że mają do czynienia z kolejnym skażeniem, które dotyczy licznej grupy osób, tyle że tym razem w liceum, wręcz poraziła Platta.

Bix kontynuował:

– Większość chorób, których źródłem jest żywność, atakuje osoby o słabym lub osłabionym systemie odpornościowym, głównie ludzi starszych i dzieci. Tutaj mamy nastolatków. Wprawdzie ich system odpornościowy jeszcze nie został w pełni rozwinięty, ale nie należą do

grupy najwyższego ryzyka. Cokolwiek to jest, atakuje szybciej i silniej niż wszystko, na co się do tej pory natknąłem.

– Są przypadki śmiertelne? – Platt w zasadzie nie chciał znać odpowiedzi.

– Nie. Jest dość wcześnie, ale nie spodziewam się zgonów, ponieważ te dzieciaki poza tym są w większości zdrowe. Nie mogę jednak stwierdzić, że przynajmniej u niektórych nie wystąpią jakieś trwałe powikłania. Dwunastka z nich została hospitalizowana, a ja wciąż nie odkryłem źródła zatrucia. Własnymi rękami dosłownie przewróciłem kuchnię do góry nogami. Znalazłem kilka drobnych uchybień, jeśli chodzi o czystość, ale nic, co uzasadniałoby tak poważne dolegliwości.

– A pracownicy kuchni?

Bix wzruszył ramionami.

– Niewykluczone, ale rozmawialiśmy z nimi i wszystkich przebadaliśmy. Nikt z nich nie zachorował. Czy któryś z nich przeniósł jakąś bakterię do jedzenia, kiedy nie umył rąk po wyjściu z toalety? Nie włożył rękawiczek? Nie mogę tego stwierdzić, ale objawy były tak ostre, że moim zdaniem jedzenie zostało wcześniej skażone. A ponieważ objawy pojawiły się tak szybko, uważam, że bakteria już znajdowała się w żywności i tylko czekała, by się ujawnić.

– Znalazł pan resztki tego, co zjedli?

– Nie. Proszę pamiętać, że to już czwarty dzień. Wszystko wylądowało w śmieciach, a pojemnik został opróżniony. – Uniósł bezradnie dłonie. – Mam listę tego, co jedli, i adresy

dostawców. Mógłbym spędzić dziesiątki godzin, usiłując ustalić, czy do zakażenia doszło w zakładzie produkcyjnym, w magazynie czy może w szkolnej kuchni. A szkoły są zaopatrywane przez różne magazyny i sklepy, nie jeden. Czyste szaleństwo.

– Ale to chyba nie pierwszy taki przypadek?

– CDC dowiaduje się o tym tylko wtedy, gdy dzieci są hospitalizowane albo dochodzi do zgonów. Od miesięcy nie mieliśmy raportów o podobnych zatruciach. Ale szkoły nie śpieszą się z takimi raportami. A dzieciaki chorują. I to często.

– Czekanie, aż zachoruje ich czterdzieści dwoje naraz, wydaje się niewłaściwe. Co znalazł pan u ofiar?

– Już mówiłem, że nic. Żadnego z popularnych szczepów bakterii. Moje laboratorium w Atlancie wciąż prowadzi badania. Może się okazać, że to jakaś zmutowana wersja salmonelli. Pamięta pan, jak w dwa tysiące szóstym wycofywano ze sprzedaży szpinak? Dwieście pięć przypadków zachorowań. W dwudziestu sześciu stanach. Sto dwie osoby hospitalizowane. Pięć zgonów. Tylko pięć, dzięki Bogu. To była E.coli 0157:H7, wyjątkowo złośliwy szczep. Pracowałem wtedy nad tym. – Przerwał na moment. – Zaczęliśmy wszystko źle. Skoro to była E.coli, przetrząsnęliśmy lodówki i pojemniki na śmieci ofiar, szukając hamburgerów, czegokolwiek z mieloną wołowiną. Kilka ofiar powtarzało nam: „Nie jemy czerwonego mięsa, odżywiamy się zdrowo”. Szpinak był ostatnią rzeczą, o jakiej w ogóle pomyśleliśmy. – Ponuro pokiwał głową. –

Ofiary były ogólnie zdrowe, ale szczep okazał się bezwzględny. To mi przypomina tamten przypadek, co bardzo mi się nie podoba. – Postukał złączonymi palcami w wargi. – Obawiam się, że to będzie coś jak salmonella na sterydach.

– Czy istnieje prawdopodobieństwo celowego działania?

Bix znowu oparł plecy, a winylowe oparcie zaskrzypiało. Przetarł oczy i skrzyżował ramiona na piersi. Platt domyślił się, że właśnie miał okazję zobaczyć Rogera Biksa w tej rzadkiej chwili, kiedy się wyłączył. Był zatem zdziwiony, gdy szef CDC rzekł:

– Tak, istnieje. Nie mogę powiedzieć, dlaczego tak myślę, ale podejrzewam, że ktoś zrobił to z premedytacją.

– Powiedział to pan w Departamencie Rolnictwa?

– Dzwoniłem do wydziału odpowiedzialnego za program żywienia w szkołach, a oni odesłali mnie do nowej podsekretarz Agencji ds. Bezpieczeństwa Żywności. Udało mi się połączyć tylko z jakąś podwładną w jej biurze, która mi oznajmiła, że pani podsekretarz oddzwoni do mnie, kiedy otrzyma mój raport i będzie w stanie się do niego ustosunkować. Potem odesłała mnie z powrotem do wydziału, do którego dzwoniłem na początku. Nie znoszę tego odsyłania człowieka od Annasza do Kajfasza. Agencja ds. Bezpieczeństwa Żywności ma nową podsekretarz. Nie znam Irene Baldwin, ale już jej nie ufam. Była dyrektorem generalnym dużej korporacji przemysłu spożywczego. Dla mnie to tak, jakby zaprosić lisa do pilnowania kurnika.

– Okej, a co z FBI? Czy nie powinni się tym zająć? Nazywają to, zdaje się, agroterroryzmem. Skoro ktoś zrobił to celowo, sprawa powinna podlegać FBI.

– Racja. FBI we współpracy z Agencją ds. Bezpieczeństwa Żywności, Agencją ds. Żywności i Leków i Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego. Tak, to FBI prowadzi śledztwo. Skontaktowali mnie z zastępcą dyrektora, nazywa się Raymond Kunze. Prawdę mówiąc, prosiłem o Margaret O'Dell. To ona w zeszłym roku rozwikłała tę sprawę z ebolą. Jednak oświadczono mi, że dostała inne zadanie gdzieś w Oklahomie czy Idaho.

– W Kolorado.

– Tak, racja. Kunze przydzielił mi R. J. Tully'ego. On też pracował przy sprawie eboli. Ale słyszałem, że był zawieszony. Nie jestem pewien, czy mi się podoba, że dali mi zawodnika rezerwowego.

– Tully jest dobry. Ta sprawa była dla niego osobiście ważna. Ma pan szczęście, że go panu przydzielili. – Gdy Bix tylko kiwnął głową, spytał: – Ale wciąż nie wiem, dlaczego pan do mnie zadzwonił. Ma pan agenta FBI, a także w Atlancie najlepszych naukowców w kraju. Jeśli pan chce, żebym panu w czymś pomógł, chętnie to zrobię. Tylko nie wiem, co mógłbym wnieść.

– Pańska obecność wnosi tę jedną rzecz, której, mam nadzieję, nie będę potrzebował.

– Cóż to takiego?

– Armia Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Park Narodowy w Nebrasce

Kiedy ostatni ranni zostali wyniesieni z miejsca zbrodni, Maggie nie bardzo wiedziała, co dalej.

– Wezwę przez radio Olly’ego Cushmana – powiedział do niej szeryf Skylar.

– Nie, chwileczkę. Czy prokurator hrabstwa ma przygotowanie medyczne?

– Przygotowanie medyczne? Pewnie w takim stopniu jak pani czy ja.

– Ja mam za sobą trzy lata szkoły medycznej.

Spojrzał na nią, szeroko otwierając oczy, w końcu powiedział:

– Na pewno brał udział w tym samym szkoleniu co ja. Na temat śledztwa w sprawie morderstwa.

– Tego rodzaju zbrodnia wymaga kogoś z rzetelną wiedzą. Tygodniowe szkolenie to za mało.

– Prawdę mówiąc, było jednodniowe.

– Słucham?

– To dość gruntowny kurs – włączył się Donny, po czym szybko odwrócił wzrok, pocierając brodę.

Było już jednak za późno, bo Maggie zdążyła dostrzec jego dezaprobatę.

– I tak nie można tutaj zbadać tych ciał. – Skylar demonstracyjnie mówił do Donny’ego, jakby to oni dwaj mieli o tym decydować. – Musimy je spakować do worków i przewieźć w odpowiednie miejsce. Może do North Platte. Trzeba je stąd wynieść, zanim zacznie lać i zmyje ślady.

– Właśnie dlatego musimy kogoś sprowadzić, i to zaraz – odparła Maggie. – To ważne, żeby na miejscu zbrodni zbadać ciała, zwłaszcza że znajdują się pod gołym niebem. Zdjęcia nie będą mieć takiego znaczenia. Czy Cushman kiedykolwiek prowadził śledztwo w sprawie śmierci?

– Oczywiście, że tak – rzekł szeryf. – Na początku lata. Wyciągnęliśmy ciało kobiety z Middle Loup. Straszny widok.

– Morderstwo?

– Wypadek.

– Zdawało mi się, że ktoś ją widział, jak skakała z mostu na osiemdziesiątej trzeciej – wtrącił Donny.

– Stwierdzono, że to był wypadek.

– A jeśli chodzi o morderstwa?

– Jak daleko sięgam pamięcią, w hrabstwie Thomas nie popełniono żadnego morderstwa.

– A Patrol Stanowy? – Maggie przeniosła wzrok na Donny’ego. – Chyba macie swojego koronera.

– Owszem, w Scottsbluff.

Donny przyjechał po Maggie do Scottsbluff. Zdawało jej się, że podróż stamtąd trwała wieczność, i to za dnia. Obejrzała się przez ramię.

– Ale my w tej chwili potrzebujemy kogoś z przygotowaniem medycznym. Na pewno ktoś taki znajdzie się gdzieś bliżej. Może w policji?

– Znam taką osobę. Tuż za North Platte. Jest już na emeryturze. Nazywa się Lucy Coy.

– Nie, tylko nie ta stara szalona Indianka. – Szeryf wsadził kciuk za pasek, patrząc wyzywająco.

– Lucy działa zgodnie z procedurą – rzekł Donny. – Nigdy nie mieliśmy żadnych skarg.

– Jasne, że nie. Na każdego, kto by ją skrytykował, rzuciłaby klątwę.

Maggie widziała, jak Donny zaciska zęby. Odwróciła się plecami do szeryfa i spytała Donny'ego:

– Ta Lucy Coy ma jakieś wykształcenie medyczne?

– Raczej nie jest dyplomowanym lekarzem, ale przez lata pracowała z Patrolem Stanowym przy śledztwach w sprawie zgonów. Jeszcze zanim ja zacząłem służbę. Wykształciła kilku z naszych najlepszych śledczych. Nasz kurs trwa tydzień.

– Pewnie nauczyła ich też czarnej magii.

– Mnie także szkoliła, Frank.

Szeryf podniósł ręce, potrząsając głową z uśmiechem, jakby nie miał nic złego na myśli, ale tak naprawdę nie było w tym cienia skruchy.

– Daleko mieszka? – Maggie tylko to interesowało.

– Do diabła, zdaje mi się, że gdzieś na południe stąd.

– Niech pan do niej zadzwoni.

– Lepiej będzie zabrać stąd te dzieciaki i porządnie je zbadać – zaprotestował szeryf.

– Niech pan dzwoni – powtórzyła Maggie.

Donny wyjął komórkę, sprawdził, czy ma zasięg i włożył ją z powrotem do kieszeni. Potem wyciągnął zza paska walkie-talkie.

– W każdej chwili może lunąć deszcz – zaoponował znów Skylar. – Jak będziemy czekać na Lucy Coy, zmyje wszystkie ślady. A potem ona będzie szukać duchów i robaczków świętojańskich. Nie ruszymy się stąd do świtu.

Tym razem Maggie przeszyła go takim wzrokiem, aż szeryf cofnął się o krok. Może sobie przypomniał, że kilka chwil wcześniej ta sama kobieta mierzyła rewolwerem w przedstawicieli władzy hrabstwa.

– Wciąż liczę na to, że będzie pan brał czynny i produktywny udział w tym śledztwie, szeryfie... – Urwała gwałtownie. Miała ochotę posłać go do diabła, ale doświadczenie ją nauczyło, że współpraca z przedstawicielami lokalnych służb ma ogromny wpływ na wsparcie ze strony miejscowej społeczności. Ten szeryf mógł być jej największym skarbem albo największym ciężarem.

Wrócił Hank z jednym ze swoich ludzi.

– Hank, można tu dostać nieużywane brązowe papierowe torby? – spytała.

– Na górze, w sklepie z pamiątkami.

– A więcej płacht brezentowych i wodoszczelnych worków? Zwłaszcza nowych. I linę czy sznur?

– Chyba coś znajdziemy.

– Podzielimy ten teren na pięć części – wyjaśniła Maggie. – Każdy z nas będzie przeszukiwał swój kwartał. Czy pan zostaje, szeryfie?

Wszyscy spojrzeli na niego. Westchnął, potem kiwnął głową. W tej samej chwili Donny zawołał:

– Lucy już jedzie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kiedy Lucy Coy zbliżała się do miejsca zbrodni, Maggie usłyszała pierwsze krople deszczu uderzające w baldachim utworzony przez wierzchołki drzew. Nie było w tej kobiecie absolutnie nic takiego, co kazałoby Maggie nazwać ją, choćby w myślach, starą czy szaloną.

Lucy miała na sobie sportowe buty, niebieskie dżinsy i białą koszulę wystającą spod przeciwdeszczowej kurtki. Wysoka i szczupła, poruszała się z elegancją tancerki i naturalną, pozbawioną arogancji pewnością siebie. Do otaczającej ją aury tajemniczości przyczyniały się niewątpliwie sterczące gdzieniegdzie w krótkich ciemnych włosach i przypominające piórka srebrne kosmyki. Każdy inny sprawiałby wrażenie, jakby właśnie wstał z łóżka, jednak Lucy Coy wyglądała stylowo. W jaskrawym świetle reflektorów na jej twarzy nie było widać wyraźnych zmarszczek, tylko gładką skórę na kościach policzkowych. Spojrzenie ciemnych oczu, kiedy już wszyscy zostali sobie przedstawieni, skupiło się na Maggie. Bez cienia rozdrażnienia przyglądała się agentce FBI, która wyciągnęła ją z ciepłego suchego domu. Przeciwnie, można by raczej pomyśleć, że chce dokładnie pojąć, czego się od niej oczekuje, a potem zabrać się do pracy.

Maggie zrozumiała obawy, które Lucy Coy budziła w szeryfie. Nie pasowała do tych mężczyzn, a równocześnie

świetnie pasowała do tego otoczenia, w samym środku lasu była u siebie. Nawet chyba nie zwróciła uwagi na deszcz.

Mężczyźni z drugiej strony wzgórza przynieśli i na granicy miejsca zbrodni zostawili rzeczy, o które prosiła Maggie: aparat cyfrowy, lateksowe rękawiczki, papierowe torebki, pisaki i kilka toreb chłodzących. Maggie nalegała, by używali tylko nowych brezentowych plandek, żeby nie zanieczyścić terenu. Rozwiesili je między drzewami nad miejscami, które uznali za ważne i które czekały na dokładne oględziny, a także na ewentualne zrobienie odcisków.

Kiedy ranni po kolei opuszczali ten teren, przenoszeni tam, gdzie oceniano ich obrażenia, do świadomości wszystkich zaczęło docierać, co tutaj naprawdę się stało. Zdaniem Maggie owinięty kolczastym drutem chłopiec był najbardziej poszkodowany, oczywiście nie licząc tych dwóch, którzy czekali na Lucy Coy.

Głęboki głos Lucy pełen był powagi. Mówiła zgodnie z rytmem wiatru oraz nocnych ptaków, oszczędnie posługując się słowami i pilnie słuchając.

– Zrobiliśmy już niezbędną dokumentację fotograficzną – zwróciła się do niej Maggie. – Uznałam, że ktoś, kto ma przygotowanie medyczne, powinien obejrzeć ciała tam, gdzie zostały znalezione, zanim je zabierzemy.

Maggie szła za Lucy, która kroczyła za Donnym. Szeryf ciągnął się na szarym końcu, jakby w ten sposób wciąż wyrażał swoją irytację. A jednak nie odpuścił, nie chciał tego stracić.

Kiedy wreszcie spadł deszcz, towarzyszyły mu skromne fanfary. Od czasu do czasu drzewa trzęsły się od grzmotów, a niebo nad kopułą gałęzi rozjaśniały błyskawice. Ale gwałtowne wyładowania elektryczne, które wcześniej przebijały się przez chmury, pokazywały się tylko daleko na horyzoncie. Maggie była za to wdzięczna losowi. Uznała niewielki deszcz za błogosławieństwo w porównaniu z tym, czego się spodziewała. Zgadzały się z nią nawet cykady i świerszcze, które zaczęły konkurować z cichym szumem generatora stojącego na stromym wzniesieniu. Jego dźwięk tłumiły zarośla i łatwo można by o nim zapomnieć, gdyby nie spływające z góry macki pomarańczowych kabli.

Kiedy mijali wciąż zwisającą z gałęzi martwą sowę, Lucy podeszła tak blisko, aż znalazła się dokładnie pod nią.

– Ma przypalone skrzydła – stwierdziła, po czym pochyliła się, żeby obejrzeć ziemię.

Kilka pomarańczowych palików znakowało miejsce, gdzie Maggie potknęła się o chłopca owiniętego kolczastym drutem.

– Tutaj leżał jeden z rannych – poinformowała.

Lucy kiwnęła głową, po czym wsadziła palec wskazujący do piasku między dwie plamy krwi.

Maggie zobaczyła, że szeryf rzucił Donny’emu gniewne spojrzenie. Kątem oka wychwyciła, jak bezgłośnie powiedział:

– A nie mówiłem? – Jakby tego było mało, przyłożył do czoła palec wskazujący i pokręcił nim, podkreślając, że Lucy Coy to naprawdę wariatka.

Ona zaś obejrzała jedną z dolnych gałęzi, po czym oznajmiła:

– Tutaj jest jakaś nitka. Splątana, ale nie zniszczona. Możemy ją schować do torebki?

– I sowę. – Donny skinął głową. – Ją też możemy spakować?

Lucy obeszła wiszącego do góry nogami ptaka, żeby zajrzeć mu w oczy. Ignorując reakcję szeryfa, stwierdziła:

– Indianie wierzyli, że sowy zabierają dusze zmarłych.

– Czy dlatego mamy ją wziąć, ponieważ pani uważa, że mogła przechwycić ich dusze? – spytał szeryf, starając się zachować poważną minę.

Maggie z trudem kryła złość, którą budził w niej Skylar, a jednocześnie miała nadzieję, że nie popełniła błędu, prosząc o pomoc kobietę, na której opinię może wpływać świat duchów jej przodków. Świat, który zdaniem Maggie w śledztwie kryminalnym nie ma żadnego znaczenia i który nie budził jej szacunku ani zainteresowania, a raczej zniecierpliwienie.

– Moim zdaniem to, co przydarzyło się tym nastolatkom, spotkało też tę sowę – spokojnie ciągnęła Lucy Coy. – Sposób, w jaki jej szpony są wciąż zaciśnięte na gałęzi – wskazała palcem – a także przypalone skrzydła świadczą o tym, że sowa została porażona prądem.

– Porażona prądem? – spytał Donny.

– To idiotyczne – mruknął szeryf.

Serce Maggie zabiło mocniej. Dokładnie to samo pomyślała o chłopcu owiniętym kolczastym drutem i dwóch

denatach.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wirginia

Platt zauważył, że jedzie za nim jakiś samochód, gdy tylko ruszył z parkingu przed barem. Z początku pomyślał, że to Bix zapomniał mu coś powiedzieć, bo paranoiczny szef CDC ze strachu przed podsłuchem raczej by go ścigał niż sięgnął po komórkę. Ale jadący za nim wóz, szósty z kolei z sunących za nim pojazdów, nie był wypożyczonym fordem Biksa. Podwójne reflektory znajdowały się tak wysoko jak w land-roverze Platta.

Platt zjechał na drogę międzystanową, dodając gazu. Podwójne reflektory nadal go śledziły. Zmienił pas i spojrzał w tylne lusterko. Podwójne reflektory go nie opuszczały, teraz dzielił go od nich tylko jeden samochód. Ruch był dość spory, inne pojazdy wymijały się, ale ten z podwójnymi reflektorami wciąż mu towarzyszył. Platt przejechał prosto kilka kilometrów, a potem zmienił pas na prawy i w ostatniej sekundzie gwałtownie skręcił w kolejny zjazd. Jego ogon, tym razem już nie tak dyskretnie, ruszył za nim, prowokując kierowcę innego auta, który musiał ostro przyhamować, do naciśnięcia klaksonu.

Platt skręcił na stację benzynową i zaparkował obok jedynego dystrybutora paliwa, gdzie można było zapłacić za tankowanie kartą kredytową. Nie wysiadł z samochodu.

Czekał, gotowy wcisnąć gaz do dechy, gdyby śledzący go samochód podjechał za nim. Tutaj nie mógłby już udawać, zwłaszcza gdyby stanął przy jednym z dystrybutorów. Ale podwójne reflektory zostały na autostradzie i czarny chevrolet suburban z przyciemnionymi szybami, nie zwalniając, minął stację benzynową.

Platt oparł plecy i głęboko odetchnął. Przetarł twarz dłonią. Poruszył szczęką. Okej, więc paranoja Biksa jest zaraźliwa.

Zatankował do pełna, chociaż nie potrzebował aż tyle paliwa na powrót do domu. Potem przez kilka minut czyścił przednią szybę, cały czas lustrując wszystkie samochody, które podjeżdżały na stację, jak i te, które pędziły autostradą.

Kiedy znowu ruszył w drogę, trzymał się z dala od międzystanowej i krążył bocznymi uliczkami, gdzie był w stanie stwierdzić, czy ciągnie się za nim jakiś ogon. Zaskoczył go spory ruch o tej późnej porze, ale wierzył, że zauważy czarny wóz z przyciemnionymi szybami. W końcu uznał, że jest bezpieczny, i zawrócił do domu rodziców.

Wiedział, że jeszcze nie śpią, tylko oglądają telewizję. Oboje byli już na emeryturze i mogli sobie na to pozwolić. Na pewno siedzą na kanapie z Diggerem pośrodku i pałaszują lody. Kochali tego psa, jakby był ich wnukiem. Matka będzie go namawiała, żeby został na noc, ale Platt ją przekona, że Digger dotrzyma mu towarzystwa podczas dwóch godzin jazdy do Waszyngtonu. Matka będzie udawała, że się gniewa, ale da mu całusa w policzek,

a ojciec każe mu się zameldować przez telefon, gdy tylko zajedzie do domu.

Platt zaparkował i przez parę minut siedział jeszcze w aucie i sprawdzał wiadomości głosowe, SMS-y i pocztę. Dostał kilka wiadomości, ale żadnej od osoby, od której miał nadzieję ją dostać, czyli od Maggie. Wiedział, że jej samolot wylądował bezpiecznie w Denver bez opóźnienia. Sprawdził to w internecie, znając numer lotu. Nie mógł się powstrzymać.

Wyciągnął się wygodnie na skórzanym fotelu i pokręcił głową. Nieźle mu się żyło, zanim Maggie się pojawiła. W końcu odnalazł spokój, pogrążył się w pracy, wracał do domu i siadywał z Diggerem na tylnym ganku. Starał się zbyt często nie wspominać swojej córki, Ali, ale Digger wciąż mu o niej przypominał.

Z początku z trudem znosił obecność Diggera, lecz pies szybko stał się jego cieniem i kumplem. Platt wiedział, że tęskni za Ali tak samo jak on. Byli nierozłączni albo, jak mawiała Ali, byli „najnajlepszymi przyjaciółmi”. Teraz Platt był wdzięczny za towarzystwo psa i za to, że Digger przypomina mu jasne dni córki, a nie te ponure tygodnie, miesiące, lata po jej odejściu.

Od śmierci Ali nie pozwalał sobie na taki luksus jak zainteresowanie kobietami. Maggie była pierwsza. Chwilami, tak jak teraz, zastanawiał się, czy to ma sens. Ale kiedy był z Maggie, rozmawiał z nią – do diabła, nawet kiedy słyszał jej głos przez telefon – czuł się znowu jak student. To działało na niego ożywczo, wprawiało

w radosny nastrój. Z kolei gdy nie wiedział, co się z nią dzieje, czuł się bardzo nieszczęśliwy. Nie znosił tej ciągłej huśtawki.

O co tu chodzi, do diabła? Nie był już dzieckiem. Był pułkownikiem, lekarzem wojskowym armii Stanów Zjednoczonych. Człowiekiem logicznym i praktycznym, któremu służą porządek i dyscyplina. Podejmował decyzje i rozwiązywał problemy. Przebywał w strefach działań wojennych i rejonach zagrożonych epidemią. Operował żołnierzy podczas nalotów bombowych. Leczył ofiary wirusa eboli, pracując w namiocie za granicą Sierra Leone. W ciągu trzydziestu dwóch lat życia widział i robił niewiarygodne rzeczy. A jednak nic nie dało się porównać z tą chwilą, kiedy Maggie O'Dell siadała z nim na sofie, kładąc bose stopy na jego kolanach, i spędzali jeden z niewielu wspólnych wieczorów, podziwiając stare klasyczne filmy. Albo też jedno z jeszcze rzadszych wspólnych sobotnich popołudni, kiedy oglądali mecze studenckiej ligi amerykańskiego futbolu.

Spojrzał znów na smartphone'a. Żadnych nowych wiadomości w ciągu ostatnich pięciu minut. Nacisnął Kontakty i odszukał numer Maggie. Wybrał wiadomości tekstowe i napisał:

Tęsknię za tobą. Buziaki uściski Ben.

Jednak zawahał się i nie nacisnął Wyślij.

Za dużo?

Nacisnął Powrót i wykasował „Buziaki uściski Ben".

Znowu się zawahał. Nacisnął Powrót i wykasował „Tęsknię za tobą”.

Zamknął telefon i powiedział do siebie:

– Tchórz.

W chwili gdy sięgnął do klamki, zobaczył czarnego chevroleta suburbana. Reflektory były wyłączone, samochód stał za rogiem. Kierowca musiał czuć się bezpiecznie, skoro zaparkował tak blisko. Uznał, że Platt już wysiadł i wszedł do domu. Suburban stał tam jeszcze kilka sekund, dość długo, żeby zdążyć zapisać adres. Potem wolno ruszył przez skrzyżowanie. Dopiero po przejechaniu przecznicy włączył światła.

No świetnie, pomyślał Platt. Sprowadził pod drzwi domu rodziców jakichś zbirów.

Wysiadł z land-rovera, obszedł samochód i wyjął z bagażnika worek. Wyglądało na to, że jednak tutaj przenocuje.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Park Narodowy w Nebrasce

Kiedy wchodzili na wzgórze z drugim ciałem w worku, deszcz zamienił się w prawdziwą ulewę. Mokra trawa i piasek utrudniały wspinaczkę. Maggie ledwie zdołała uratować się przed upadkiem, a nawet nie niosła ciała. To było jej ostatnie ustępstwo na rzecz Donny’ego – pozwoliła mężczyznom nieść zwłoki. Dyskusja na ten temat byłaby irytująca, zwłaszcza że Maggie czuła się kompletnie wyczerpana psychicznie i fizycznie.

Pozwoliła nawet mężczyznom, którzy czekali po drugiej stronie wydmy, granicy miejsca zbrodni, przekroczyć tę granicę i pomóc im nieść sprzęt, żeby papierowe torebki z dowodami nie zmokły. Oczywiście szczelnie je zakleiła i oznakowała.

Szeryf zgodził się przechować wszystkie rzeczy w bezpiecznym miejscu. Rano je obejrzą, posegregują i zdecydują, dokąd wysłać najważniejsze dowody. W tej chwili musieli przede wszystkim schować się przed deszczem, znaleźć ciepłe i suche miejsce i odpocząć przed kolejnym rankiem, który przyniesie kolejne zadania. A jednak Donny, Lucy i Maggie stali na deszczu jak zahipnotyzowani czerwonymi tylnymi światłami, które kołysały się wzdłuż wyżłobionych w błocie kolein, teraz

nieco szerszych, gdyż od lat nie przejeżdżało tędy tyle samochodów.

Donny na moment zapalił latarkę, żeby zerknąć na zegarek. Nadal mokli na deszczu. Bez szumu generatora czy silników samochodów śpiew cykad rozbrzmiewał głośno.

– Chyba deszcz im nie przeszkadza – stwierdziła Maggie.

Ani Donny, ani Lucy nie odpowiedzieli, ale wydawało się, że rozumieją, o czym mówi Maggie.

W końcu Donny rzekł:

– Minęła druga. Właściwie nie wiem, co z panią zrobić.

Dopiero po chwili Maggie zdała sobie sprawę, że to o nią chodzi. Planowała szybko obejrzeć kilka miejsc, gdzie zostało okaleczone bydło, i wrócić do Denver. Zarezerwowała pokój w hotelu, gdzie odbywała się konferencja. W sobotę z samego rana miała poprowadzić pierwsze zajęcia zaplanowane na ten weekend. Mogła zaoszczędzić trochę czasu, lecąc do Scottsbluff, gdyby nie miała nic przeciwko wejściu na pokład samolotu dwusilnikowego. Ale miała wiele przeciw.

– Pojedzie do mnie – oznajmiła Lucy Coy.

Donny kiwnął głową, jakby i on, i Lucy zgodnie uznali, że Maggie nie ma nic w tej sprawie do powiedzenia.

O dziwo, nie zaprotestowała. Kiedy ruszyli przed siebie, po prostu za nimi poszła. Z bagażnika Donny’ego wyjęła swoją skórzaną torbę na ramię. Walizka została w bagażniku wypożyczonego samochodu na parkingu centrum handlowego w Scottsbluff.

– Rano przyślę kogoś, kto odwiezie panią do Scottsbluff – rzekł Donny. – Zadzwonię do oficera dyżurnego, żeby pani samochód i rzeczy były w nocy bezpieczne.

Chciała mu powiedzieć, żeby nie robił sobie kłopotu. W walizce nie miała nic cennego ani unikalnego, czego nie można by kupić. Zamiast tego tylko podziękowała i wsiadła do auta Lucy. Zwróciła uwagę na drewnianą boazerię oraz skórzane miękkie fotele i uśmiechnęła się. W końcu coś, czego mogła się spodziewać po kobiecie. Lucy Coy jeździła dżipem grand cherokee, za to elegancko i luksusowo wyposażonym. Było w tym coś pokrzepiającego. Może Maggie jednak nie straciła swojej zdolności do oceny ludzi.

Kiedy jechały po wyboistej drodze, w niebieskawym świetle lampek deski rozdzielczej zerknęła na królewski profil Lucy Coy. Maggie była psychicznie i fizycznie wykończona. Przemoknięte ubranie kleiło się do skóry. Choć wytarła się ręcznikiem, który jej podała Lucy, woda z włosów kapała do oczu. Podmuchy ciepłego powietrza w samochodzie tylko zwiększały odczucie chłodu. Maggie O’Dell nie ufała obcym, nie wspominając już o tym, by pojechała do domu z kimś, kogo znała zaledwie parę godzin, a jednak w obecności tej kobiety czuła się bezpiecznie i komfortowo.

Poprawiła się na siedzeniu i podciągnęła pod siebie nogę. Pomyślała o Benie i nagle zapragnęła usłyszeć jego głos. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej – minęła druga szesnaście w nocy. Nie będzie go budzić. Oparła się wygodnie i zamknęła oczy.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

North Platte, Nebraska

Dawson Hayes otworzył oczy. Z jego nosa i rąk wystawały plastikowe rurki. Wzdrygnął się i jęknął, i zaraz usłyszał, że zasyczało i zabulgotało jakieś urządzenie. Śniły mu się ptaki z rozżarzonymi oczami, które siedziały nad jego głową na wierzchołkach najwyższych w lesie sosen.

Szukał wzrokiem kobiecych, jasnobrązowych oczu, które łagodziły ból i obiecywały, że go nie opuszczą. Co się z nią stało?

Spanikowany zatrzepotał powiekami. Starał się nie zamykać oczu. Jakiś cień nad nim powiedział:

– Chyba się budzi.

Dwa mrugnięcia znaczą „tak”.

Dawson nie potrafił mrugnąć. Powieki mu opadały.

Stać go było jedynie na półmrugnięcia, ale to wystarczyło, by zobaczył, jak cień wbija igłę do jednej z rurek.

– Nie, nie... nie – wyjąkał. Gardło miał wyschnięte. Coś w tym gardle utkwiło. Nie mógł przełknąć. Oddychał z trudem. Obce szumy i dźwięki raziły jego uszy.

Potem po drugiej stronie słabo oświetlonego pokoju ujrzał ognistoczerwone oczy. To stworzenie go śledziło. Jak to możliwe?

Chciał się ruszyć i walczyć, ale coś go trzymało w uścisku. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale jakieś ustrojstwo zatkało mu gardło. Starał się otworzyć szerzej oczy, bo widział wszystko jak przez mgłę.

Potem poczuł, jak do jego żył wpływa ciepły płyn. To było przyjemne i uspokajające. Coś, co ten cień wstrzyknął do plastikowych rurek, rozlewało się po jego ciele. Czuł, jak sączy się do mózgu, i wyobraził sobie, jak gna i pędzi tętnicami, zastępując zimną krew. Kojące płynne ciepło zakręciło mu w głowie i uspokoiło serce.

Stanął nad nim drugi cień. Ten z kolei pochylił się, a Dawson poczuł woń sosnowych igieł i rzecznego błota połączoną z zapachem potu. Gorący oddech parzył mu ucho, kiedy drugi cień szepnął:

– Jeszcze pożałujesz, że przeżyłeś.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Szeryf chce dobrze. – Lucy podała jej tacę z gorącym domowym rosołem z kurczaka, kanapką z kilkoma warstwami smakołyków na talerzu ozdobionym świeżymi truskawkami i jagodami amerykańskimi, a także kubkiem pachnącej herbaty.

– Dziękuję. – Chwila oczekiwania, aż gospodyni zajmie miejsce, wymagała od Maggie wielkiej samodyscypliny.

– Zadba o to, żeby się tymi dzieciakami właściwie zajęto – dodała Lucy. – Także zmarłymi.

Siedziały na osłoniętym tarasie poddasza nowoczesnego domu Lucy w kształcie litery A, który przypominał rezydencje ze zdjęć zamieszczanych w „Przeglądzie Architektonicznym”. Z tarasu roztaczał się widok na wierzchołki drzew i podwórze. Kiedy księżyc przebił się przez chmury, Maggie widziała pokryte sosnami wzgórza, krajobraz niezakłócony przez żadne ogrodzenia, płoty czy inne domostwa, i to na przestrzeni wielu kilometrów.

Po deszczu została mgła, od czasu do czasu wiatr niósł ze sobą maleńkie kropelki. Ale Lucy włączyła elektryczny kominek w rogu, dzięki czemu otwarte pomieszczenie stało się przytulnym schronieniem. Za rozsuwanymi oszklonymi drzwiami znajdowało się mieszkalne poddasze z wielkim łóżkiem, czekającym na Maggie, która była zbyt zmęczona, żeby zasnąć. Kiedy Lucy zaproponowała jej coś do jedzenia

przed snem, Maggie z wdzięcznością przyjęła propozycję. W samolocie z Waszyngtonu do Denver zjadła tylko banana i wypiła dietetyczną pepsi, a to było wczesnym rankiem. Zapomniała o wynoszącej dwie godziny różnicy czasu. Jej głowa i żołądek funkcjonowały według czasu Wschodniego Wybrzeża, a nie Gór Skalistych. Nic dziwnego, że miała wrażenie, iż od wielu dni nic nie jadła.

Poza tym od miesięcy cierpiała na bezsenność, z którą nie mogła sobie poradzić. Makabryczne obrazy, które napotykała na zawodowej drodze, a także złe osobiste doświadczenia nauczyła się upychać w szczelnie zamkniętych szufladkach pamięci. Robiła to cierpliwie i starannie, a jednak ostatnio szufladki zaczęły przeciekać, i najczęściej działo się to po zmierzchu.

Nocne koszmary wciąż od nowa wracały do przeszłości i wciąż na nowo ją pokazywały, czasami w stop-klatkach, czasem w obrazach o dużej rozdzielczości. Maggie nie znalazła na to lekarstwa, po prostu nic na nią nie działało. Ani ciepłe mleko, ani alkohol, ani ćwiczenia czy cisza. Jedyne, co w ogóle kiedykolwiek pomogło jej zasnąć – ale tylko raz – to były ciepłe silne dłonie Benjamina Platta, który masował jej napięte mięśnie pleców i karku. Choć był to tylko masaż i nie prowadził do niczego więcej, wciąż czerwieniła się na samo wspomnienie.

Dwa psy Lucy, chudy mieszaniec retrievera z czymś oraz bokser o trzech łapach, weszły na taras i zwinęły się u stóp swojej pani. Wcześniej wybiegły na spotkanie dżipa i eskortowały go wzdłuż długiego podjazdu. Lucy wyjaśniła,

że ludzie podrzucają psy na jej posesję, wiedząc, że się nimi zaopiekuje. Dzięki temu unikają poczucia winy, które by ich dręczyło, gdyby uwiązali zwierzaka w lesie, skazując go na śmierć. Gdy światła omiotły bok budynku, Maggie zobaczyła jeszcze dwa psie pyski wystające zza drzwi komórki.

Czarny owczarek niemiecki szturchnął łokieć Maggie, dopraszając się o pieszczotę.

– Jake – skarciła go łagodnym tonem Lucy, na co pies położył się obok Maggie. – Zwykle nie jest taki przyjacielski. Pojawił się tu miesiąc temu, ale przychodzi i odchodzi, zależnie, na co akurat ma ochotę. Czasami nie ma go parę dni.

– Może ma drugi dom?

– Nie sądzę, bo wraca podrapany i wygłodzony. Hankowi wydawało się którejś nocy, że widział go w lesie. To mnie martwi, bo podobno widziano tam też pumę. Sądzę, że stary Jake jeszcze nie zdecydował, czy chce mój dom nazwać swoim domem.

Jakby na zawołanie, pies położył łeb na stopach Maggie, która podrapała go między uszami, a potem powiedziała:

– Mam białego labradora. Nazywa się Harvey. Też znalazł się u mnie przez przypadek.

– Jak się domyślam, uratowała go pani?

– Wolę myśleć, że uratowaliśmy się nawzajem.

– Aha... – Lucy uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd się spotkały, a potem długimi palcami objęła filiżankę herbaty i poprawiła się na wyplatanym fotelu.

– Co pani zdaniem wydarzyło się tutaj tej nocy? – spytała Maggie. – To nie mogła być tylko zabawa taserem, prawda?

– Nigdy nie widziałam takich skutków użycia paralizatora. – Lucy zadumała się na moment, popijając herbatę. – Tyle że czasami pozory mylą. Przez lata farmerzy stawiali ogrodzenia z drutu kolczastego. Bydło ich nie przekraczało, bo to wiązało się z bólem. Intruzi też je omijali, bo wyglądały zdradziecko i groźnie.

– Tak, oczywiście. – Maggie słuchała cierpliwie, przypominając sobie argumentację Lucy, by potraktować sowę jako dowód w sprawie. Być może tak właśnie odpowiadała na pytania: przysłowiami i ludowymi opowieściami.

– Teraz niektórzy używają drutu pod napięciem. W przeciwieństwie do kolczastego, nie wygląda groźnie, nie można też z góry stwierdzić, czy jest niebezpieczny. Przekonujemy się o tym, gdy jest już za późno.

Maggie powoli piła herbatę. Wyciągnęła rękę i poklepała Jake’a, który głęboko westchnął, po czym przewrócił się na bok, pokazując brzuch. Nadal głaskała pieszczotliwie psa, lecz na jej czole pojawiła się zmarszczka. Nie patrząc na Lucy, powiedziała gwałtownie:

– Więc co to wszystko znaczy, do diabła?

Ku jej zdumieniu Lucy roześmiała serdecznie. Wreszcie przetarła oczy i powiedziała:

– My to się chyba dogadamy. Chodzi mi o to, że nie wolno odrzucać czegoś, co wydaje się oczywiste. Przybyszom z zewnątrz wydaje się, że u nas życie jest prostsze, a my

jesteśmy mniej skomplikowani. Ale ludzka natura jest wszędzie taka sama. Tutaj ludzie są zdolni do takich samych uczynków co ci w mieście. Mówiąc wprost, można by pomyśleć, że w Omaha, Denver czy Nowym Jorku łatwiej jest ukryć błędy czy też zło, ale czasami równie łatwo jest ukryć coś na widoku. – Odstawiła kubek, sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła z niej coś, co wyglądało jak liść sałaty w szczelnie zamkniętym woreczku foliowym. Przez chwilę ostrożnie obmacywała go palcami, wreszcie powiedziała: – Moim zdaniem to Salvia divinorum, czyli szałwia boska. Nazywają ją też szałwią wieszczą. Zwykłą szałwię hoduje się w naszych ogródkach, lecz ten gatunek jest psychoaktywny. Rośnie głównie w Meksyku i w niektórych południowo-zachodnich stanach. Lud Mazateków wierzył, że posiada właściwości lecznicze. Suszy się ją i pali albo zwija, kiedy jest jeszcze zielona – uniosła woreczek – i żuje. Podobno ma się po tym silniejsze halucynacje niż po LSD. To najnowszy szał wśród nastolatków. – Znów obmacując woreczek, spojrzała na Maggie. – Znalazłam to pod ciałem jednego z martwych chłopców.

– I schowała to pani do kieszeni?

– Szeryf Skylar nie ma złych zamiarów, tyle że posiadanie, dystrybucja i sprzedaż szałwii boskiej to przestępstwo w ponad dwunastu stanach, w tym w Nebrasce. W zeszłym miesiącu wyłowiono z rzeki ciało młodej kobiety. Niektórzy twierdzili, że była na haju po szałwii. Myślała, że potrafi latać, i skoczyła z mostu na osiemdziesiątej trzeciej. Ten

most jest sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem wody. Kobieta była wtedy z przyjaciółmi. Nikt nie został aresztowany. Oficjalnie nie wspomniano o narkotykach. Powiedziano, że to był wypadek. Czasami rodziców, którzy opłakują śmierć dziecka, informacja o tym, że to dziecko robiło coś złego, może do końca załamać. Nie chciałam, żeby to się gdzieś zagubiło z powodu dobrych intencji szeryfa. – Lucy położyła foliową torebkę na stoliku, w ten sposób oddając ją Maggie. – Zrozumiem, jeśli nie chce pani, żebym nadal uczestniczyła w tym śledztwie.

Maggie nie tknęła torebki, tylko powoli popijała herbatę, zastanawiając się nad tym, co zrobiła Lucy. Formalnie rzecz biorą, było to utrudnianie federalnego śledztwa. Tak najpewniej zawyrokowałby każdy agent specjalny FBI czy detektyw z innych służb kryminalnych. Mógłby nawet zaostrzyć opinię, nazywając taki uczynek manipulowaniem dowodami. No i oczywiście był to też rażący objaw lekceważenia hierarchii służbowej.

Tyle że zmarły szef i mentor Maggie, Kyle Cunningham, zwykł mawiać:

– Zasady ustanowiono po to, żeby ocenić ich zasadność, kiedy serce podpowiada co innego.

Podniosła wzrok na Lucy i powiedziała:

– My to się chyba dogadamy.

PIĄTEK

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Mary Ellen Wychulis czekała przed gabinetem nowej szefowej. Podsekretarz Agencji ds. Bezpieczeństwa Żywności nie znosiła spóźnialskich podwładnych, za to najwyraźniej jej nie przeszkadzało, kiedy czekano na nią. Mary Ellen skrzyżowała nogi w kostkach i przytupywała zniecierpliwiona.

Ominęła ją pierwsza oficjalna zabawa dla dzieci, w której uczestniczył jej syn. Mąż przysłał mejlem trzy zdjęcia – niewyraźne postaci dzieci otoczonych przez nadmiar zabawek – ale to wystarczyło, żeby zrobiło jej się przykro. Dopiero przed trzema tygodniami wróciła do pracy i już żałowała, że nie wzięła więcej wolnego.

Na domiar złego wróciła do nowej szefowej. Poprzedni szef otrzymał awans i był tak miły, że przed odejściem zrobił wszystko, by zachowała swoje stanowisko. W tych czasach to nie lada wyczyn. A zatem była wdzięczna, chociaż jej nowa szefowa cierpiała chyba na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, poza tym przyszła do agencji z zewnątrz, a zdaniem Mary Ellen to był ewidentnie wybór polityczny. Odnosiła wrażenie, jakby przez ostatnie trzy tygodnie uczyła szefową podstaw nowej pracy. Ale trzymała język za zębami, nawet gdy zdała sobie sprawę, że jej mąż

najprawdopodobniej ma rację. Gdyby Mary Ellen nie była w ciąży, jej poprzedni szef zarekomendowałby ją na swoje stanowisko. Niechętnie musiała przyznać, że takie kumoterstwo wciąż szerzyło się w instytucjach federalnych, zwłaszcza na wyższych szczeblach. Gdyby była mężczyzną o tych samych kwalifikacjach, wieku, stanie cywilnym, a nawet rodzinnym, bez wątpienia zostałaby nowym podsekretarzem.

Drzwi gabinetu otworzyły się tak nagle, że Mary Ellen się wzdrygnęła. Wymaszerował przez nie mężczyzna w mundurze, zaraz jednak zawrócił i powiedział:

– Proszę mnie na bieżąco informować.

Widziała, jak Irene Baldwin, jej szefowa, odprowadziła go do drzwi. Oficer wydał jej się znajomy, ale Mary Ellen nie pamiętała nazwiska. To jednak zrozumiałe, bo wyglądał jak wielu innych wyższych oficerów – z szeroką klatką piersiową, stalowosiwymi włosami, przylepionym do twarzy grymasem niezadowolenia i oczami bez wyrazu. Mary Ellen patrzyła jeszcze za nim, jak kroczył korytarzem, kiedy nagle sobie uświadomiła, kto to był. Generał Lorimer, członek Kolegium Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych USA. Zastanawiała się, co go tutaj sprowadziło.

– Wychulis. Dobrze, że jest pani punktualnie. Niech pani wejdzie – powiedziała Irene Baldwin, dając jej znak ręką, po czym cofnęła się do swojego gabinetu, zanim generał Lorimer dotarł do windy.

Baldwin tak znacząco zmieniła gabinet odziedziczony po swoim poprzedniku, że ilekroć Mary Ellen tam wchodziła,

musiała sobie przypominać, że pracuje dla rządu, a nie dla spółki znajdującej się na liście pięciuset najbogatszych firm. To było także przypomnienie, że dotąd Baldwin tak naprawdę nie tyle pracowała dla jednego z największych koncernów, ile go prowadziła. Tam, gdzie wcześniej wisiały oprawione w ramki czarno-białe fotografie ze scenami z historii rolnictwa, teraz znajdowały się abstrakcyjne obrazy olejne w jaskrawych barwach. Przy odrobinie dobrej woli można by powiedzieć, że przedstawiają łany zbóż albo widok lasu z lotu ptaka. Nowe dekoracje ścian nadawały się do muzeum sztuki współczesnej, a nie do gabinetu podsekretarza w Departamencie Rolnictwa Stanów Zjednoczonych.

– Proszę siadać – powiedziała Baldwin.

Jej zwięzłe polecenia przypominały Mary Ellen komendy wydawane podczas szkolenia psów.

Baldwin wciąż stała za biurkiem. Z porządnie ułożonej sterty papierów na rogu wypolerowanego biurka wyjęła teczkę z dokumentami. Poza tym na biurku leżały jeszcze tylko trzy pióra i notatnik.

– Mam parę pytań – rzekła Baldwin, przeglądając zawartość teczki.

Mary Ellen przycupnęła na brzegu krzesła. Oczywiście, że Baldwin miała pytania. Codziennie rano miała jakieś pytania i oczekiwała, że Mary Ellen zaoszczędzi jej cenny czas, udzielając odpowiedzi. Siedziała prosto, jakby kij połknęła, stopy trzymała płasko na podłodze i czekała, co powie Baldwin.

– Dostałam prośbę z Fort Collins w Kolorado o kontynuację działalności – Baldwin urwała i włożyła okulary do czytania – czegoś, co nazywa się obwoźną rzeźnią. Co to właściwie jest?

– Należy do projektu „Kupuj lokalne produkty, bądź świadomym konsumentem”. Obwoźna rzeźnia przenosi się z miejsca na miejsca i świadczy usługi drobnym producentom na farmach.

– Usługi?

– Tak.

– Rzeźnickie usługi?

– Tak. – Mary Ellen powstrzymała się przed podaniem szczegółów. Jednego już dowiedziała się o szefowej, i była to przykra lekcja. Baldwin lubiła wyśmiewać się z tego, co uważała za absurdy albo dziwactwa agencji. Owszem, niedawno zrobiła sobie przerwę, jednak Mary Ellen poświęciła Departamentowi Rolnictwa pięć lat życia i była lojalnym urzędnikiem państwowym. Nie podobał jej się sarkazm szefowej, nawet jeżeli czasami był uzasadniony. Oczywiście każda agencja rządowa ma swoje problemy.

Irene Baldwin przyszła do nich z sektora prywatnego. Zrobiła karierę w wielkiej korporacji przemysłu spożywczego, ostatnio zaś była odpowiedzialna za rozwój instytucji badawczej, która słynęła w świecie z nowoczesnych laboratoriów. Nie było tajemnicą, że została zatrudniona w departamencie, żeby zasypać dziurę komunikacyjną między Agencją ds. Bezpieczeństwa Żywności a prywatnymi wytwórcami i dystrybutorami,

którzy zaopatrywali krajowy rynek. Jej doświadczenie miało uwiarygodnić agencję, znaną z walki z tymi samymi producentami i dystrybutorami, z którymi miała blisko współpracować, a nie tylko regulować ich działalność, by zapewnić krajowi bezpieczną żywność.

– Drugie pytanie. – Baldwin poprawiła okulary, które zsuwały jej się z nosa. – Dlaczego znalazła się u mnie petycja – znowu urwała, kartkując dokumenty – od jakiegoś Wesleya Stottera, który twierdzi, że objazdowe rzeźnie są, cytuję: „wykorzystywane do nieetycznych i tajnych rządowych eksperymentów”, koniec cytatu?

– Nie znam tej petycji.

– Nie? – Baldwin przesunęła dokument w stronę Mary Ellen. – Proszę to przeczytać. Stotter jest radiowcem, sprzedaje swoje programy kilku stacjom. Wygląda na to, że ma całkiem sporą, może nawet trudną do zignorowania liczbę słuchaczy, dziwną mieszaninę antyrządowców i fanatyków UFO. Nie wiem, czy to ważne. Może na razie to drobiazg, jak lekki ból głowy, a potem zrobi się z tego poważna migrena. Ostatnie pytanie.

Od jej zwięzłego, skrótowego stylu Mary Ellen przez kilka pierwszych dni wspólnej pracy kręciło się w głowie i żołądek podchodził jej do gardła.

Baldwin wyjęła ze stosu kolejny dokument.

– Co to, na Boga, jest „zużyta kura”, i dlaczego mam pilnie wydać w tej sprawie opinię?

– Chodzi o stare kury, które są już nieproduktywne. Większość komercyjnych kupców, na przykład bary szybkiej

obsługi czy producenci żywności, ich nie kupi. Te kury spędzają prawie całe życie w klatkach, składając jaja, więc ich kości są kruche i mogą się łamać.

– To chyba nie ma się nad czym zastanawiać. Kury z kruchymi kośćmi nie nadają się do celów spożywczych. Skoro nikt ich nie kupuje, po co mam wydawać opinię?

– Przez ostatnich dziesięć lat kupował je Departament Rolnictwa. To duża sprawa. Miliony kilogramów, prawdę mówiąc.

– Po co, na Boga?

Mary Ellen bawiła się kartkami, które leżały na jej kolanach. W teczce nie było nic prócz dokumentu z prośbą o zatwierdzenie przez Baldwin kontynuacji tego zamówienia. Miała ochotę kopnąć tego, kto położył to na biurku szefowej. Nie chciała słuchać jej sarkastycznych opinii, nawet jeśli się z nimi zgadzała.

– Wychulis, mam tylko jedną prośbę. Proszę, niech mnie pani oświeci. Po co Departament Rolnictwa kupuje miliony kilogramów kur o kruchych kościach?

– Dla Krajowego Programu Szkolnych Lunchów.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nebraska

Maggie spała tak mocno, że po przebudzeniu musiała chwilę pomyśleć, gdzie się znajduje. Płynął do niej zapach świeżo parzonej kawy i świeżo pieczonego chleba, ale kiedy wyjrzała zza balustrady, nie widziała w kuchni.

Lucy pożyczyła jej do spania ogromny T-shirt. Wyglądał na nowy i znajdowały się na nim kolorowe wagony z logo RAILFEST 1999. Maggie znalazła swoje ubranie, minionej nocy przemoczone i zaplamione krwią, które teraz leżało wyprane i porządnie złożone na tapicerowanej ławie przy schodach. Nawet buty były wyczyszczone, błoto zdrapane, a skóra wypastowana. Czyżby Lucy w ogóle nie spała?

Otworzyła przesuwane drzwi na taras i stanęła w porannym słońcu. Błękitne, bez jednej chmurki niebo rozciągało się kilometrami nad wydmami. Kołyszące się żółte i pomarańczowe trawy sprawiały, że piaszczyste wzgórza wyglądały, jakby falowały.

Tuż pod tarasem, czego Maggie nie mogła zobaczyć w nocy, był zadbany ogród, a także patio z ceglanymi ścieżkami biegnącymi między tarasowymi grządkami kwiatów. Na drzewach wisiały kolorowe domki dla ptaków. Nieduża fontanna z konewek wąskimi strużkami wody oblewała kamienie. Maggie słyszała dzwonki wietrzne

i czuła zapach sosen. W samym środku tego raju ujrzała wysoką szczupłą postać Lucy Coy z rękami wyciągniętymi nad głową. Kiedy powoli i z wdziękiem poruszała rękami, rękawy przypominały skrzydła.

Szeryf Skylar wspomniał o indiańskim pochodzeniu Lucy. Maggie zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem świadkiem jakiegoś rytualnego tańca.

Gdy Lucy ją zobaczyła, dokończyła okrążenia, które robiła rękami, a potem zawołała:

– Zapraszam na jogę przed śniadaniem.

Maggie cieszyła się, że jest dość daleko i Lucy nie widzi jej zażenowanej miny. Joga, no jasne, że to joga. Co się z nią dzieje? Jest taka sama jak Skylar.

– Nie, dziękuję. Czy mogę zamiast tego trochę pobiegać?

– Oczywiście. Proszę wziąć coś do ubrania z szafy i dolnej szuflady komody.

Maggie znalazła tam szorty i bluzę. Na szczęście Lucy nosiła szerokie i luźne sportowe ubrania. Wprawdzie buty były trochę za duże, ale Maggie włożyła dwie pary skarpetek i już po chwili ruszyła długim podjazdem z czarnym psem o imieniu Jake.

Minionej nocy nie zauważyła, że droga do domu Lucy była z ubitego piasku, tylko gdzieniegdzie, głównie w środkowej części, posypana żwirem. Deszcz wyżłobił szczeliny, które biegły jak żyły, i rozmył pobocza. Maggie trzymała się środka, nie ryzykowała, że się poślizgnie i wpadnie w pełen deszczówki rów.

Z początku pies zdawał się skonsternowany jej zachowaniem, rozglądał się czujnie, sprawdzał, jakie to zagrożenie każe tak biec tej miłej pani. Ale trzymał się obok niej i wkrótce przestał się oglądać. Maggie czuła się tak, jakby biegła z Harveyem, a lubiła biegać w towarzystwie.

Nagle pies nadstawił uszu i zaczął zapędzać Maggie na bok drogi, szturchnął ją nosem, a kiedy go nie posłuchała, szturchnął ją po raz drugi. Za ich plecami z rykiem zjeżdżał z góry pikap. Gwałtownie skręcił, żeby ich nie potrącić, sypiąc piaskiem spod kół na Maggie i Jake'a, który prawie się położył. Hamulce zapiszczały, a spod kół posypało się jeszcze więcej piasku i żwiru. Tylne światła zabłysły. Samochód zatrzymał się jakieś dziesięć metrów przed nimi.

Jake znów był na nogach, nosem dotykał Maggie, dając znak, żeby wróciła z nim do domu.

Silnik pracował na jałowym biegu. Potem kierowca włączył bieg wsteczny i powoli się cofnął. Otworzyło się okno, przez które wyjrzał mężczyzna. Był młody, miał ze dwadzieścia parę lat, opaloną twarz i czapkę bejsbolówkę nasuniętą tak głęboko na czoło, że Maggie widziała głównie jego przeciwsłoneczne lustrzane okulary i krzaczaste wąsy.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– Ja tylko biegam.

– Biega pani? – Pokręcił głową, jakby szukał kogoś, kto mu to wyjaśni.

– Biegam, uprawiam jogging – wytłumaczyła, zauważając piasek na jego wąsach i okularach.

Przez chwilę przyglądał się jej bacznie, w końcu powiedział:

– No jasne. Okej. Wolałem sprawdzić.

Zmienił bieg i bez pośpiechu odjechał. Maggie widziała, że obserwował ją w bocznym lusterku. Zdała sobie sprawę, że zatrzymał się powodowany raczej ciekawością niż poczuciem winy.

Kiedy razem z Jakiem wrócili do domu, na stole czekało już śniadanie, a z kuchni płynął zapach bekonu.

– Nie uprzedziła mnie pani, że biegając po tej drodze, mogę wzbudzić zainteresowanie i zostać uznana za dziwaczkę.

Lucy nie podniosła wzroku znad blatu, na którym smarowała masłem chleb, ale kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było rozbawienie.

– Myślę, że pani i ja jesteśmy skazane na to, by uważano nas za dziwaczki, niezależnie od tego, gdzie i co robimy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

North Platte, Nebraska

Światło oślepiło Dawsona. Gwałtownie się obudził. Promienie słońca przeciskały się między żaluzjami okiennymi w szpitalnym pokoju.

Promienie słońca. A nie promienie lasera czy ognie sztuczne.

Jego ojciec siedział na krześle przy łóżku. Masował pokrytą zarostem brodę, przecierał zmęczone z niewyspania oczy. Dawson nie wiedział, jak długo tu siedzi. Czy widział tamto stworzenie? Nerwowo rozejrzał się po pokoju.

– Jesteś w North Platte – powiedział ojciec, myśląc, że syn nie rozpoznaje otoczenia. – W szpitalu. Nieźle oberwałeś, ale wyjdziesz z tego.

Wyglądał na zmęczonego. Ale zawsze tak wyglądał. Pracował na dziesięciogodzinne zmiany w zakładzie przetwórstwa mięsnego. Czasami brał dwie zmiany, jedną po drugiej, kiedy któryś z ochroniarzy zachorował. Nawet w wolne dni pracował po parę godzin, rozwożąc przesyłki. Kiedy był w Patrolu Stanowym, nie pracował tak dużo, ale przed laty rzucił tamto zajęcie. Dawson nie znał szczegółów, zresztą ta sprawa nic go nie obchodziła. To się stało mniej więcej w tym czasie, gdy jego matka odeszła z domu.

Prawdę mówiąc, ledwie zauważył, że pewnego dnia ojciec, szykując się do pracy, włożył do kabury tasera, a nie smitha & wessona.

Już nawet nie jadali razem kolacji, nie wspominając o wspólnych rozmowach. Ojciec odzywał się do syna tylko wtedy, kiedy chciał mu powiedzieć, że syn go bardzo zawiódł. Dawson sądził, że teraz będzie tak samo, zwłaszcza jeżeli ojciec spędził noc na winylowym krześle.

– Co się stało? – spytał z nadzieją, że uprzedzi wykład.

– Nie pamiętasz?

W milczeniu patrzył na ojca, zastanawiając się, czy mu uwierzy. Stworzenie o czerwonych oczach, z którego łap sypią się iskry?

Jednak ojciec wziął jego skonfundowaną minę za utratę pamięci.

– Lekarz mówi, że możesz mieć chwilową amnezję. Zostałeś porażony prądem. Lekarz uważa, że prąd był tak silny, że rzuciło cię na ogrodzenie z drutu kolczastego. Cały byłeś owinięty tym drutem. Naprawdę nic nie pamiętasz?

Gdy Dawson nadal milczał, ojciec wstał. Nie był wysoki, ale z pozycji leżącej wydawało się Dawsonowi, że ojciec nad nim góruje. Potem zrobił coś kompletnie nieoczekiwanego. Położył rękę na jego ramieniu. Przez moment Dawson miał wrażenie, że w oczach ojca widzi smutek.

– Masz ogromne szczęście, dzieciaku. Dwóch twoich kolegów nie żyje.

Jak to możliwe? Przecież tylko się wygłupiali. Bawili się. Kto nie żyje? Dawson nie miał szansy zapytać.

– Hej, panie H. – rozległo się od drzwi.

Wtedy ojciec uśmiechnął się. Zniknął gdzieś smutek, zniknęła dłoń ojca z ramienia syna.

– Johnny. Jak tam twoja ręka?

– Boli, ale nie powinienem narzekać.

Dawson stwierdził, że Johnny B. wygląda lepiej niż po meczu. Nie mógł uwierzyć, że ojciec tak się ucieszył, jakby do pokoju weszła wielka gwiazda. No, ale status Johnna B. w miasteczku był bliski statusu gwiazdy.

– Mogę porozmawiać z Dawsonem?

– Jasne. Muszę już iść do domu i przebrać się do roboty. Zostawię was, chłopcy. Dawsonie, wrócę wieczorem, zaraz po pracy, okej?

Johnny zaczekał, aż zostaną sami, a potem usiadł obok łóżka, skąd mógł obserwować drzwi.

– Co mu powiedziałeś? – chciał wiedzieć.

– Co?

– Co powiedziałeś ojcu o tej nocy?

– Nic. Nic mu nie powiedziałem.

– Powiedziałeś mu o kamerze?

– Nie.

– A o Sally D.?

– Jasne, że nie.

– Wiesz, że wpadlibyśmy w gówniane kłopoty, gdyby się dowiedzieli, skąd to mamy.

– Nie powiedziałem mu.

– Wyrzuciliby mnie z drużyny. Gdybym nie mógł grać, nie dostałbym stypendium.

– Słowa nie pisnąłem.

– Nigdzie bym stąd nie wyjechał – rzekł Johnny i dodał pod nosem: – Amanda by się ucieszyła.

Dawson nigdy nie widział takiego Johnny’ego, bardziej przestraszonego niż złego.

– To nie był mój pomysł – rzekł Johnny. – Jak ja pójdę na dno, wszyscy pójdą na dno.

– Mój tato powiedział, że ktoś nie żyje.

Johnny patrzył prosto przed siebie, gdzieś nad głową Dawsona. Potem nagle chwycił zabandażowaną rękę Dawsona i wbił palce w rany. Dawson omal nie krzyknął z bólu. Na bandażu zobaczył świeżą krew. Próbował wyrwać rękę z uścisku, ale Johnny pochylił się nad nim, aż jego twarz znalazła się ledwie parę centymetrów od twarzy Dawsona. Oddech Johnny’ego był gorący i kwaśny.

– Trzymaj gębę na kłódkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Julia Racine najchętniej przestałaby myśleć o tym, że dłoń małej dziewczynki jest taka lepka. Powinna być wdzięczna, że CariAnne w ogóle chce ją trzymać za rękę. Prawda była taka, że kiedy Julia w końcu uległa i zaczęła umawiać się z kobietami, myślała, że przynajmniej nie będzie miała do czynienia z dziećmi. Mężczyźni, z którymi dotąd się spotykała, zbyt często oczekiwali, że zostanie macochą dla ich dzieci, które byłe partnerki podrzucały im na weekendy. Julia już dawno zrozumiała, że nie posiada genu macierzyństwa. Na długo przedtem, nim sobie uświadomiła swoje prawdziwe preferencje seksualne, wiedziała, że nie chce zostać matką.

Nikomu się do tego nie przyznała, ale dzieci grały jej na nerwach. Nie miała cierpliwości ani do ich żywiołowości, ani do ciągłego marudzenia. Nowa partnerka Julii, widząc, jak niekomfortowo czuje się z jej córką, zasugerowała, że może nie otrzymała od życia szansy, by być prawdziwym dzieckiem. Jednak Julia jeszcze tego nie zrozumiała i dlatego nie potrafi znaleźć z dziećmi wspólnego języka.

Na co Julia mruknęła:

– Serdeczne dzięki, doktor Freud. – Pomyślała przy tym: No jasne. Tak sądzisz?

Kiedy zmarła jej matka, Julia miała dziesięć lat, a więc była tylko trochę starsza od CariAnne. Ojciec starał się, żeby życie córki było jak najbardziej normalne. Julia go za to uwielbiała, ale w dniu, gdy zmarła matka, coś w niej pękło. Już wtedy to wiedziała, chociaż jeszcze tego nie rozumiała. Ale czuła to, jakby ją ciągnięto jednocześnie w różne strony, rozciągano, aż szwy puściły. Towarzyszył temu ból, prawdziwy ból, i jako mała dziewczynka szczerze wierzyła, że coś w niej... żołądek, jelita, serce... naprawdę pękło.

Ojciec wspominał po latach, że jednego dnia wspinała się na drzewa, a następnego przyciągnęła krzesło do kuchennego zlewu, żeby pozmywać naczynia, przejmując w ten sposób obowiązki matki.

– To było nienaturalne – kończył opowieść Luc Racine.

Niestety z powodu alzheimera obecnie zdarzało mu się nawet nie rozpoznać córki, nie mówiąc już o tym, by pamiętał historie z jej dzieciństwa czy zmarłą żonę.

Może faktycznie brak instynktu macierzyńskiego brał się u Julii z tego, że nie miała prawdziwego dzieciństwa. Przez lata tym właśnie tłumaczyła swoją niezdolność do utrzymania związku. Dopiero niedawno przyszło jej do głowy, że niepowodzenia wynikają z tego, iż grała w niewłaściwej drużynie. A zatem podjęła kolejną próbę. Tym razem szczerze się starała. Gdyby ktoś to oceniał, powinna dostać mnóstwo punktów za to, że poszła po Pannę Lepkie Ręce do szkoły i musiała czekać

w sekretariacie dyrektorki szkoły na pozwolenie zabrania CariAnne.

Nie przeszkadzało jej, że dyrektorka musi wydać zgodę na odebranie dziecka ze szkoły, i to w sytuacji, gdy partnerka Julii wypełniła wszystkie niezbędne formularze. Jako policyjny detektyw ceniła zasady i przepisy, które chroniły dzieci przed zboczeńcami. To ułatwiało jej pracę. A jednak w tym czekaniu w sekretariacie, niezależnie od tego, ile ma się lat, było coś niepokojącego.

Zerknęła na duży zegar na ścianie. To pewnie standardowy model. Pamiętała podobny ze szkolnych lat. W podstawówce mnóstwo czasu spędziła przed gabinetem dyrektora. Już wtedy brakowało jej cierpliwości. Będąc dojrzalsza niż inne dziesięciolatki czy inne trzydziestojednolatki, nie wahała się powiedzieć swoim rówieśnikom, że są głupi. Teraz, kiedy nosiła broń, przynajmniej już tak często się z nią nie kłócili.

Jakaś kobieta wbiegła do sekretariatu. Zapukała do drzwi gabinetu dyrektorki i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź.

– Sześćdziesięcioro troje dzieci stoi w kolejce do pielęgniarki – wydyszała, przystając w progu. – Nie licząc tych, które są w toaletach.

Z gabinetu odezwał się jakiś głos, ale Julia nie zrozumiała słów. Kobieta kręciła głową, dopiero w tym momencie zauważyła ją i CariAnne. Weszła do gabinetu i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Julia puściła rękę dziewczynki, wstała i wyjrzała za drzwi sekretariatu. Na korytarzu wiła się kolejka dzieci. Niektóre trzymały się za brzuchy, inne opierały się o ścianę. Kilkoro dorosłych pilnowało kolejki, dotykali czół dzieci i pocieszali je ściszonym głosem.

– Wiesz, co się dzieje? – Julia spytała CariAnne.

– Po lunchu dużo dzieci źle się poczuło.

– A ty jak się czujesz? Nic nie mówiłaś.

– Po co? Mamusia zawsze wie, kiedy źle się czuję.

Julia znowu wyjrzała za drzwi, przekonana, że sytuacja jest pod kontrolą. Ale potem jedno z dzieci zaczęło wymiotować. Mały chłopiec nie zdążył podbiec do kosza na śmieci. Patrząc z boku, Julia pomyślała, że wygląda to jak przewracające się kostki domina. Jedno dziecko za drugim pochylało się i wymiotowało, a kilkoro dorosłych biegało z jednego końca korytarza na drugi.

Było to nawet zabawne, dopóki Julia nie usłyszała CariAnne. Dziewczynka znowu chwyciła ją za rękę, drugą ręką trzymając się za brzuch, i przytuliła się do Julii. Nie minęło wiele sekund i CariAnne zgięła się wpół i zwymiotowała na buty Julii.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Nebraska

Maggie uważała, że nawet bez drutu kolczastego Dawson Hayes wygląda kiepsko w białej szpitalnej pościeli. Czuła z nim jakiś niepojęty związek. Nie mogła zapomnieć jego oczu, które na nią patrzyły tak błagalnie, jakby to ona potrafiła rozwiązać jego problemy.

Tego ranka ręce miał owinięte zaplamionymi krwią bandażami. Był podłączony do kroplówki. Maggie i szeryfowi powiedziano, że wyjęto mu z gardła sondę żołądkowo-jelitową, więc może mieć zachrypnięty głos. Oraz że nie powinni go zmuszać do mówienia.

Zadrapania na twarzy i bladej skórze wyglądały na świeże. Bandaż na szyi ukrywał ranę, która nadal krwawiła. Ale Maggie najbardziej niepokoił wciąż przerażony wyraz twarzy chłopca.

Szeryf Skylar upierał się, że on przeprowadzi rozmowy z nastolatkami. To były dzieciaki z jego terenu. Znał wielu z ich rodziców. Twierdził, że będą czuli się swobodniej, rozmawiając z kimś znajomym, niż z funkcjonariuszem Patrolu Stanowego czy agentką FBI. Maggie się z nim zgodziła, pozwoliła mu wierzyć, że poszła na spore ustępstwo, podczas gdy tak naprawdę nie posiadała oficjalnej zgody na prowadzenie tego śledztwa.

Zostawiła wiadomość szefowi, zastępcy dyrektora Raymondowi Kunzemu, ale do tej pory do niej nie oddzwonił. Zresztą wiedziała, co jej powie:

– Niech pani przekaże sprawę miejscowym. Pani pojechała tam na konferencję.

Miejscowi, co Maggie już odkryła, to byłoby albo biuro FBI w Omaha, 400 kilometrów stąd, albo Służba Leśna w Chadron, 320 kilometrów stąd. Kunze nie przejąłby się ani odległością, ani tym, że zmarnowanie pierwszych dwudziestu czterech godzin to niepowetowana strata. Poza tym, polecając jej obejrzenie okaleczonego bydła, niewątpliwie spłacał tylko dług wdzięczności. To była jedna z tych uprzejmości, które świadczą sobie nawzajem urzędnicy państwowi. Maggie podejrzewała, że Kunze nie oczekiwał od niej nic więcej ponad to, by rzuciła okiem i napisała rutynowy raport, bo w ten sposób zyska materialny dowód, iż odwdzięczył się za przysługę. Gdyby spodziewał się, że Maggie stworzy profil psychologiczny oprawcy bydła, przekazałby jej o wiele więcej szczegółów.

Prawdę mówiąc, to było bez znaczenia. Maggie nie miała ochoty zajmować się tą sprawą. Nigdy nie była głównym śledczym. Jej praca polegała na asystowaniu siłom ochrony porządku publicznego na ich prośbę. Była obserwatorem z zewnątrz, obiektywnym specjalistą, który potrafi wyłapać szczegóły, umykające innym. Ta rola bardzo jej odpowiadała, bo lubiła być outsiderem.

Na samym początku postanowiła, że zostanie tam wystarczająco długo, by zyskać pewność, iż jak najwięcej

elementów śledztwa – zwłaszcza zbieranie i przechowywanie dowodów, w tym zeznań świadków – jest w rękach kompetentnych urzędników.

Nie dyskutowała, kiedy szeryf Skylar nalegał, że sam przeprowadzi rozmowy z dzieciakami. Nie przepadała za szpitalami. Zresztą kto je lubi? Chciała wrócić na miejsce zbrodni. Na prośbę Maggie śledczy Patrolu Stanowego Donny Fergussen spotykał się z pracującym tam patrolem. Razem mieli zlustrować teren, poszerzyć jego granice, zebrać odciski stóp i wszelkie inne dowody, które zachowały się pod brezentowymi plandekami. Maggie zdecydowanie wolała być w lesie niż z szeryfem Skylarem. Świadkowie słyną z kiepskiej pamięci, a młodzi ludzie na haju okażą się zapewne bezwartościowymi narratorami wydarzeń w lesie.

Ale Maggie chciała... nie, nie chciała, po prostu musiała przekonać się, czy Dawson Hayes ma się lepiej.

– Dawsonie, jestem szeryf Skylar. Twój ojciec kiedyś ze mną pracował.

Maggie obserwowała twarz chłopca, czekając na jakiś znak, że rozpoznał szeryfa. Ale nawet jeśli Dawson znał Skylara, na jego widok nie okazał ulgi. Czyżby obawiał się, że jest w kłopotach?

Szeryf nie czekał, tylko przyciągnął krzesło z rogu pokoju i usiadł na linii wzroku chłopca. Potem wskazał za siebie kciukiem i rzekł:

– To jest agentka O’Dell z FBI.

Dawson przeniósł na nią wzrok, a potem wrócił spojrzeniem do szeryfa. Maggie to wystarczyło, przekonała się, że chłopiec nie udaje paniki.

Nie usiadła, stała w pobliżu drzwi, skąd świetnie widziała Dawsona, a także Skylara, który argumentował, że powinien sam przesłuchać tych młodych ludzi, ponieważ go znają i będą mniej zestresowani. Była zatem zdziwiona, gdy zaczął od ataku na Dawsona, oznajmiając:

– Wiemy o taserze, chłopcze.

Wcześniej szeryf pochwalił się Maggie, że po numerze seryjnym ustalił, do kogo należy taser. Mianowicie do ojca Dawsona, który pracuje jako ochroniarz w zakładzie przetwórstwa mięsnego na obrzeżach North Platte. Wyjaśnił, że paralizator jest własnością zakładu, który wyposażył w tę broń ochroniarzy, więc wystarczyło sprawdzić zakładową bazę danych. Wyglądało na to, że Skylar uważa posiadanie tasera za domniemany dowód winy, dlatego Maggie pożałowała, że nie narzuciła innego tematu. Było już jednak za późno, bo szeryf indagował dalej:

– Strzelałeś z tej broni do któregoś z kolegów, Dawsonie?

– Nie, jasne, że nie.

– Daj spokój! Przecież wiem, że broń wypaliła. Możesz się przyznać. I tak wkrótce poznamy prawdę.

Chłopiec spojrzał na Maggie, następnie na Skylara i znów na Maggie, i zawiesił na niej wzrok na dłuższą chwilę, jakby to w niej widział ratunek.

– Więc twoim zdaniem do czego strzelałeś?

– Nie jestem pewien. Nie widziałem dobrze... To stworzenie miało czerwone oczy. Może to był wilk.

Zaskoczony Skylar pochylił się gwałtownie.

– Wilk? Jesteś pewien, że nie kojot? Albo ryś? A może puma? Hank mówił, że widział w lesie dużego kota. Kilka osób zgłaszało, że widziało takie zwierzę. Ale wilk? Odkąd ja tu jestem, na tym terenie ich nie było.

– Nie wiem. Może to był ryś albo puma. To było duże. I białe.

– Białe? – Skylar oparł plecy i potrząsnął głową. Już nie był zainteresowany. – Biały wilk albo puma.

– To zwierzę się na mnie rzuciło. Strzeliłem do niego. Jestem prawie pewien, że trafiłem.

– Nie znaleźliśmy żadnych śladów zwierząt – oznajmił Skylar z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Tego dnia miał na sobie flanelową koszulę w czarno-czerwoną kratę, w której wyglądał na potężniejszego niż w rzeczywistości. Maggie pomyślała, że broń przypięta do paska też miała coś wspólnego z tworzeniem tych pozorów. Minionego wieczoru pod jego kurtką nie widziała broni.

Chłopiec znowu spojrzał na Maggie, ale nie mogła mu pomóc. Na piaszczystym podłożu lasu znajdowało się mnóstwo śladów, nie było tam jednak zwierzęcych tropów, w każdym razie na tyle dużych, by pochodziły od wilka, kojota czy pumy. Owszem, sosnowe igły mogły ukryć obecność zwierzęcia, ale nie takiego, które zostało ranne.

– Dawsonie, jestem zawiedziony. Nie spodziewałem się, że skłamiesz, kiedy dwóch twoich przyjaciół nie żyje.

– Nie kłamię. To zwierzę patrzyło na mnie z krzaków, jak wystrzeliły fajerwerki. Miało czerwone oczy.

– Fajerwerki. No tak.

Minionej nocy podczas badania niektórzy z młodych ludzi mamrotali coś na temat fajerwerków czy świetlnych iluminacji. Hank znajdował się jakieś półtora kilometra od grupy nastolatków i nie widział żadnych świateł, nic, co przypominałoby ognie sztuczne czy promienie lasera. Może był to zatem skutek działania narkotyku.

W pewnym momencie Maggie będzie musiała powiedzieć o znalezisku, które Lucy przechowywała w foliowej torebce. Miała nadzieję, że zanim je przekaże wraz z innymi dowodami, podda je badaniu. Jeśli podczas poprzedniego śledztwa Skylar przemilczał sprawę narkotyku, Maggie nie pozwoli, by to powtórzył. Nie spodziewała się, by którykolwiek z nastolatków przyznał się do posiadania środków odurzających.

Skylar chyba czytał jej w myślach, bo spytał:

– Jakie narkotyki zażyliście? – spytał.

– Słucham?

– Możecie mnie uważać za starego zgreda, ale niech do ciebie dotrze, że nie jestem głupi. Wiem, że nie wybraliście się do lasu o zmierzchu, żeby popijać tam wodę sodową. Byliście tam nie po raz pierwszy, co?

Maggie musiała mu oddać sprawiedliwość. Czasami taki sposób przesłuchiwania się sprawdza, kiedy przesłuchiwany czuje się winny. Wystarczy tylko odpowiedni bodziec, żeby się przyznał albo podał jakieś

istotne informacje. Nie zapowiadało się jednak, że to właśnie jeden z takich momentów. Dawson Hayes nie wyglądał na winnego. W jego oczach Maggie wciąż widziała przerażenie.

Kiedy chłopiec po raz kolejny popatrzył jej w oczy, już nie odwrócił wzroku. Zobaczyła, że panika ustępuje. Rozpoznał ją w nagłym przebłysku.

– To pani mnie znalazła – stwierdził.

– Tak, to ja.

– Powinna mi pani była pozwolić umrzeć razem z tamtymi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Zorganizowany chaos. To właśnie ujrzał Benjamin Platt po przybyciu do Szkoły Podstawowej im. Fitzgeralda. Policjanci z gwizdkami dyrygowali kolejką samochodów z półprzytomnymi rodzicami, którzy odbierali ze szkoły ostatnie pozostające tam dzieci. Grupa osób wyglądających na administratorów szkoły i nauczycieli pomagała ratownikom eskortować uczniów do karetek. To szaleństwo udzielało się gapiom na ulicy i mieszkańcom sąsiednich domów, którzy wyszli na trawniki i przyglądali się, co się dzieje.

Kiedy Platt wysiadł z land-rovera, zaczęła się rozstawiać ekipa telewizji kablowej. Rozpoznał dobrze ubraną prezenterkę, która go sondowała wzrokiem, nie mogąc się zdecydować, czy Platt jest kimś ważnym. Gdy przedstawił się pierwszemu policjantowi i pokazał dokumenty, usłyszał, że prezenterka go woła. Za późno. Poprawił na ramieniu pasek torby i ruszył naprzód, nie oglądając się za siebie.

Kiedy wszedł po schodach, zatrzymał go drugi mundurowy policjant, oświadczając:

– Dalej nie można, sir.

Zanim Platt odpowiedział, jakaś kobieta powiedziała zza drzwi:

– W porządku. On jest czysty. – Wysoka, szczupła, atrakcyjna, ale ostra i nieprzystępna, przekazała przez zaciśnięte zęby informację: „Nie zadzieraj ze mną”.

Krótkie jasne włosy gdzieniegdzie sterczały, jakby rozwiane przez wiatr, choć powietrze było nieruchome. Miała na sobie sportowy miejski strój: dżinsy i obcisłą na pełnych piersiach bluzkę. I kaburę pod pachą, która mieściła glocka, żeby każdy, kto śmie podziwiać jej wdzięki, dokładnie widział broń. Kolejne ostrzeżenie, żeby z nią nie zadzierać. Do paska miała przyczepioną odznakę, ale Platt nie musiał na nią patrzeć. Poznał panią detektyw ze stolicy.

– Witam, detektyw Racine.

– Facet z CDC już na pana czeka. Zaprowadzę pana.

– Dzięki, będę wdzięczny.

Nie przeszli jeszcze metra, a Platt już poczuł kwaśny odór wymiocin, które wciąż leżały na podłodze. Poza tym w korytarzu panowała upiorna cisza. Racine szła pierwsza, niezrażona smrodem. Platt zaglądał do pustych klas. Skręcili za róg, aż nagle musieli zejść z drogi dwóm w pełni wyposażonym funkcjonariuszom ze specjalnej jednostki policji.

Platt zaczekał, aż przejdą, a potem spytał Racine:

– Co się, do diabła, dzieje? Myślałem, że chodzi o zatrucie pokarmowe.

– Gość z Centrum Zwalczania i Zabezpieczania Chorób ogłosił wewnętrzny alarm terrorystyczny. W ciągu godziny wyrzygało się sześćdziesięcioro troje dzieci. To zazwyczaj włącza alarm.

– Są przypadki śmiertelne?

– Nic o tym nie wiem.

– Czy pani nie jest z wydziału zabójstw?

– Owszem. – Gdy Platt przystanął w pół kroku i spojrzał na nią, dodała: – Znalazłam się tu przypadkiem.

– Słucham?

– Prywatnie. Odbierałam córkę mojej partnerki.

Platt ruszył przed siebie.

– To chyba wykracza poza pani obowiązki – rzekł, siląc się na lżejszy ton.

– Nie miałam na myśli zawodowej partnerki. Mojej życiowej partnerki.

– Aha. – Nie wiedział, co począć z tą informacją. Podczas kilku spotkań z Julią Racine w domu Maggie nie dotarło do niego, że jest lesbijką. Postanowił zostawić to bez komentarza. – Czy Bix wie, że pani tutaj była, kiedy to się zaczęło?

– Bix?

– Ten gość z Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób.

– Nie, my tylko zabezpieczamy teren. To cały nasz wkład. Tego gościa nie obchodzi, w czym jeszcze moglibyśmy pomóc. Są tutaj ludzie z FBI i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

Platt pokiwał głową. Wyglądało na to, że Bix już zapanował nad sytuacją. Ale jeśli nie chciał tego nagłaśniać, na pewno nie ucieszył się z najazdu mediów.

Wcześniej, kiedy Roger Bix zadzwonił do Platta, nie wprowadził go w szczegóły, upierał się tylko, że incydent

w tej szkole jest związany z podobnym przypadkiem w Norfolku, w stanie Wirginia. Kiedy Platt spytał, czy Bix ma jakieś nowe informacje – w końcu minionego wieczoru nie wiedział jeszcze, co spowodowało zatrucie w Norfolku – Bix odparł tylko:

– Niepodważalny autorytet twierdzi, że te dwa wydarzenia są ze sobą powiązane.

Z demonstracji siły można było wywnioskować, że wie więcej, niż chce wyjawić. Platt zastanawiał się, jak, do diabła, ma pomóc, skoro Bix uznał, że nie może mu ufać.

– Jak skończę z Biksem, chciałbym z panią porozmawiać o tym, co pani widziała – rzekł Platt, kiedy znów skręcili za róg. – Czy to możliwe?

– Jasne. Nie ruszam się stąd przez parę godzin. – Wskazała na drzwi, po czym dodała: – Będę przed budynkiem.

Odwróciła się i odeszła. Nawet gdy zniknęła mu z oczu, Platt słyszał echo obcasów stukających o podłogę w korytarzu. Poza tym zza otwartych drzwi dochodził go tylko jeden dźwięk: wydawane przyciszonym głosem rozkazy. Rozpoznał jeden z głosów.

Dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach minęli Platta, kierując się do wyjścia. W małym gabinecie zostały tylko trzy osoby. Roger Bix siedział za biurkiem dyrektorki szkoły Barbary Stratton z telefonem komórkowym przy uchu. Dyrektorką najpewniej była kobieta w granatowym kostiumie z długimi siwymi włosami związanymi z tyłu

głowy. Platt nie zdziwił się na widok trzeciej osoby, agenta specjalnego R.J. Tully’ego.

Wysoki szczupły agent FBI stał oparty o ścianę w kącie. Zauważywszy Platta, wyprostował się i wyciągnął rękę, podczas gdy Bix tylko skinął głową i kontynuował wydawanie poleceń jakiemuś nieszczęśnikowi po drugiej stronie linii.

Platt spotkał agenta Tully’ego podczas śledztwa w sprawie, o której Bix wspominał minionego wieczoru. Wtedy też poznał Maggie O’Dell. Prawie rok temu jakiś szaleniec rozesłał koperty z wirusem eboli do osób, które wydawały się przypadkowymi ofiarami.

Maggie zaraziła się wirusem eboli i znalazła się w izolatce w Forcie Detrick w USAMRIID pod opieką Platta. R.J. Tully’emu ta sprawa także dała się we znaki. Na czas wewnętrznego śledztwa został zawieszony w czynnościach służbowych, ale ostatecznie oczyszczono go z zarzutów i przywrócono do pracy. Kiedy poprzedniego wieczoru Platt rekomendował Biksowi tego agenta, zrobił to ze świadomością, że jest jednym z niewielu ludzi, którym ufa Maggie O’Dell. Dla Platta to znaczyło, że Tully spełnia kryteria Biksa.

Przywitał się z dyrektorką Stratton, a potem ją poprosił o relację z tego, co się działo.

Najpierw zerknęła na Biksa, jakby czekała na jego pozwolenie, po czym zaczęła mówić:

– Z początku myślałam, że to żart. W mojej trzydziestodwuletniej karierze nigdy nie widziałam, żeby

tyle dzieci naraz zachorowało. To było straszne, potworne. Wszystko stało się tak nagle. Moja sekretarka zauważyła kolejkę do gabinetu pielęgniarki, a piętnaście minut później kolejka była już dwukrotnie dłuższa. Potem usłyszałam wymiotujących na korytarzu uczniów. Niektórzy z nich wymiotowali do pojemników na śmieci. Inni trzymali się za brzuchy i nie zdążyli dobiec do toalet, które zresztą były już przepełnione.

– Zauważyła pani może jakiś dziwny zapach, zanim dzieci zaczęły wymiotować?

– Jaki zapach?

– Coś innego niż zwykle.

– Mamy szkołę pełną dzieci. Tu nie istnieje coś takiego jak niezwykły zapach.

Platt uśmiechnął się, aż zdał sobie sprawę, że dyrektorka nie żartowała.

– Pułkownik Platt ma na myśli na przykład gaz – wtrącił agent Tully. – Zapach zgniłych jaj czy inną silną chemiczną woń.

– Na Boga, nie. Nic takiego. Uważa pan, że jakiś środek chemiczny mógł to spowodować?

Bix zamknął komórkę na tyle głośno, by wszyscy zwrócili na niego uwagę. Wstał tak gwałtownie, że fotel uderzył o ścianę. Zignorował cichy jęk dyrektorki i zwrócił się do niej z oburzeniem:

– Nie powiedziała mi pani, że jedna z pracownic kuchni przyszła dziś do pracy chora.

– Co? Pierwsze słyszę.

– Stoi w wejściu do szkoły i opowiada policjantom, że to wszystko jej wina.

– Niemożliwe. Zawsze przestrzegamy najwyższych standardów.

– Tak, ale ta kobieta wróciła tutaj po ewakuacji. Chyba ma nieczyste sumienie. Przyznała, że nie włożyła dzisiaj rękawiczek.

– Wszyscy pracownicy kuchni mają obowiązek nosić w pracy rękawiczki.

– Jej te rękawiczki przeszkadzały. Miała już dosyć ciągłego ich zdejmowania, żeby wydmuchać nos.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nebraska

Dziewczyna kłamała.

Maggie starała się nie niecierpliwić. Powoli dochodziła do wniosku, że te przesłuchania to strata czasu. Zerknęła na zegarek. Może autopsje powiedzą im coś więcej. Oparła się o ścianę sypialni obok półki, na której stało mnóstwo pluszowych zwierząt, pamiątek z dzieciństwa nastolatki, z którą właśnie rozmawiali. Co prawda jej zachowanie z każdą chwilą bardziej przypominało zachowanie małej dziewczynki.

Szeryf Skylar traktował Amandę wyjątkowo łagodnie, przeciwnie niż Dawsona Hayesa. Tak, miał przy sobie tasera, ale przynajmniej na razie nie istniał żaden dowód na to, że któryś z jego kolegów został nim zaatakowany. Zaś Dawson odniósł poważne obrażenia. Amanda miała jedynie na przedramieniu ślad po ugryzieniu, którego nie potrafiła wyjaśnić. Na miejscu zbrodni powiedziała tylko:

– On mnie ugryzł.

Teraz, rzecz jasna, nie pamiętała, gdzie ani kiedy została ugryziona. Skylar nie naciskał. Maggie zastanawiała się, czy szeryf wie, że dziewczyna kłamie, dlatego wybrał inną metodę przesłuchania. Ale wcześniej Skylar odnosił się aż zbyt uprzejmie do matki Amandy, Cynthii Griffin, oraz jej

ojczyma, Mike’a Griffina. W drodze do ich domu Skylar wspomniał, że rodzina Vicksów, z której wywodzi się Cynthia Griffin, jest właścicielem kilku interesów w tej okolicy, w tym zakładów przetwórstwa mięsnego, rancza i dwóch lokalnych banków. Maggie była pewna, że musiała się przesłyszeć, jeśli chodzi o banki. Przecież już nikt personalnie nie posiada ich na własność, jako że zostały przejęte przez wielkie grupy kapitałowe.

Skylar wyciągnął krzesło i usiadł w pewnej odległości od łóżka, zupełnie inaczej niż w szpitalnym pokoju Dawsona, gdzie siedział tak blisko, jakby chciał zastraszyć chłopaka. Jakiekolwiek były intencje szeryfa, Maggie milczała, nie wchodziła mu w drogę, stała poza zasięgiem irytującego zapachu kadzidełka Amandy. Chętnie by ją przesłuchała z dala od miejsca, gdzie dziewczyna czuła się bezpiecznie, a już na pewno poza jej sypialnią. To kolejna decyzja Skylara, z którą Maggie się nie zgadzała, chociaż może nie była taka zła. Ona by to wykorzystała. Wytrąciłaby Amandę z równowagi sztuczkami, które stosowała podczas swoich przesłuchań, kiedy na przykład jeden ze śledczych stoi, a drugi siedzi. To zmusza świadka do obserwowania ich obu, nawet jeśli tylko jeden zadaje pytania. Czasami przesłuchiwany traci wątek albo gubi się w swoich kłamstwach, bo musi śledzić reakcje dwóch różnych osób, które znajdują się na różnych poziomach.

To już działało. Amanda przeniosła spojrzenie przekrwionych oczu ze Skylara na Maggie i z powrotem, starając się skupić na szeryfie. Poprawiła jasne włosy,

odsuwając z twarzy splątane kosmyki. Wyglądała, jakby tego dnia jeszcze się nie czesała. Trzymała butelkę z wodą i w zamyśleniu na przemian odkręcała i zakręcała nakrętkę. Maggie zauważyła u niej pewien problem z koordynacją ruchów, poza tym co kilka sekund wypijała parę łyków wody, jakby po wypowiedzeniu zdania zasychało jej w ustach.

– Wiem, że nie jest to dla ciebie łatwe, Amando, ale czy mogłabyś nam powiedzieć, co widziałaś? – Pytania Skylara były tak łagodne, ciche i grzeczne, jakby chciał skłonić kotkę do zejścia z drzewa.

– Trudno to opisać – zaczęła, rzucając wzrokiem na Maggie. Plastikowa butelka zaskrzypiała, kiedy zbyt mocno ją nacisnęła i zakręciła nakrętkę, a potem znowu ją odkręciła. – Siedzimy i rozmawiamy, gdy nagle, nie wiadomo skąd, pojawiły się światła. Niezbyt silne, lecz potem rozbłysło, coś jakby lampa w aparacie, tylko mocniejsza.

Znów wypiła łyk wody. To wszystko, co miała do powiedzenia. Maggie chciała ją spytać, po jakim czasie od chwili, gdy zaczęli żuć szałwię, ujrzeli te światła. Wiedziała, że Amanda nie przyzna się do zażywania narkotyków. Domyślała się też, że szałwia nie była jej pierwszym eksperymentem z substancjami odurzającymi. Skylar też musiał to wiedzieć, prawda? Wypytywał Dawsona o narkotyki. Na pewno spyta też i ją.

– A jakieś dźwięki? – rzekł zamiast tego. – Słyszałaś jakieś niezwykłe dźwięki?

– Tak. To było bardzo dziwne, takie buczenie. Nie, może raczej mruczenie.

– Masz na myśli mruczenie jakiegoś zwierzęcia?

Maggie widziała, że Amanda zerka na Skylara zza kosmyka włosów, patrzy na niego, jakby czekała na podpowiedź.

– Chyba nie. A potem coś zaskwierczało. Wie pan, jak wtedy, gdy się rzuca hamburgera na grilla.

Skylar wzdrygnął się. Maggie odniosła wrażenie, że dziewczyna wydaje się zadowolona z jego reakcji.

– Skąd pochodził ten dźwięk? – spytał szeryf. – Z góry? Może z tych świateł?

Maggie omal się nie skrzywiła. Skylar podawał za dużo informacji. Dlaczego jej podpowiadał, co ma mówić?

Amanda tylko wzruszyła ramionami i znowu próbowała zakręcić butelkę. Nie udało jej się. Spuściła wzrok i spróbowała ponownie. Maggie zauważyła, że ręce jej się nie trzęsły. Brak koordynacji nie miał nic wspólnego z opisywaniem wydarzeń tamtej nocy.

– Widziałaś, co się stało z twoimi przyjaciółmi?

Tym razem Amanda sprawiała wrażenie, jakby po raz pierwszy pomyślała o tym wypadku.

– Jak wybuchły te światła, siedziałam z Courtney z boku. Wstałam, a potem pokazałam na fajerwerki. Są takie piękne, że nie mogę przestać na nie patrzeć. Nie widziałam Lucasa ani Kyle’a. Johnny był z nami, kręcił się, wie pan, on też patrzył na te światła, i wszyscy je podziwiamy.

Maggie żałowała, że nie zasugerowała szeryfowi, by nagrywali zeznania. Straciła już rachubę, jak często Amanda przechodziła z czasu przeszłego na teraźniejszy i z powrotem. Lingwistyka kryminalistyczna jest dziedziną naukową, podobnie jak tworzenie portretu psychologicznego przestępcy, a każda z nich posiada niezaprzeczalne zalety. Żeby odkryć prawdę w czyimś stwierdzeniu, analizuje się nie tylko dobór słów, ale także czas, którym dana osoba się posługuje. Opisując z pamięci wydarzenia, większość osób używa czasu przeszłego. Jeżeli w trakcie relacji ktoś przechodzi na czas teraźniejszy, istnieje prawdopodobieństwo, że nie mówi prawdy. Amanda kilka razy, nie robiąc przerwy, przechodziła na czas teraźniejszy i wracała do przeszłego. Tyle że robiła to, nie podając żadnych istotnych szczegółów, więc mieszanie faktów i fikcji nie miało większego znaczenia, jeśli chodzi o prawdę materialną.

– Ona musi trochę odpocząć – rzekł od progu ojczym Amandy. Maggie zastanawiała się, jak długo tam stał. – Mandy nawet się tam nie wybierała.

– To prawda?

– Miała uczyć się z Courtney u niej w domu. Ostatnio czuje się zmęczona. Ma za dużo obowiązków.

Maggie patrzyła na Amandę, podczas gdy szeryf i ojczym rozmawiali o niej, jakby jej tam nie było. Spostrzegła, że dziewczyna przewróciła oczami. Ojczym wydawał się przesadnie dumny, że jego pasierbica stała się tak popularna, iż już na początku roku szkolnego ją to

wyczerpywało. I że kłamała na temat miejsca swojego pobytu. Albo nie wiedział o jej dodatkowych zajęciach pozaszkolnych, albo nie chciał wiedzieć.

Szeryf Skylar zamknął notes. Nie krył zadowolenia, że to już koniec. Kiedy wstał, ujrzał Maggie stojącą obok szafki z półkami. Wyglądał, jakby o niej zapomniał.

– No to skończyliśmy. Chyba że agentka O’Dell ma jakieś pytania do Amandy.

– Tylko jedno – odparła Maggie i zaczekała, aż dziewczyna na nią spojrzy. – Czy zwykle jesteś na haju od samego rana?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Velma Carter otarła przekrwione oczy.

– Brakowało nam już dwóch osób – tłumaczyła, nie mając odwagi spojrzeć na Platta. – Nie mogłam znowu zadzwonić, że jestem chora. – Spuściła brodę na piersi i pokręciła głową. – Biedne dzieciaczki. To wszystko moja wina. Nie chciałam, żeby przeze mnie chorowały.

– Ale kiedy zdjęła pani rękawiczki, nie myślała pani o nich – rzekł brutalnie Bix. Szukał kozła ofiarnego i był przekonany, że wreszcie go znalazł.

– Roger... – próbował wtrącić Platt.

– Musimy panią zbadać – nieubłaganie oznajmił Bix. – Przekonać się, co do diabła pani rozsiewa.

Velma Carter znów zaczęła płakać. Kiedy detektyw Julia Racine wprowadziła ją do małego gabinetu, miała twarz pokrytą czerwonymi plamami. Racine została w pokoju, nikt jej nie wypraszał. Stała dyskretnie z boku, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Platt stwierdził, że jej także nie podoba się zachowanie Biksa.

– Co pani sobie wyobrażała, do diabła? – Bix podniósł głos, tak naprawdę krzyczał.

Tym razem Platt przerwał mu w zdecydowany sposób:

– Pani Carter, nazywam się Benjamin Platt, jestem doktorem. – Pominął swoją rangę pułkownika. Nie było sensu jeszcze bardziej denerwować przerażonej kobiety. – Powinniśmy od pani pobrać próbki do badania. Czy nie ma pani nic przeciw? – Będą musieli pobrać krew i kał, ale o tym powie jej później.

Velma Carter wyjęła z rękawa chusteczkę i wydmuchała nos. Platt słyszał charkot w jej piersi. Wyglądało to na typowe przeziębienie albo grypę. Nic takiego, co wywołałoby wymioty i biegunkę u ponad sześćdziesięciorga dzieci. Platt nie patrzył na Biksa, chciał, by odczuł, że w tej chwili go ignoruje, jednak kątem oka spostrzegł, jak twarz Biksa przybrała kolor jego rudych włosów. Platt nie rozumiał, dlaczego szef CDC tak ostro potraktował tę kobietę. O wiele za ostro, jakby była terrorystką z materiałem wybuchowym przypiętym do tułowia. Przecież minionego wieczoru, kiedy Platt zasugerował, że winny może być jeden z pracowników kuchni, Bix odrzucił ten pomysł.

– Poproszę, żeby ktoś pobrał od pani próbki. Zgadza się pani, pani Carter? – Platt dał jej czas, by potaknęła.

– Do diabła, sam pobiorę materiał do badania – rzekł znowu Bix.

– Nie, panie Bix – odparł Platt, pochylając się tak, że szef CDC musiał mu spojrzeć w oczy. – Przyślemy kogoś. – Obejrzał się na Racine. – Widziałem ratowników medycznych. Są tu jeszcze?

– Zaraz sprawdzę.

– Za moment wracamy, pani Carter. Przynieść coś pani?

Gdy potrząsnęła przecząco głową, Platt chwycił Biksa za łokieć i wyprowadził z pokoju. Szedł przed siebie, popychając Biksa, aż znaleźli się w połowie korytarza.

– Co się z panem dzieje, do jasnej cholery? – chciał wiedzieć Platt. – Wczoraj wieczorem oznajmił mi pan, że to nie norowirus, który pojawił się z powodu nieprzestrzegania zasad higieny. Dawał pan do zrozumienia, że wirus już wcześniej znajdował się w żywności. A teraz atakuje pan tę nieszczęsną kobietę, jakby zasiała bakterie we wszystkich lunchach, które serwowała dzieciom. Co pan przede mną ukrywa?

– A pana to ani trochę nie rusza, gdy osoby przygotowujące posiłki są aż tak niechlujne?

– Lepiej się pan czuje, jak jej pan nawrzucał? Obaj wiemy, że ta kobieta, jeśli nie jest nosicielem jakiegoś bardzo zakaźnego wirusa albo nie spryskała ponad sześćdziesięciorga dzieci zakażonymi płynami ustrojowymi, nie jest temu winna.

Bix odepchnął jego rękę, chociaż już go nie trzymał.

Platt pokręcił głową, po czym oznajmił:

– Później mi pan powie, czy pan tego chce, czy nie. A teraz powinniśmy zacząć zbierać, co się da, póki jeszcze jest co zbierać.

– Teraz nie wiemy nawet, czego szukać.

– Owszem, wiemy. Nie ulega wątpliwości, że dzieci zachorowały po zjedzeniu lunchu w szkolnej stołówce. Więc zobaczmy, co zostało z dzisiejszego lunchu, nawet jeśli

musielibyśmy zdrapywać resztki z podłogi w korytarzu albo z muszli klozetowych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nebraska

Maggie wybierała się do North Platte na autopsję, więc kolejne przesłuchanie miało być ostatnie w tym dniu. Oczywiście jeśli Skylar jej nie udusi, nim tam dotrą.

– Co pani wyprawia, do diabła? – Poczerwieniały na twarzy szeryf huknął na nią, gdy tylko wsiedli do samochodu.

– Ta dziewczyna jest na haju. Przypuszczalnie to marihuana. Dlatego pali kadzidełka. Przekrwione oczy, rozszerzone źrenice, brak koordynacji ruchowej to typowe objawy. Nie wierzę, że pan ich nie zauważył.

– Ona przeżyła straszne chwile. To zrozumiałe, że nie jest sobą.

– Dlaczego pan jej nie spytał o narkotyki? Dawsonowi Hayesowi powiedział pan, że pan wie, po co wybrali się do lasu.

– Amanda nie jest podejrzaną.

– Dawson też nie jest.

– Miał przy sobie tasera, z którego padł strzał.

– Ale nie mamy ofiary, która została z tej broni postrzelona.

– Na razie – nie odpuszczał Skylar.

– Proszę posłuchać. – Maggie starała się nad sobą zapanować. – Następnym razem, kiedy pan zdecyduje, że ktoś jest podejrzany, proszę mnie o tym poinformować.

– Następnym razem, kiedy zechce pani obrazić córkę jednego z najbardziej szanowanych biznesmenów w tej okolicy, proszę mnie poinformować.

Potrząsnęła tylko głową, przez resztę drogi do Boshów milczała. To było trzydzieści pięć minut jazdy. Nastolatki mieszkały w różnych wsiach i miasteczkach, ale wszystkie uczęszczały do tego samego liceum, jedynego w całym hrabstwie.

Gdy ujrzała piętrowy dom Boshów w stylu kolonialnym stojący na dużej posesji tyłem do miejskiego parku, Maggie już wiedziała, czego może się spodziewać po tym przesłuchaniu. Nie musiała pytać, czy Skylar uważał tego chłopca za podejrzanego. Przed wizytą u Griffinów szeryf oznajmił Maggie, że podczas ostatniego meczu Johnny'ego B. obserwowali rekrutujący aż z pięciu najważniejszych drużyn NCAA, studenckiego związku sportowego. Ale Johnny zamierzał przynieść chwałę Nebrasce i grać w drużynie Huskersów.

– Może nawet zacząć jako nowy rozgrywający – ciągnął Skylar. – Kiedy Johnny gra, jest na co popatrzeć. Ten chłopak potrafi walczyć i wyjść z każdej opresji.

Tak więc Maggie musiała albo uzbroić się w cierpliwość podczas czekającego ją kolejnego grzecznego przesłuchania, albo podjąć decyzję o przejęciu śledztwa.

Pani Bosh czekała na nich w drzwiach, kiedy wysiadali z suva szeryfa. Była atrakcyjną kobietą, choć jej twarz była ściągnięta z wielkiej troski. Miała na sobie spodnie, białą jedwabną bluzkę i skórzane czółenka. Być może wcześniej wyszła z pracy albo ubrała się tak na przesłuchanie syna.

Zanim dotarli do schodków od frontu, zawołała:

– Nie ma go tutaj!

Skylar odwrócił się i spojrzał na czerwonego chevroleta camaro, który stał na podjeździe, ale nie zdążył o nic spytać, bo pani Bosh dodała:

– Był tu, kiedy wpadłam do domu na lunch. Potem wyjechałam i wróciłam dosłownie parę minut temu. Niestety nigdzie go nie ma. – Pokazała telefon komórkowy, który trzymała w ręce. – Dzwoniłam do kilku przyjaciół Johnny’ego, ale dzisiaj go nie widzieli.

Maggie zdała sobie sprawę, że nie okazała dość współczucia. Te dzieciaki właśnie straciły dwóch przyjaciół, a ona kłóciła się ze Skylarem o to, czy dopóki dowody nie zdecydują inaczej, powinni traktować je jak świadków, czy jak podejrzanych. A przecież wszystkie były ofiarami.

Pani Bosh zeszła po schodkach, nie zapraszając ich do domu. Obejrzała się przez ramię, jakby sprawdzała, czy nikt jej nie widzi.

– Obawiam się, że mógł wziąć moje tabletki.

– Jakie tabletki?

Znowu obejrzała się przez ramię.

– Przeciwbólowe. Na kręgosłup, biorę je po stłuczce, którą miałam minionej wiosny.

– Wątpię, żeby syn wziął pani leki, pani Bosh. – Skylar poklepał ją po ręce.

– Jakie to były tabletki? – Wprawdzie Maggie nie pracowała w wydziale narkotykowym, ale czytała o nastolatkach, które z apteczek rodziców kradną leki i urządzają imprezy, podczas których się nimi raczą. Jeśli te dzieciaki zażywały szałwię, a Amanda już wczesnym popołudniem była na haju, niewykluczone, że eksperymentowali też z innymi środkami odurzającymi.

– Niewiele ich już zostało, a dzisiaj rano zauważyłam, że buteleczka jest pusta.

– Pani Bosh, pamięta pani nazwę tego leku? – dopytywała się Maggie.

– Tak. Oxycontin.

Maggie mocno się zaniepokoiła. Eksperymentowanie z oxycontinem może zakończyć się fatalnie. To lek o przedłużonym uwalnianiu, ale kiedy się go żuje albo pokruszy, działa gwałtownie i do organizmu dostaje się śmiertelna dawka.

– Jak Johnny zachowywał się rano? Czy sprawiał wrażenie załamanego, zdenerwowanego ostatnią nocą?

– Agentko O’Dell, Johnny jest sportowcem – rzekł Skylar, nie dając matce szansy na odpowiedź. – Uczelnie będą się o niego biły. – Patrzył na nią tak jak wtedy, gdy opuszczali dom Griffinów.

– Wydawał się bardzo zdenerwowany. – Pani Bosh zignorowała Skylara i spojrzała na Maggie, po czym znów

z uwagą popatrzyła na ulicę. – Nie był sobą – dodała po chwili.

– Czy mówił o tym, co stało się ostatniej nocy?

– Nie, w ogóle nie chciał o tym rozmawiać. Mój mąż powiedział, że nie powinniśmy go do tego zmuszać. – Coś odwróciło jej uwagę, przekrzywiła głowę i podeszła na skraj chodnika. – Słyszeliście państwo?

Nadstawili uszu. Poza odległym gwizdem pociągu Maggie słyszała tylko ptaki i dzwonki wietrzne. Aż wreszcie coś wychwyciła. Cichy jęk.

Pani Bosh ruszyła za dom, prawie biegła przez kwiatowe grządki. Maggie i Skylar podążyli za nią. Na tyłach domu pies leżał na brzuchu i skomlał.

– Rex, co się dzieje? – Pani Bosh nie zbliżyła się do psa, tylko zatrzymała się w pewnej odległości i stanęła nieruchomo.

– To pani pies? – spytała Maggie.

– Sąsiadów. Przychodzi tutaj, Johnny bawi się z nim piłką. Bawią się razem, odkąd Johnny był mały.

Maggie ostrożnie podeszła do psa. Nie wyglądał na rannego. Patrzył na coś pod gankiem. Może dostała się tam jego zabawka, której nie mógł wyciągnąć, albo jakieś zwierzę wpadło w pułapkę. Ale skomlenie psa wyrażało raczej niepokój niż zachętę do zabawy.

– Tam jest niski korytarz umożliwiający dostęp do węzłów sanitarnych – wyjaśniła pani Bosh. – Ciągnie się pod całym domem, ale położyliśmy deskę, żeby zwierzęta się nie chowały.

Maggie wyjęła z kieszeni dżinsów miniaturową latarkę i uklękła, zachęcając psa, żeby się przesunął i pozwolił jej zajrzeć pod ganek.

– Jak Johnny był mały, wchodził tam i czołgał się przez cały korytarz. Zwykle robił to, jak coś nabroił i nie chciał, żeby go znaleziono.

Maggie dojrzała zaczepiony o gwóźdź strzęp materiału.

– W co był dziś ubrany pani syn, pani Bosh?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Maggie wynajęła samochód, który teraz tkwił w Scottsbluff, w stanie Nebraska, ponieważ nie chciała lecieć dwusilnikowym samolotem. Wiedziała, że chodzi nie tyle o lęk przed lataniem, co o sytuację, kiedy nad niczym nie ma kontroli. To zresztą źródło wielu lęków. Jeśli człowiek panuje nad sytuacją, nie ma się czego bać. Tak powtarzała sobie Maggie, czołgając się po ziemi pod podłogą domu Boshów i odpychając się łokciami.

Kanał miał najwyżej sześćdziesiąt kilka centymetrów wysokości. W niektórych miejscach było jeszcze ciaśniej. Z kantówki zwisały kable i pajęczyny, które zaczepiały się o włosy Maggie. Wystający gwóźdź oderwał kawałek rękawa i skaleczył skórę, prawdopodobnie tak jak w przypadku Johnny’ego.

Świecili do kanału latarką o dużej mocy, ale belki nośne zasłaniały widok. Pani Bosh wołała syna, lecz nikt jej nie odpowiadał. Kiedy Maggie zasugerowała, by jedno z nich weszło do kanału, przysięgłaby, że z twarzy Skylara odpłynęła krew. Teraz, gdy zapach pleśni i ziemi wypełniał jej nozdrza, a w świetle latarki unosiły się pyłki kurzu, zakwestionowała własny rozsądek.

Ledwie się tam mieściła, ramionami ocierała się o filary. Nagle w jej pamięci odżyło wspomnienie, gdy została zamknięta w pułapce. Może nawet nie tyle wspomnienie, co

wyraźne fizyczne doznanie. Musiała się zatrzymać i złapać oddech. Starała się nie panikować, gdy do jej płuc dostało się cuchnące stęchlizną powietrze z drobinkami kurzu, które omal jej nie udusiły.

Kilka lat wcześniej pewien morderca wepchnął Maggie do pustej zamrażarki. Pamiętała, jak drapała w drzwi, aż połamała paznokcie, a czubki palców już po chwili miała poranione i bez czucia. Zazwyczaj pamiętała jednak przede wszystkim przerażające zimno, tak nieznośne, że wyłączyło jej rozum. W końcu także ciało uległo hipotermii.

Na moment zamknęła oczy. Wiedziała, że koniecznie musi zwolnić.

Oddychaj przez usta, nakazała sobie. Głęboko, powoli.

Nie może dopuścić do hiperwentylacji, bo znajdzie się w kłopocie. Odsunęła wspomnienie. Owszem, było tu zimno, ale nie tak jak w zamrażarce. Tutaj było inaczej. Nie znalazła się w pułapce. Panowała nad sytuacją.

Czołgała się krętym korytarzem. Kiedy zaczął się zwężać, zastanowiła się, jak zawróci.

Przestań o tym myśleć, znów nakazała sobie.

Głos pani Bosh był coraz bardziej stłumiony.

U wejścia do korytarza pod gankiem Skylar umieścił silnie świecącą latarkę, ale promień światła trafił na zakręt i wspierające filary, dlatego Maggie mogła liczyć tylko na swoją kieszonkową latarkę.

Po lewej coś smyrgnęło. Jakieś futro otarło się o jej rękę. Maggie wzdrygnęła się i czubkiem głowy uderzyła w kantówkę o przekroju pięć na dziesięć centymetrów. To

tylko mysz, powiedziała sobie. To było za małe na szczura. Mimo to zadrżała.

To nie szczur, powtarzała w duchu. Przestań myśleć o szczurach.

Zatrzymała się, ułożyła wygodniej, dała odpocząć łokciom.

– Johnny? Jestem Maggie O’Dell, agentka specjalna FBI. Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się wczoraj w nocy. – Nasłuchiwała czujnie, lecz wokół panowała cisza. Nagle wydało jej się, że słyszy jakiś głos. Był zniekształcony, dochodził z miejsca, które znajdowało się przed nią. – Johnny? Martwimy się o ciebie. Nic ci nie grozi.

W świetle małej latarki nie była w stanie zobaczyć, co jest za następnym filarem, grubszym niż pozostałe, szerokości dwóch cegieł. Pewnie znajduję się pod samym środkiem domu, pomyślała. Głos płynął zza tego filaru.

Uniosła nieco dłoń z latarką, żeby widzieć przed sobą przestrzeń, którą się czołgała. Zdawało się, że jest tu więcej miejsca, było przynajmniej trzydzieści centymetrów wyżej. Wąski strumień światła wyłapał jakieś przedmioty na ziemi. Przyglądając się uważniej, Maggie rozpoznała rozrzucone figurki postaci z „Gwiezdnych wojen”, papierki po batonach i zgniecione puszki po wodzie sodowej.

Doczołgała się do filaru i przekręciła się na bok. Tutaj mogła nawet usiąść przygarbiona. Oparła się o zimny cement i przez kilka sekund walczyła z pajęczynami, które oblepiły jej twarz i włosy. Kiedy uniosła latarkę, od razu go zobaczyła.

Siedział do niej tyłem, niecałe trzy metry dalej, przechylony na bok i oparty o kolejny filar. Słyszała, jak coś mamrocze.

– Johnny? –

Odpowiedziało jej milczenie. Jeśli wziął oxycontin albo szałwię, może być nieprzytomny, pomyślała. – Johnny? – zawołała ponownie.

Tutaj mogła poruszać się na czworakach. Ocierała się plecami o kable przymocowane do desek podłogi domu. Kolejny wystający gwóźdź podarł jej bluzkę. Tym razem to zignorowała i posuwała się dalej. Kiedy dotarła do chłopca, nie zareagował. Położyła rękę na jego ramieniu, starając się go nie przestraszyć, i przesunęła się tak, by znaleźć się z nim twarzą w twarz.

W świetle latarki ujrzała jego oczy. Widziała słuchawki i wiszący kabel. Mamrotanie, które słyszała, dochodziło z iPoda, a nie z ust Johnny’ego.

Spóźnili się.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Julia Racine tak naprawdę nigdy nie zrozumiała, co Maggie O'Dell widzi w Benjaminie Platcie. Wydawał się zbyt metodyczny, zbyt pedantyczny i zasadniczy. Chociaż musiała przyznać, że miał zgrabny tyłek.

Oczywiście, że wciąż zauważała takie rzeczy. Kiedy irytowało to Rachel, jej partnerkę, Julia zwykle odpowiadała:

– Hej, jestem lesbijką, nie trupem.

Zawsze wyobrażała sobie, że Maggie zainteresuje się jakimś kochającym przygody i ryzyko, mniej przewidywalnym i pełnym pasji facetem. Kimś takim jak... okej, kimś podobnym do niej, do Julii.

Wyszła za Plattem na szkolny parking, bo zaoferowała się z pomocą.

– Tutaj przynajmniej nie ma kamer – rzekł Platt, rozglądając się, żeby się co do tego upewnić. – Nie do wiary, że zjawili się przede mną.

Julii wcale to nie dziwiło. Hieny zawsze jakoś znajdą drogę. Teraz żyła z jedną z nich. Gdyby rok temu ktoś jej powiedział, że zakocha się w dziennikarce, odparłaby, że zwariował. Może to ona zwariowała. Po raz drugi w ciągu

godziny przyłapała się na tym, że ma nadzieję, iż to nie Rachel dała cynk kolegom.

Szła za Plattem do pojemnika na śmieci w rogu. Otaczał go wysoki na dwa metry drewniany płot z zamkniętą na kłódkę bramką.

Platt uderzył ręką w zamek.

– Jest już tak źle, że musimy zamykać na klucz nasze śmieci?

– Dzięki temu trudniej wrzucić zwłoki.

Zerknął na nią, jakby to nie wpadło mu do głowy. Zabawne, że to pierwsza rzecz, która przyszła Julii do głowy. Pewnie zbyt często pomagała wyciągać ze śmieci ciała nieszczęsnych ofiar, zazwyczaj kobiet. Mężczyźni rzadko trafiali do pojemników na śmieci. Prawdę mówiąc, jedna z ostatnich spraw, nad którymi pracowała razem z Maggie, dotyczyła pozbawionej głowy kobiety. Głowę znaleziono w koszu na śmieci w kuchni ofiary.

– Nie spodziewała się pani, że będzie tak nieprzyjemnie – rzekł Platt, dając jej szansę na to, żeby się wycofała.

To był jej wolny dzień, więc nie musiała tego robić. W ogóle nie powinno jej tu być, ale po prostu była ciekawa Benjamina Platta. Kiedyś próbowała poderwać Maggie, ale potem jakoś tak się stało, że się zaprzyjaźniły. Miały ze sobą więcej wspólnego, niż chciały przyznać. Obie w dzieciństwie straciły jednego z rodziców. Obie musiały walczyć o zawodową pozycję w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Ufały nielicznym, a jeszcze mniej licznych dopuszczały do siebie blisko, więc przyjaźń to nie było

słowo, którego nadużywały. Szczerze mówiąc, bardzo szanowała Maggie, więc chciała się przekonać, kim jest ten facet, który przyciągnął jej uwagę.

Obserwowała Platta, który zdjął kurtkę, schował portfel i komórkę do kieszeni, po czym złożył kurtkę i położył ją na betonie. Omal nie przewróciła oczami, kiedy starannie podwijał rękawy koszuli. Potem ją zaskoczył, zgrabnie przeskakując płot.

Julia stała z rękami na biodrach. Okej, to było nieoczekiwane. Może jednak nie był takim przewidywalnym nudziarzem, za jakiego go brała. No i był wysportowany. Tylko ślepiec nie dostrzegłby jego atletycznej sylwetki. Mimo to nie spodziewała się, że zaryzykuje zabrudzenie spodni czy wypolerowanych skórzanych butów.

– Mogę przerzucić część tych toreb przez płot – powiedział.

– Proszę sobie nie robić kłopotu.

– Tak, ma pani rację. Podziurawiłyby się.

Zgadywała, że między pojemnikiem na śmieci a ogrodzeniem ledwie znajdzie się miejsce, żeby stanąć. Słyszała, jak Platt otworzył pokrywę pojemnika, i natychmiast poczuła smród.

Zdjęła kurtkę i położyła ją obok jego kurtki, nie składając jej tak porządnie jak Platt. Postanowiła zatrzymać broń. Potem przeskoczyła przez ogrodzenie niemal tak samo zwinnie, gdyby nie drzazga, która weszła w lewą rękę. Była ostra i wbiła się głęboko, jednak Julia przygryzła dolną wargę, żeby z jej ust nie posypały się przekleństwa. Przy

CariAnne starała się pilnować, bo dziewczynka zwracała jej uwagę, że nadużywa pewnego słowa na „k”. Nie ma to jak dziewięciolatka, która robi ci wykład na temat dobrych manier. Julia mogła ją posłać do diabła, tak jak zrobiłaby w przypadku każdej innej osoby.

– Czego właściwie szukamy?

Podała Plattowi parę lateksowych rękawiczek. Wzięła ich kilka z kuchni. Taki nawyk. Platt wyglądał na zaskoczonego, ale natychmiast wciągnął rękawiczki.

– Wszystkiego, co było w dzisiejszym menu.

– W lodówce nic nie zostało?

– To byłoby zbyt proste. – Uśmiechnął się, z tylnej kieszeni spodni wyjął kawałek papieru i rozwinął go. – Jedli coś, co nazywa się taquito. Ma pani pojęcie, co to takiego?

– CariAnne to wprost uwielbia. To jej ulubiony posiłek w szkolnej stołówce. Rodzaj burrito na pszennym placku.

– Z wołowiną czy kurczakiem?

– Z jednym albo z drugim, ale ona woli mieloną wołowinę. Do tego ser, cebula, jakiś sos. Próbowałyśmy zrobić coś podobnego w domu, ale zdaniem CariAnne niezbyt nam się udało.

– Zapomniałem spytać, jak ona się czuje.

– Zarzygała mi buty, ale teraz odpoczywa w domu z mamą, która wie, kiedy CariAnne jest chora, nawet jak mała jej o tym nie informuje. – W duchu powiedziała sobie, że powinna się zamknąć. Dlaczego przejmuje się tym, że nie od razu zauważyła, iż dziewczynka źle się czuje? Skąd miała to wiedzieć?

– Tak, matki posiadają tę specjalną zdolność, o której reszta z nas nie ma pojęcia – rzekł Platt, jakby czytał w jej myślach. Tyle że nie było w tym cienia żartu. Julia odniosła wrażenie, że wyglądał... jeśli się nie myliła, wyglądał na smutnego. Zerknął na nią i spytał: – Przygotowują na miejscu czy kupują zamrożone? – Znowu zaczął grzebać w śmieciach.

Na moment Julia zapomniała, o czym rozmawiali.

– Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że kupują gotowe i rozmrażają. Nie zdążyliby tyle tego zrobić na miejscu.

Platt ponownie zerknął na listę.

– Dzieci jadły też sałatę i owsiane ciasteczka.

Julii zaburczało w brzuchu. Platt uniósł brwi. Kwaśny odór nie znikał, podobnie jak muchy.

– Nie jadłam lunchu – powiedziała Julia, nie przepraszając. Przekopywanie śmieci nie przyprawiało jej o większe mdłości niż zdrapywanie ze ściany rozbryzganego mózgu czy obserwowanie, jak koroner przecina żebra. Kiedy człowiek jest głodny, to jest głodny i tyle. Co prawda tego dnia nie mogła pozbyć się zapachu dziecięcych wymiocin.

Na szczęście Platt nie robił z tego problemu. Chwycił jeden z worków z samej góry i nie wyjmując go ze śmietnika, zaczął otwierać.

Julia też wzięła worek i po prostu go rozerwała. Włożyła do środka rękę i nagle poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Musiała przełknąć. Cholera, nigdy nie miała nudności. Dlaczego teraz? Nie chciała, żeby po powrocie do

domu Benjamin Platt opowiadał Maggie, jak to jej przyjaciółka twardzielka zwymiotowała na resztki szkolnego lunchu.

– Chce pan jakiś worek po sałacie? – starała się skupić na swoim zadaniu. Niczego poza opakowaniami po sałacie nie była w stanie zidentyfikować. Wszystko inne wyglądało jak brązowa śmierdząca pulpa.

– Tak, świetnie, poproszę.

Platt odłożył na bok swój worek ze śmieciami i wziął worek po sałacie.

– Są tu wydrukowane kody. – Rozerwał foliową torebkę i pokazał Julii. – Producenci zaczęli je zamieszczać po aferze ze szpinakiem w dwa tysiące szóstym. Zobaczmy, czy pamiętam, jak to działa. Kod tego woreczka to P227A. Pierwsza litera wskazuje na producenta. 227 to dwieście dwudziesty siódmy dzień roku, a ostatnia litera zwykle oznacza zmianę, która to pakowała. W zakładach przetwórstwa spożywczego przechowuje się dokładną dokumentację, na podstawie której można znaleźć dostawcę, a nawet pole, z którego pochodzi sałata.

– Mamy tutaj ze czterdzieści albo i pięćdziesiąt foliowych worków po sałacie. Chce pan wszystkie?

Julia przysięgłaby, że na myśl, co ich czeka, Platt się przygarbił. Podciągnął rękawy, nawet nie zauważając, że są już na nich brązowe plamy. Podniósł wzrok i obserwował niebo, jakby tam szukał odpowiedzi.

W końcu wzruszył ramionami i rzekł:

– Od czegoś musimy zacząć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Nebraska

Wcześniej Maggie nie zastanawiała się, jak przekona Johnny’ego Bosha do opuszczenia bezpiecznej kryjówki. Nie myślała też o tym, jak przez ciasny tunel wyciągnie chłopca o wzroście ponad metr osiemdziesiąt i ważącego osiemdziesiąt kilogramów. Teraz to już nie było ważne, przynajmniej nie tak pilne. Zostawi ten problem ratownikom z karetki albo innym służbom ratowniczym.

Siedziała z nim dobrych dziesięć minut, zbyt świadoma, że z martwymi ofiarami czuje się lepiej niż z żywymi. Nie miała żadnej odpowiedzi dla Dawsona Hayesa, kiedy oświadczył, że źle zrobiła, nie pozwalając mu umrzeć razem z kolegami.

Powinna była wiedzieć, że po takiej tragedii tych, którzy przeżyli, czekają trudne chwile. Jeżeli nie przewidziała tego jako psycholog, powinna to była wiedzieć z własnego doświadczenia. Ileż to razy udało jej się uciec przed śmiercią, podczas gdy inni umierali?

Niecały rok wcześniej jej szef i mentor Kyle Cunningham zmarł po zarażeniu się wirusem eboli. Maggie także się nim zaraziła. Niespełna tydzień po śmierci Cunninghama zaczęła zadawać sobie pytanie, dlaczego to ona przeżyła, a nie on?

Prawdziwi profesjonaliści, tacy jak jej najlepsza przyjaciółka Gwen Patterson, która na co dzień zajmowała się psychologią, od razu rozpoznawali w tym poczucie winy osoby, której udało się przeżyć. Skłonność do kwestionowania sytuacji, zamiast jej zaakceptowania czy po prostu odczuwania wdzięczności do losu. Maggie to akurat rozumiała, ale nie rozumiała samobójstwa.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała Johnny'ego. Siedziała naprzeciw niego oparta o zimny cement fundamentów, patrząc prosto w martwe oczy.

W smudze światła latarki unosiły się drobinki kurzu. Ciszę zakłócał tylko dźwięk ze słuchawek iPoda, małego gadżetu schowanego do kieszeni koszuli chłopca. To był hip-hop albo rap, więcej słów niż muzyki. To dlatego w pierwszej chwili wzięła to za mamrotanie Johnny'ego.

Może nie zamierzał się zabić. Możliwe, że chciał tylko uciec, na parę godzin zapomnieć o wszystkim i wszystkich. Nie widziała żadnych leków ani opakowań. Na ziemi nic nie leżało.

I wtedy zobaczyła komórkę, którą Johnny wciąż ściskał w ręce. Czyżby do kogoś dzwonił?

Bez kłopotu wyjęła telefon z ręki chłopca. Mięśnie jeszcze nie zesztywniały. W świetle kieszonkowej latarki odnalazła przycisk i włączyła telefon. Nic. Znowu nacisnęła i obróciła telefon do góry nogami, lecz wciąż nie działał. Zapewne bateria się wyładowała. Włożyła telefon głęboko do przedniej kieszeni swoich dżinsów.

Potem się odwróciła, by ruszyć tunelem. Droga powrotna, pozbawiona teraz niespodzianek, powinna być łatwiejsza. Maggie miała już ochotę odetchnąć świeżym powietrzem, wstać na nogi i przeciągnąć się. A jednak się zawahała. Wiedziała przecież, że gdy tylko wyczołga się spod domu, znajdzie się w jeszcze trudniejszej sytuacji.

Usiadła znów na piętach i spojrzała na Johnny’ego Bosha.

– I co ja mam, do diabła, powiedzieć twojej mamie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Tym razem Mary Ellen Wychulis nie musiała czekać. Irene Baldwin stała w drzwiach i machała na nią, żeby weszła do jej gabinetu, gdy tylko Mary wysiadła z windy.

W gabinecie ryczał telewizor. Mary Ellen nigdy wcześniej nie widziała, żeby był włączony. Szefowa pilotem wyłączyła głos i opadła na fotel. Co prawda nie kazała Mary Ellen usiąść, ale ona jak zwykle przycupnęła na brzegu krzesła.

– Dlaczego z CNN dowiaduję się o prawdopodobnym zatruciu żywności w jednej z naszych szkół? Jednej ze szkół w stolicy?

– Nikt z pracowników szkoły do nas tego nie zgłosił.

– Zadzwoniłam w sześć miejsc i nikt nie wie, co się tam dzieje. Jakiś człowiek z CDC – mówiła Baldwin, kartkując pełen zapisków notes – niejaki Roger Bix oznajmił mi, że dwa dni temu zgłosił nam inne zatrucie w liceum w Norfolku, w stanie Wirginia. Nie przypominam sobie takiego zgłoszenia i jestem pewna, że dotąd nie rozmawiałam z tym człowiekiem. Z całą pewnością zapamiętałabym jego protekcjonalny ton.

Mary Ellen milczała. Starała się trzymać ręce nieruchomo na kolanach, chociaż w pierwszym odruchu miała ochotę zacząć je wykręcać.

– Rozmawiała pani z Rogerem Biksem? – spytała szefowa.

Mary Ellen każdego dnia przyjmowała dziesiątki telefonów i odbierała jeszcze więcej mejli z prośbami, zgłoszeniami, skargami. Wieloma z nich zajmowała się jej sekretarka. Trudno się spodziewać, żeby wszystkie pamiętała. A jednak zapamiętała Rogera Biksa.

– Tak, i poradziłam mu, żeby porozmawiał z podsekretarzem Eislerem. To jego departament nadzoruje KPSL. – Urwała, po czym szybko dodała, wiedząc, że Baldwin nie znosi skrótów: – Krajowy Program Szkolnych Lunchów. Przesłałam mu też formularze do wypełnienia, konieczne do ustalenia, czy konkretna sytuacja uzasadnia ocenę przez Program Partnerstwa Strategicznego ds. Agroterroryzmu.

– Agroterroryzm? On nazwał to aktem terroryzmu?

– Dawał do zrozumienia, że zatrucie mogło być celowe.

– Więc dzwonił z prośbą o nasze wsparcie w sytuacji ewentualnego celowego zatrucia żywności w publicznym liceum, a pani wysłała mu formularze do wypełnienia?

– To standardowa procedura służąca ocenie sytuacji. Odesłałam go też do podsekretarza Eislera.

Baldwin potrząsnęła głową, a Mary Ellen przygotowała się na wykład, lecz zamiast tego szefowa powiedziała:

– Czy możemy po prostu wyjąć akta z inspekcji tych dwóch szkół? Sprawdzić, czy któraś z nich była pozywana albo ostrzegana? Czy korzystają z tych samych dostawców?

– To możliwe, ale musielibyśmy prosić o dokumenty z kontroli odpowiedni urząd stanu Wirginia i Dystryktu

Kolumbii.

– Czy Departament Rolnictwa nie jest odpowiedzialny za kontrole szkolnych stołówek i kuchni?

– Nadzorujemy Krajowy Program Szkolnych Lunchów, ale nie posiadamy dokumentacji z kontroli.

– Okej, w takim razie co jest w naszym posiadaniu?

Było późno. Mary Ellen nie miała ochoty na kolejną rundę sarkastycznych uwag swojej szefowej. Chciała już pójść do domu do ślicznego synka i kochającego męża. To pech, że dzieciaki w szkole się pochorowały, ale to się zdarza. Dzieci przyciągają wirusy. A Roger Bix mówi jak protekcjonalny dupek. Nawet Baldwin to zauważyła. Mary Ellen miała dość ciągłego dyrygowania przez Centrum Zwalczania i Zapobiegania Chorób. Zdaje im się, że są najważniejszą agencją rządową.

– Wychulis?

Mary Ellen zdała sobie sprawę, że zbyt długo ociąga się z wyjaśnieniami. To była złożona procedura i wiedziała, że szefowej się to nie spodoba.

– Władze stanowe kontrolują i na bieżąco uaktualniają dane ze wszystkich okręgów – zaczęła. – Wymagamy, by wszystkie szkoły, które chcą należeć do Krajowego Programu Szkolnych Lunchów, dwa razy do roku poddawały się kontroli. Władze stanowe przekazują nam liczbę skontrolowanych szkół, ale nie podają ich nazw. – Gdy Baldwin tylko patrzyła na nią, po prostu tym razem zaniemówiła, ciągnęła dalej: – Uważam, że podsekretarz Agencji Żywności i Żywienia jest bezpośrednio

odpowiedzialny za Krajowy Program Szkolnych Lunchów. – Nie wiedziała, ile już razy to mówiła. – Pan Eisler z pewnością lepiej to wszystko wytłumaczy. – Ściągnęła wargi, starając się ukryć irytację. Złożyła dłonie na kolanach i zachowała dla siebie ostatnią uwagę, że ta sprawa to nie ich kłopot, tylko podsekretarza Eislera.

– Zaoferowałam naszą salę konferencyjną – oznajmiła Baldwin – na centrum strategiczno-informacyjne. Mam nadzieję, że pan Roger Bix zgodzi się z niego skorzystać, żebyśmy mieli nad tym jakąś kontrolę. Zaangażował już w tę sprawę FBI, Departament Zdrowia, policję oraz USAMRIID.

– USAMRIID? To chyba przesada, prawda?

– Biorąc pod uwagę, że jego zdaniem ktoś zrobił to z premedytacją, powiedziałabym raczej, że dość sprytne. Odniosłam wrażenie, że pan Bix jest bardzo drobiazgowy. A skoro o tym mowa, z samego rana musimy zorganizować zebranie naszych ludzi. Proszę skontaktować się z niezbędnymi osobami. Wolałabym ograniczyć się do najważniejszych członków personelu, żeby niepotrzebnie nie nagłaśniać sprawy.

– Tak, oczywiście. A co z mediami? – spytała Mary Ellen.

– Pan Bix również uważa, że nikt nie powinien rozmawiać z mediami, dopóki nie ustalimy, co się dzieje. – Znów kartkowała notes, aż znalazła to, czego szukała. Wyrwała dwie kartki. – Tu jest lista rzeczy, które będą nam potrzebne w sali konferencyjnej na spotkanie z panem Biksem.

Mary Ellen wzięła od niej kartki, zauważając z niejakim rozdrażnieniem, że lista składa się z dwóch drobno zapisanych kolumn.

– Z samego rana dopilnuję, żeby wszystko było na miejscu.

– Dopilnuje pani tego natychmiast.

– Natychmiast?

– Bix i jego zespół będą tu za dwie godziny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nebraska

Maggie nie pamiętała, kiedy czyjś widok sprawił jej taką radość i ulgę. Śledczy Patrolu Stanowego Donny Fergussen stał na chodniku z dala od ratowników i gapiów. Wciąż słysząc szloch pani Bosh, Maggie cofnęła się i stanęła obok Donny'ego.

– Przyprowadziłem pani samochód – rzekł, nie spuszczając wzroku z ludzi, którzy bezlitośnie deptali wypielęgnowany trawnik państwa Boshów.

Maggie zerknęła w dół ulicy i dojrzała swoją wypożyczoną toyotę w kolejce innych samochodów.

– Skąd pan wiedział, że tutaj jestem?

– Całe hrabstwo wie, że pani tu jest.

Nie była pewna dlaczego, ale to proste stwierdzenie podziałało jak uderzenie w brzuch.

– Powinnam była się domyślić, że może do tego dojść – mruknęła pod nosem. To nie było wyznanie, raczej sama siebie napominała.

– Wszyscy powinniśmy byli o tym pomyśleć.

Stali w milczeniu bez ruchu, podczas gdy cały świat wokół nich wydawał się kręcić jak szalony.

Maggie uderzyło, jak bardzo ten tłum różnił się od tych, do których przywykła. Widziała kilku gapiów, ale przede

wszystkim to byli znajomi i sąsiedzi Boshów, którzy przyszli im dodać otuchy. Sąsiedzi pomagali, jak mogli, z garaży i szop przynosili liny, sznurki, nożyce ogrodowe i inne narzędzia, wszystko, co przydawało się ekipie ratowników, którzy starali się jak najszybciej i jak najsprawniej dotrzeć do celu, choć tym razem nie była to tak naprawdę akcja ratunkowa.

Maggie wreszcie zrozumiała, dlaczego minionej nocy na miejscu zbrodni pojawiło się tyle osób. Nie przyszli tam po to, by użyć swojej władzy i zaspokoić ciekawość. Przyszli głównie po to, żeby pomóc. Ponieważ tak właśnie się tutaj żyło, ludzie sobie pomagali.

Maggie spojrzała na Donny’ego i powiedziała:

– Dzięki, że przyprowadził pan mój samochód.

– Nie ma sprawy. Wytłumaczyliśmy wszystko w oddziale wypożyczalni w Scottsbluff i dali nam dodatkowe kluczyki. – Sięgnął do kieszeni i podał je Maggie. – Kierownik zmienił też pani opłatę w komputerze. Policzą tylko za weekend, ale nie musi pani oddawać wozu do końca przyszłego tygodnia, jeśli będzie potrzebny.

– Dobry interes. Patrol Stanowy ma zniżkę?

– Robimy, co możemy. – Zasalutował i wreszcie się uśmiechnął. – Ale jest tu pewien haczyk. Potrzebuję transportu do North Platte. Pomyślałem, że pani też chce pojechać, żeby uczestniczyć w autopsji. O ile nie wraca pani do Denver.

Nie miała żadnych wiadomości od zastępcy dyrektora Kunzego, ale prawdę mówiąc, ostatnio nie sprawdzała, czy

otrzymała coś nowego. Najprościej byłoby przekazać tę sprawę miejscowym władzom i wyjechać. Donny i Patrol Stanowy świetnie dawali sobie radę. Mogłaby dotrzeć do Denver przed zapadnięciem nocy, zameldować się w hotelu, gdzie odbywa się konferencja, zamówić coś do jedzenia do pokoju, a potem odpocząć przed sobotnio-niedzielnymi wykładami. Nikt by nie zakwestionował jej decyzji, a już Skylar z pewnością ucieszyłby się z jej wyjazdu.

Zobaczyła, że zerkał w jej stronę. Pomógł Maggie wydostać się z tunelu pod domem, ale kiedy im oznajmiła, co tam zastała, cofnął się, potrząsając głową, jakby ona była temu winna.

Maggie spojrzała na Boshów, którzy stali objęci, czekając, aż ratownicy zakończą pracę. Była niemal przekonana, że badanie toksykologiczne wykaże przedawkowanie jakiegoś leku. Nie trzeba będzie wydawać budżetu hrabstwa na kolejną autopsję. Tak, pomysł wyjazdu do Denver coraz bardziej do niej przemawiał. Pojedzie po autopsjach.

– Może wpadniemy do sklepu, zanim wyruszymy w drogę – rzekł Donny, kiedy wsiedli do toyoty.

– Tak, chętnie napiłabym się dietetycznej pepsi.

– Pani walizka jest w bagażniku.

– Dzięki.

– W sklepie na autostradzie jest przyjemna czysta łazienka.

Tym razem odwróciła głowę i popatrzyła na niego.

– Śledczy Fergussen, czy pan uważa, że śmierdzę?

Zauważyła, że jego kark poczerwieniał.

– To tylko sugestia.

Oczywiście, gdy tylko znalazła się w przyjemnej, czystej jak w domu łazience i zdjęła brudne ubranie – wszystko, co na sobie miała – zadzwonił zastępca dyrektora Kunze. Chciała nacisnąć przycisk Zignoruj, żeby Kunze zostawił jej wiadomość. W końcu i tak wiedziała, co od niego usłyszy. A jednak sprawdziła zamek w drzwiach i sięgnęła po komórkę.

– Maggie O’Dell, słucham.

– Agentko O’Dell, proszę, niech mi pani powie, że jest pani w Denver albo w drodze do Denver.

– Mam trochę opóźnienia. – Wcześniej nagrała mu na sekretarkę podstawowe informacje.

– Jestem pewien, że miejscowe władze doceniają pani wysiłki, ale zarazem są więcej niż zdolne do tego, żeby samodzielnie poprowadzić tę sprawę.

– Jeden z nastolatków, którzy przeżyli wczorajszą noc, właśnie popełnił samobójstwo.

Nie była pewna, dlaczego jej się to wyrwało. Trudno zmienić stare przyzwyczajenia. Byłoby całkiem naturalne, gdyby podzieliła się tym z Cunninghamem, który natychmiast rzuciłby jakąś głęboką, wnikliwą uwagę. Zapewniłby ją, że zrobiła wszystko, co w jej mocy. Był ich szefem, ich liderem. Potrafił agentom zrobić piekło, kiedy na to zasługiwali, ale poza tym okazywał im troskę. Maggie zdała sobie sprawę, jak bardzo zawsze na niego liczyła. Ale cóż, nie żył.

Zadumała się, czekając na słowa krytyki Kunzego, na kolejny wykład, kolejne upokorzenie. Tymczasem Kunze kompletnie ją zaskoczył, gdy powiedział:

– Jak mam panią chronić, skoro pani bez przerwy pakuje się w kłopoty?

– Słucham? A przed czym właściwie mnie pan chroni?

Przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze. W jaskrawym fluorescencyjnym świetle blizna na brzuchu i druga na boku jakby się pomarszczyły, zdradzając ją. Ziemia spod domu Boshów zostawiła czarne smugi na twarzy. Włosy wciąż oblepiały pajęczyny. Od czołgania się w tunelu rękawy bluzki miała podarte, a łokcie brudne i zakrwawione. Okej, może w tej chwili wyglądała na wykończoną, ale na pewno nie wymagała jakiejś szczególnej ochrony.

Uświadomiła sobie, że Kunze milczy. Kiedy zastanawiała się, czy połączenie zostało przerwane, usłyszała jego westchnienie.

– Ma pani trzy sesje na konferencji sił ochrony porządku publicznego w Denver, która zaczyna się jutro.

– Każdy doświadczony policyjny detektyw, który przeszedł przez Quantico, może mnie tam zastąpić.

– Ale ja nie wysłałem tam policyjnego detektywa. Wysłałem panią. Proszę, żeby pani zrobiła wszystko, aby uczestnicy konferencji nie siedzieli bez żadnego wykładowcy. Do zobaczenia w poniedziałek, agentko O’Dell.

– W poniedziałek dopiero wylatuję.

– Do zobaczenia we wtorek rano, agentko O’Dell.

Usłyszała kliknięcie, a po chwili sygnał. Kunze kończył rozmowy tak samo niespodziewanie, jak je zaczynał.

Ledwie parę minut temu podjęła decyzję o wyjeździe do Denver, dlaczego więc spierała się z Kunzem? Czy z powodu jego stwierdzenia, że musi ją chronić? Co miał na myśli, do diabła? Odkąd Kunze zastąpił Cunninghama, wciąż ją strofował i poganiał, stale kwestionował wszystko, co robiła. Wysłał ją do magazynu, gdzie ukrywał się morderca, i w samo centrum huraganu. Powiedział jej otwarcie, że według niego jej zaniedbania przyczyniły się do śmierci Cunninghama i że musi mu udowodnić swoją wartość. Ale ile razy ma to robić?

W minionym roku rozwiązała trudną zagadkę eksplozji w centrum handlowym Mall of America. Znaleźli się wtedy z Kunzem po dwóch stronach politycznej barykady. Potem, mniej więcej przed miesiącem, Maggie przeżyła huragan kategorii czwartej, żeby odkryć pewien fortel, który pokazał Marynarkę Stanów Zjednoczonych w niekorzystnym świetle. I znowu podstawiła nogę politycznie poprawnemu szefowi o szerokich politycznych koneksjach. Czy nie należy postępować uczciwie niezależnie od konsekwencji? Cunningham zawsze to rozumiał. Okej, czasami się na nią wściekał, ale rozumiał. Nawet jeśli podawał w wątpliwość jej metody, nigdy nie kwestionował intencji.

Umyła się w małej umywalce i wytarła sztywnymi brązowymi papierowymi ręcznikami, które bardziej drapały, niż osuszały. Potem włożyła czyste ubranie i uczesała się. Od razu poczuła się lepiej.

Zwinęła brudne rzeczy, a kiedy upychała je do bocznej kieszeni walizki, coś potoczyło się po podłodze.

Telefon komórkowy Johnny’ego.

Całkiem o nim zapomniała. Opuściła klapę muszli klozetowej i usiadła na niej. Przypomniała sobie oczy Dawsona, kiedy na nią patrzył minionej nocy. Oczy Johnny’ego, które widziała kilka chwil temu.

Wtedy podjęła decyzję.

Kunze oznajmił, że nie życzy sobie, by zlekceważyła uczestników konferencji. Postara się spełnić jego wolę.

Wzięła swoją komórkę i wybrała książkę adresową. W zeszłym miesiącu podczas pobytu na Florydzie poznała detektywa z Departamentu Policji w Denver. Był doświadczonym detektywem z wydziału zabójstw, który odbył szkolenie z psychologii kryminalnej na kursie w Quantico. Znalazła jego numer. Miała nadzieję, że w ten weekend Glen Karst był wolny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

– Czy pańscy technicy znaleźli w lesie coś więcej? – spytała Maggie Donny’ego, gdy tylko znowu wyruszyli w drogę.

– Znaleźliśmy drut pod napięciem, na który wpadł Dawson Hayes. Ktoś musiał go odciągnąć od słupka ogrodzenia i zamocować między drzewami.

– Zrobił pułapkę.

– No właśnie. Ogrodzenie z drutu kolczastego, z którego wzięli ten drut, oddziela pastwiska od lasu. Dzieciak musiał wpaść w tę pułapkę, a poraziło go tak silnie, że aż rzuciło na ogrodzenie. Widzieliśmy miejsca, gdzie drut kolczasty oderwał się od słupków.

– Wpadł na ogrodzenie z takim impetem, że toczył się, owijając się kolczastym drutem.

– Tak nam się zdaje. Muszę tam kogoś wysłać, żeby zajął się tym drutem pod napięciem. Zwinęliśmy go i zostawiliśmy na boku, ale trzeba porozmawiać z farmerem, żeby odciął dopływ prądu.

– Skoro też go dotykaliście, jakim cudem was nie poraziło?

– Ten, kto odciągnął drut, zostawił plastikowe zabezpieczenia, które pozwalały go dotykać. Dlatego stwierdziliśmy, że ktoś zrobił to celowo. Farmerzy nie używają takich bajerów.

– Czy jest możliwe, że ci dwaj chłopcy też wpadli w pułapkę z tego drutu?

– Musimy poczekać, co powie Lucy. Moim zdaniem nie. To za słaby prąd, żeby śmiertelnie poraził. Co najwyżej kopnie i odstraszy. Proszę pamiętać, że farmerzy chcą bydło zniechęcić, a nie usmażyć. Przepraszam. – Zaczerwienił się. – Nie chciałem być grubiański.

– Pewnie dlatego Dawson przeżył.

– Technicy znaleźli też ślady stóp.

– Więc zachowały się pod plandekami?

– Tak, i to mimo deszczu, ale nie jestem pewien, czy mają jakieś znaczenie, dopóki nie skonfiskujemy butów wszystkich siedmiorga dzieciaków. – Gdy Maggie milczała, Donny zerknął na nią. – Chce pani, żebym skonfiskował buty wszystkich siedmiorga dzieciaków?

– Mamy już trzy pary.

– Są ślady roboczych butów rozmiar czterdzieści osiem. Nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z chłopców nosił robocze obuwie.

– A zatem warto wziąć od nich te buty. Mimo wszystko.

– Tak... – Donny nie zamierzał spierać się w tej sprawie. – Znaleźliśmy też na grani ślady pumy albo rysia, w każdym razie podobne.

– Żartuje pan?

– Hank mówił, że w ostatnich tygodniach kilka osób zgłaszało, że widziało jakieś zwierzę, choć nikt tego nie potwierdził w ostateczny sposób. Tak czy inaczej, niewiele

to nam daje. Żadne z dzieci nie ma ran, które wyglądałyby na atak drapieżnika.

– Dziś rano Dawson Hayes powiedział, że zbliżało się do niego zwierzę podobne do wilka.

– Naprawdę?

– Znalazł pan ślady na terenie obozowiska?

– Ani jednego.

– A coś, co mogłoby być źródłem tych świateł?

Pokręcił głową. Zerknął na nią, jakby się zastanawiał, co powiedzieć, wreszcie oznajmił:

– Moim zdaniem zeszłej nocy niektóre z tych dzieciaków były naćpane. Nie znaleźliśmy butelek ani puszek, tylko kilka niedopałków, lecz żadnych jointów. Ale te ich opowieści i nieobecne spojrzenia wskazują na to, że byli nie tylko porażeni prądem i spanikowani.

Maggie nie wspomniała szeryfowi o szałwii, ponieważ podczas poprzedniego śledztwa zataił informację o narkotykach. Rzekomo wolał, by rodzice dziewczyny myśleli, że przypadkiem spadła z mostu, a nie że naćpała się szałwii i skoczyła. Ale przed Donnym nie mogła tego ukrywać.

– Lucy znalazła foliową torebkę. Uważa, że to może być szałwia boska.

Nie powiedziała nic więcej, bo chciała, by Donny uznał, że Lucy znalazła narkotyk dopiero dzisiaj, przygotowując ciała dwóch chłopców do autopsji.

– Tak myślałem – rzekł Donny, triumfalnie postukując palcami w kierownicę. Nie spytał nawet, jak ani kiedy Lucy

dokonała tego odkrycia.

– Co pan wie o szałwii?

– Ma działanie halucynogenne, podobno porównywalne z LSD. Ponoć nie uzależnia i nie ma działań ubocznych. Wśród młodzieży panuje moda na filmowanie takich imprez i puszczanie ich na YouTubie.

– Sądzi pan, że właśnie to zdarzyło się zeszłej nocy?

– To by wyjaśniało ich opowieści o fajerwerkach i laserowych światłach. Jeden z nich powiedział mi, że fiolet był bardzo głośny.

– Ale nie znaleźliśmy kamery – stwierdziła Maggie.

– Nie, nie znaleźliśmy.

– Nie dziwi pana, że wszyscy widzieli te fajerwerki i światła?

– Dzieciaki łatwo ulegają wpływom. Narkotyk mógł to jeszcze pogłębić. Wystarczy, że jedno z nich stwierdziło, że widzi fajerwerki, i wszystkim wydawało się, że je widzą.

Maggie zauważyła, że przejechali już wiele kilometrów dwupasmową asfaltową drogą i nie minęli jeszcze żadnego skrzyżowania. Spotkali tylko kilka długich podjazdów na rancza i ścieżki prowadzące na pastwiska. Nie mogła uciec od myśli, że nawet w samym środku tego pustkowia nastolatki wiedziały o szałwii i mogły ją nielegalnie nabyć. Donny miał rację. Młodzież łatwo ulega wpływom i jest do siebie podobna niezależnie od miejsca zamieszkania.

– Jeżeli się nie mylimy – podjęła Maggie – przypuszczalnie nie była to ich pierwsza wycieczka, tak to nazwijmy, do

lasu. Czy możemy uzyskać dostęp do wiadomości tekstowych Lucasa i Kyle’a oraz ich komputerów?

– Chyba jestem w stanie to załatwić.

– Kiedy oglądaliśmy okaleczone krowy... – zaczęła znów Maggie, lecz urwała. Czy to było zaledwie wczoraj? – Nolan Comstock wspomniał o jakichś światłach na niebie. Mówił, że ludzie je tutaj widują. – Gdy zobaczyła, że Donny poruszył nerwowo szczęką, dodała: – Ten farmer nie wyglądał na starego szaleńca. – Posłużyła się dwoma przymiotnikami, którymi Skylar opisał Lucy. – Czy ludzie widują tu w nocy jakieś światła na niebie? A jeśli tak, co to za światła?

Donny przez chwilę milczał, po czym rzekł:

– Znajdujemy się w samym środku między dwoma obiektami Air Force. To nie tajemnica, że w tej części kraju odbywają się manewry lotnicze. Pewnie testują nowe technologie. I oczywiście tego nie ogłaszają, no i nie przyznają się do niczego.

– Czy jest możliwe, żeby właśnie coś takiego widzieli ci młodzi ludzie? Jakąś tajną zabawę w wojnę?

– Nie. Rząd nie krzywdziłby dzieci.

Donny sprawiał wrażenie urażonego jej sugestią.

Maggie nie drążyła tematu. Nie była przekonana, czy powinna mu uwierzyć, ale chciała mieć Donny’ego Fergussena po swojej stronie. Pamiętała spojrzenie, którym omiótł ją szeryf Skylar, kiedy im oznajmiła, że Johnny Bosh nie żyje. Było w nim coś takiego, co powiedziało Maggie, że ta sprawa podzieli ludzi, zanim jeszcze się skończy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Benjamin Platt niósł sztywny pojemnik pełen rozmaitych próbek. Chciał jak najszybciej wrócić do laboratorium w USAMRIID. Bix także przesłał nocą zestaw próbek do swoich naukowców w Atlancie. Platt zamierzał poszukać tego, czego eksperci Biksa szukali w próbkach z Norfolku, w tym rozmaitych szczepów E.coli i salmonelli, a także norowirusów i paru innych zdradzieckich bakterii. Miał też kilkanaście woreczków wypełnionych resztkami, które z pomocą Julii Racine starannie wygrzebał ze śmietnika.

Wciąż się uśmiechał na myśl o ostatniej uwadze Julii:

– Nigdy nie widziałam faceta, który tak się podnieca wymiocinami. Pana matka musiała być z pana bardzo dumna.

Teraz stała obok niego z bronią na widoku, jakby go ubezpieczała, gdy pakował próbki do land-rovera. Z początku nie zwracali uwagi na dziennikarzy, którzy zarzucali ich pytaniami i podstawiali pod nos mikrofony. W końcu jednak Racine rozchyliła poły kurtki i pokazała odznakę oraz rewolwer. Zepchnęła z krawężnika jednego z reporterów, a potem wyciągnęła rękę jak zawodnik na pozycji biegacza, który nie dopuści, by ktoś śmiał wejść mu w drogę.

W końcu wsiedli do samochodu. Platt był gotów rozpędzić tłum. Uruchomił silnik, żeby ostrzec ekipę wiadomości Kanału 5, która stała przed jego maską, że nie zawaha się ich rozjechać, i ruszył. Wysoki facet z kamerą odskoczył na bok. Nagle otworzyły się drzwi land-rovera. Racine odwróciła się, gotowa rzucić się na intruza, lecz to Roger Bix wśliznął się na tylne siedzenie.

– Ruszajmy – rzucił. – Niech pan przejedzie tych dupków, jeśli trzeba.

W połowie ulicy Platt powiedział:

– Podwiozę detektyw Racine do jej samochodu. Chce pan, żebym pana podrzucił gdzieś, gdzie pan zostawił wóz?

– Departament Rolnictwa zaprosił nas do siebie, żebyśmy się wymienili informacjami.

– Naprawdę? Myślałem, że muszą zaopiniować pańską prośbę.

– Najwyraźniej już ją zaopiniowali. Moim zdaniem ta nowa podsekretarz oglądała dziś telewizję i teraz siedzi jak na rozżarzonych węglach.

Platt zerknął na Racine, a potem na Biksa w bocznym lusterku. W końcu Bix znowu był sobą, posługiwał się wyrażeniami frazeologicznymi, a na dodatek mówił z tym swoim południowym akcentem.

– Więc mam pana podrzucić do Departamentu Rolnictwa?

– Podrzucić mnie? Myślałem, że pójdziemy tam razem. Jak Batman i Robin albo Samotny Strażnik i Tonto.

Platt miał na końcu języka: „raczej jak Archie i Jughead”, ale powiedział:

– Niech mi pan wierzy, że będę bardziej przydatny, jak pojadę do laboratorium i zacznę szukać, czym zatruły się dzieci. Popijanie herbatki, pogryzanie paluszków i polityczne plotki w jakimś gabinecie to dla mnie marnowanie czasu.

– Prawdę mówiąc, oboje tam ze mną pojedziecie. Chodzi mi o demonstrację siły.

– Nie zostałam oficjalnie przydzielona do tej sprawy – oznajmiła Racine.

Bix wziął do ręki telefon.

– Do kogo mam zadzwonić, żeby dostała pani oficjalny przydział?

– Roger, ona ma dzisiaj wolne. Co z panem, do diabła?

– Tylko dwadzieścia minut – obiecał Bix.

– Jasne, czemu nie. Jestem głodna.

Zanim Platt zaprotestował, z komórki Biksa rozległa się melodia bardziej przypominająca salsę niż country. Ten facet był pełen niespodzianek.

Bix ściągnął brwi i potrząsnął głową, mówiąc:

– Słucham, Bix. – Chwilę milczał, a potem rzekł: – Tak, oczywiście, wierzę panu. Nigdy nie twierdziłem, że panu nie wierzę.

Platt wymienił spojrzenie z Julią, ale oboje milczeli. Platt nadal zerkał w tylne lusterko. Bix wydawał się poruszony, wyglądał przez okno, jakby nerwowo szukał wzrokiem swojego rozmówcy na chodniku. Czyżby nad jego górną wargą pojawiły się kropelki potu?

– Chryste, nie mówi pan poważnie? – Było w tym więcej niedowierzania niż złości. – Muszę wiedzieć więcej niż dotąd, żeby dalej działać. Proszę poczekać. Proszę się nie rozłączać. – Opuścił rękę z telefonem, spojrzał na niego, a potem go zamknął. Rozmówca rozłączył się, nim Bix skończył mówić. Otarł spoconą twarz, a potem rzekł: – Będzie więcej takich szkół.

Powiedział to tak cicho, że Platt nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– Co to znaczy? – spytała Julia.

– Jeśli nie rozwiążemy tej sprawy do poniedziałku rano, będziemy mieli do czynienia z kolejnymi zatruciami.

– Z kim pan rozmawiał, Roger?

– Nie wiem.

– Czy to akcja terrorystyczna? – spytała Julia.

– Można tak powiedzieć – odparł Bix. – Ale to nie był terrorysta. Tylko informator.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Nebraska

Kiedy Maggie zdała sobie sprawę, że podróż do North Platte zajmie półtorej godziny, zadzwoniła do Lucy i powiedziała, żeby na nich nie czekała. Lucy skończyła już autopsję jednego chłopca i właśnie zaczęła ogólne badanie drugiego, kiedy Donny i Maggie dotarli do celu.

Pomieszczenie, w którym przeprowadzano autopsję, zrobiło na Maggie pozytywne wrażenie. Było to jasne, lśniące czystością laboratorium w piwnicach szpitala rejonowego. Nie była pewna, czego się spodziewać, bo system doboru koronerów w Nebrasce wydał jej się dosyć archaiczny.

Minionego wieczoru Lucy tłumaczyła Maggie, że prawo stanu Nebraska wymaga, by prokurator hrabstwa pełnił też funkcję koronera. Tutejsi prokuratorzy odpowiadali za śledztwa dotyczące zabójstw w ich hrabstwach. Prawo, które uchwalono przed dziewięćdziesięcioma laty, ustalało niewiele norm, pozostawiając prokuratorom hrabstw decyzję, kiedy i czy w ogóle śledztwo zostaje podjęte. Nie wymagano od nich przygotowania medycznego, natomiast zapewniano prokuratorom szkolenie z zakresu tego rodzaju śledztwa. Odbywało się w Lincoln, trwało jeden dzień i było nieobowiązkowe. W pewnym momencie Lucy Coy była

jedynym na terenie pięciu hrabstw ekspertem medycyny sądowej, który ma przygotowanie medyczne.

– Musi pani zrozumieć – mówiła Lucy. – Nebraska ma ponad półtora miliona mieszkańców, z czego milion zamieszkuje w promieniu niespełna stu kilometrów od Omaha, gdzie oczywiście jest koroner, laboratorium kryminalistyczne i wydział zabójstw. Wszystkie luksusy, można by rzec, wielkomiejskiej aglomeracji. Ale musi pani mieć świadomość, że w tej części stanu ludzie na co dzień nie giną od ciosu nożem czy postrzału z broni palnej. Tutaj niepotrzebne są te wszystkie technologie i specjalizacje.

– Chyba że pani przyjaciel albo członek rodziny ginie w samym środku Sandhills – odparowała Maggie.

– Ktoś kiedyś powiedział – Lucy wzruszyła ramionami – że jeśli chce się bezkarnie dokonać morderstwa, dobrze jest wybrać do tego celu zachodnią Nebraskę.

Kiedy Donny udzielił Maggie lekcji geografii, nie do końca pojmowała, co znaczy taka izolacja.

Odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie znalazła się w znajomym otoczeniu. Nawet ubrania ochronne były takie same jak wszędzie, to znaczy dwa rozmiary za duże. Maggie zawsze uważała, że to celowe, by pokazać gościom, ile naprawdę znaczą. Czasami oficerom służb dobrze robi, kiedy spróbują utożsamić się z ofiarą. Ale fartuch śledczego Fergussena ciasno opinał szeroką klatkę piersiową, a ochraniacze na buty nie sięgały nawet pięt.

Lucy miała na dłoniach fioletowe lateksowe rękawiczki. Właśnie dotykała kostki Kyle’a Bandora.

– Słyszałam, co się stało. – Podniosła wzrok na Maggie. – Dobrze się pani czuje?

– Już pani słyszała o Johnnym Boshu?

– Niestety złe wiadomości szybko się rozchodzą. Oliver Cushman poprowadzi śledztwo.

– Prokurator hrabstwa Cushman? Ten, którego widziałam zeszłej nocy?

– Tak.

– Cudownie. Czy w ogóle zleci wykonanie autopsji?

– Samobójstwo? – Lucy spojrzała na Donny'ego, ale tylko wzruszył ramionami. – Więc pewnie nie. Jak sądzę, zażyczy sobie badanie toksykologiczne. – Wróciła wzrokiem do Maggie. – Jak on wyglądał?

– Jak trup – odparła wprost Maggie, unikając wzroku Lucy, nagle świadoma, że przygląda jej się ze szczerą troską. Gdy Maggie opuszczała powieki, wciąż widziała wpatrzone w nią martwe oczy Johnny'ego Bosha. Nie podobało jej się to. – Nie znalazłam żadnych śladów po narkotykach czy lekach – wyjaśniła. – Skóra nie była czerwona, jak bywa po pewnych truciznach. Oczy miał przekrwione, ale nie wyglądało to na krwotok punkcikowaty, więc cokolwiek wziął, nie spowodowało śmierci przez uduszenie. Nie czułam zapachu wymiocin ani ich nie widziałam. Jego matka powiedziała, że z jej apteczki zniknęło kilka tabletek oxycontinu.

– Zależy, ile ich wziął, a jeśli je pokruszył, wówczas... najprawdopodobniej serce się zatrzymało. Zostawił jakiś list? – spytała Lucy.

– Jeśli tak, jeszcze go nie znaleziono. – Maggie przypomniała sobie o komórce chłopca schowanej w bocznej kieszeni walizki. Miała nadzieję, że telefon da jakąś odpowiedź. Sprawdzi, czy zdoła naładować baterię, potem zobaczy, co jest w telefonie, nim go odda rodzinie Johnny'ego albo – na samą myśl się wzdrygnęła – prokuratorowi hrabstwa Cushmanowi.

– Pozwólcie państwo, że się z wami podzielę swoimi spostrzeżeniami.

Lucy dwa razy lekko klepnęła klatkę piersiową Kyle'a, jakby chciała powiedzieć chłopcu, że zaraz do niego wróci. Maggie uderzyła intymność tego gestu. Podczas dziesięcioletniej kariery agentki FBI i stypendium z medycyny sądowej widziała dziesiątki koronerów i patologów. Uważała, że praca ze zmarłymi wymaga specjalnych cech osobowości. W końcu trzeba ciąć tkanki, wyciągać czerwie, wysysać mózgi i kroić organy, rozebrać ludzkie ciało na kawałki po to tylko, by opowiedzieć historię i odkryć sekrety, których nawet morderca nie zdołał ukryć. Z doświadczenia Maggie wynikało, że koronerzy i ich odpowiednicy to ludzie, którzy przywiązują wagę do szczegółu, działają skutecznie i racjonalnie, rozwiązują problemy, a w ich życiu rozum odgrywa większą rolę niż uczucia. Okazując ofierze szacunek, nigdy nie traktują jej osobiście. Maggie nie mogła zliczyć, ile razy widziała koronera patrzącego z wyrzutem i niedowierzaniem na swojego gościa, jakiegoś funkcjonariusza, który speszony całą tą procedurą rzucał pikantną uwagę.

Sekcja przeprowadzana przez Lucy Coy różniła się od wielu innych. Maggie przyglądała się Lucy, kiedy ściągnęła z pierwszego chłopca płócienne prześcieradło. Zakrywanie ciała to rzadko stosowany wyraz szacunku.

– Lucas wykazywał zewnętrzne oznaki silnego porażenia prądem. To jego badaliśmy w lesie. – Delikatnie wzięła w dłonie prawą stopę chłopca, obracając ją powoli, jakby nie chciała mu przeszkadzać, i pokazała rozmiar obrażeń.

W lesie Maggie zauważyła, że z prawej stopy chłopca spadł sportowy but, a na skarpetce widniała czarna smuga. Teraz na wierzchu stopy dostrzegła popękane naczynia krwionośne, a od spodu ślady przypalenia.

– W przypadku rażenia prądem – podjęła Lucy, kładąc stopę chłopca i podchodząc z drugiej strony stołu z nierdzewnej stali – prąd elektryczny dostaje się przez określony punkt. Często jest to głowa albo ręce. W wypadku Lucasa to lewe ramię. – Wskazała na ranę, czerwoną, spuchniętą i pokrytą pęcherzami skórę. – Prąd przepływa przez ciało, zwykle wybierając drogę najmniejszego oporu, raczej nerwy i tkanki niż skórę. Najczęściej wypływa przez stopy.

Przywołała ich bliżej, żeby zajrzeli do klatki piersiowej chłopca. Maggie spostrzegła, że Lucy nie wyjęła jeszcze żadnych organów z ciała.

– Mięśnie się kurczą. System nerwowy wariuje.

Skutkiem tego jest czasowy paraliż. Zależnie od natężenia prądu w organach, w tym w mózgu, może dojść do krwotoku, jak sami państwo widzicie.

Donny wsadził ręce do kieszeni spodni. Bez stetsona wyglądał tak bezbronnie. Ale nie wydawał się speszony, gdy stwierdził:

– To zdecydowanie nie był taser.

– Nie. Na pewno nie.

– Może ma pani jakiś pomysł, skąd pochodził prąd? – spytał.

– Proszę się przyjrzeć miejscu, gdzie prąd dostał się do ciała. – Lucy przeciągnęła palcem w fioletowej rękawiczce wzdłuż rany na ramieniu. – Czy ktoś z państwa wie, jak tnie laser? – Czekała, gdy Donny i Maggie wymienili spojrzenia. Pytanie ich zaskoczyło. Lucy nie czekała więc na odpowiedź, tylko podjęła: – Laser tnie, paląc albo przerywając cząsteczki, które wiążą tkankę. Wygląda na to, że kiedy ramię Lucasa zostało porażone, tkanka była już przecięta. Proszę spojrzeć. – Odsunęła się. – Z kolei ciepło zgrzało przecięte naczynia krwionośne, więc nie ma krwi.

– Sugeruje pani, że ci dwaj chłopcy zostali rażeni promieniem lasera? – spytała Maggie, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Musiałaby to być bardzo silna wiązka. Ale właśnie tak uważam.

– I ten promień pojawił się z nieba?

– Raczej z broni laserowej – rzekł Donny.

– Istnieje coś takiego?

– Taka broń wykorzystuje promienie lasera do jonizacji, jeśli to prawidłowe określenie. – Gdy Lucy kiwnęła głową, Donny kontynuował: – W zjonizowanym powietrzu tworzy

się rodzaj włókien żarzącej się plazmy, sięgających z broni do celu. Zdaje się, że zasięg takiej podobnej do błyskawicy wiązki elektryczności jest całkiem spory. Nie pamiętam dokładnie, ile to metrów. Nazywają ją bronią paraliżującą. Można tym zakłócić działanie zapłonu w samochodzie.

– To by wyjaśniało pokaz świateł, o którym mówiły dzieci – rzekła Maggie. – Ale nie słyszałam, żeby tego rodzaju broń była dostępna. Jest pan pewny, że nie czyta pan zbyt wielu pism popularnonaukowych, panie Fergussen?

– Ależ taka broń jest dostępna, chociaż znam tylko jedno miejsce, gdzie można ją zdobyć. To Departament Obrony Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt i Bix wlekli się za Julią i eskortą ochroniarzy do sali konferencyjnej na trzecim piętrze. Julia wciąż marudziła, że kazali jej zostawić broń. Platt skorzystał z okazji i szepnął do Biksa:

– Jaki mamy plan?

– Niech pan robi to co ja. To spotkanie ma służyć wyłącznie zebraniu informacji.

– Żadnego oddziału specjalnego?

– Jakbym im ufał.

– A ma pan wybór?

– Proszę robić to co ja. – Potem zmniejszył czujność i wyznał: – Naprawdę potrzebuję pańskiego wsparcia.

Wcześniej, podczas jazdy na róg Czternastej i Independence Avenue, Platt zmusił Biksa do mówienia, odgrażając się, że wyrzuci go na samym środku skrzyżowania, jeśli nadal będzie przed nim coś ukrywał.

Prawdę mówiąc, Bix niewiele wiedział. Tego ranka ktoś, kto twierdził, że posiada informacje z samego źródła, oznajmił mu, że przypadki zatrucia pojawią się w kolejnych szkołach. Scenariusz miał być taki sam jak w Norfolku w stanie Wirginia. Znajdą tę samą bakterię. Dzieci będą ciężko chorowały, część z nich trafi do szpitala.

W niektórych przypadkach może dojść do zgonu. Kiedy Bix spytał, kim jest jego rozmówca, tamten się rozłączył.

Z początku Platt zastanawiał się, czy to nie jakiś dziennikarz. Ktoś, kto zgaduje, asekuruje się, konfabuluje, ingerując w tę historię. Może za pierwszym razem po prostu miał szczęście i trafił. Ale po co dzwonił ponownie, ryzykując, że tym razem się pomyli? Bix upierał się, że ten ktoś przekazał mu szczegóły, które może znać tylko osoba dysponująca poufnymi informacjami. Platt jednak nie był przekonany.

Sala konferencyjna wyglądała na podejrzanie dużą, jeśli miała służyć wyłącznie zebraniu informacji. Platt bywał już w podobnych sytuacjach – a w każdym razie sądził, że tutaj tak właśnie będzie – kiedy urzędnicy państwowi zachowywali się jak politycy, a nie jak osoby na służbie społeczeństwa, i robili wszystko, byle tylko uratować własny tyłek. Sądząc zatem po dotychczasowych doświadczeniach, wygodna sala konferencyjna zarezerwowana na spotkania z cateringiem, które wymagają skórzanych krzeseł z wysokim oparciem i dużych ekranów do prezentacji, zapewne miała ich zastraszyć.

Gdy tylko eskorta wyszła, Julia natychmiast ruszyła do stołu z przekąskami. Bix chwycił puszkę pepsi, otworzył ją i jednym haustem wypił niemal połowę. Platt obawiał się, że Bix nic nie zdziała, dopóki znad jego górnej wargi nie znikną krople potu.

– Co pan wie o tym człowieku, którego nazywa pan informatorem? Jeśli mówi prawdę, mamy niewiele ponad

dwadzieścia cztery godziny na to, żeby dowiedzieć się, co się dzieje. Jest pan przynajmniej pewien, że ten ktoś naprawdę istnieje?

– Wiem dosyć, by zdawać sobie sprawę, że jeśli nastąpi kolejny atak, Departament Rolnictwa nie wyjdzie z tego czysty jak woda.

– Jak łza.

– Słucham?

– Nieważne – odparł Platt. Skłonność Biksa do przekręcania wyrażeń frazeologicznych nie miała teraz znaczenia, nawet jeśli Platta to denerwowało. – Sądzi pan, że Departament Rolnictwa jest za to w jakiś sposób odpowiedzialny?

– Ja to wiem. Wczoraj, kiedy prosiłem ich o pomoc, nic nie chcieli zrobić, odsyłali mnie od jednego wydziału do drugiego, a dzisiaj zapraszają na spotkanie, żeby ustalić strategię. Więc co mam o tym myśleć?

– Tak powiedzieli? Że chcą ustalić strategię?

– Mam głęboko gdzieś, co powiedzieli. Nie chwyta pan, Platt. Dzisiaj wszystkie media tam były, i proszę bardzo, nagle Departament Rolnictwa staje się dla nas milutki i wyciąga pomocną dłoń.

Platt nie mógł z tym dyskutować. Agencje rządowe mają zwyczaj reagować, kiedy już coś się stanie, zamiast zapobiegać niepożądanym zjawiskom. Ale fakt, że właśnie teraz zaprosili ich na spotkanie, nie znaczy jeszcze, że mają coś do ukrycia. Równocześnie Platt nie mógł zapomnieć, że

po spotkaniu z Biksem w barze ktoś go śledził całą drogę do domu jego rodziców.

– Rozpoznałby pan po głosie tego tak zwanego informatora, gdyby go pan spotkał?

– Nie. – Bix potrząsnął głową. – Używa komputerowego głosu.

– To znaczy?

– Jest taki program. Pan wpisuje do komputera słowa, a program czyta je na głos. Tak jak mechaniczny głos, który mówi: „Masz wiadomość”.

– Więc może on się boi, że pan by go rozpoznał.

– Za dużo zieleniny. – Julia podeszła do nich z pełnym talerzem. – Mam dosyć ludzi, którzy mi mówią, co jest dla mnie dobre – oznajmiła, chrupiąc seler naciowy. – Departament Rolnictwa, też coś! Można by się spodziewać, że podadzą jakieś mięso. Próbował pan ustalić, skąd telefonowano?

– Próbowałem dziś rano. To zastrzeżony numer.

– Są sposoby, żeby to obejść.

Bix i Platt patrzyli na Julię, kiedy do pokoju weszła jakaś kobieta. Miała na sobie kwiecistą jedwabną bluzkę, obcisły blezer i spódnicę, która podkreślała szczupłą figurę, nadając pewną delikatność i zdradzając pedantyczny charakter. Kobieta była atrakcyjna. Brązowe falujące włosy opadały poniżej ramion. W zielonych oczach, gdy tylko spostrzegła Platta, pojawił się ulotny błysk irytacji. Była wysoka, prawie wzrostu Platta, w czym pomogły prawie dziesięciocentymetrowe szpilki. Platt wiedział, że ich nie

znosiła, a kiedy przeszła przez pokój, przypomniał sobie, jak bardzo.

Najpierw wyciągnęła rękę do Biksa.

– Pan jest zapewne Roger Bix. Nazywam się Mary Ellen Wychulis.

– To Julia Racine i...

– Pułkownik Benjamin Platt – przerwała mu, nie zaszczycając Julii spojrzeniem.

– Znacie się państwo. – Bix wydawał się niemal tak samo mocno zaskoczony jak Platt. Nie przypuszczał, że lekarz pułkownik zna kogoś w Departamencie Rolnictwa.

– Tak – odparła Mary Ellen. – Znamy się z Benem.

Bix popatrzył na niego jak na zdrajcę. Czekał na wyjaśnienia. Nawet Julia się zjeżyła, przenosząc wzrok między mężczyznami.

– Mary Ellen i ja byliśmy kiedyś małżeństwem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Nebraska

– Była krew – wyjaśniła Lucy, wskazując na czarny T-shirt na tacy z nierdzewnej stali. – To koszulka Kyle’a, ale to nie jego krew.

– Innego z tych nastolatków? – spytała Maggie, myśląc o zakrwawionym Dawsonie, o którego się potknęła.

Lucy rozpoczęła autopsję Kyle’a. Skupiła się na pionowym cięciu żeber.

– Czarny barwnik wprowadza zamęt w DNA – powiedziała, nie przerywając pracy. – Nikt tak naprawdę nie wie, dlaczego. Ale tym razem to bez znaczenia. To nie jest krew żadnego z tych młodych ludzi.

– Skąd ta pewność?

– Bo to nie jest ludzka krew.

– Co do diabła? – Donny podszedł do T-shirtu.

– To krew świni.

– Myśli pani, że przyszła tam z nimi albo z kimś, kto do nich strzelał?

– To są szczegóły, które zostawiam do rozstrzygnięcia śledczym.

– Jeśli te dzieci eksperymentowały z szałwią, może zdarzały im się inne wybryki – rzekł Donny.

– Na przykład okaleczanie bydła? – spytała Maggie.

– Powiedziałam, że to krew świni, nie krowy. Podczas szkolenia, odtwarzając miejsce zbrodni, używaliśmy świńskiej krwi. Jest dość podobna do ludzkiej i łatwiej dostępna. – Lucy się uśmiechnęła, nie podnosząc wzroku. – Donny wspomniał, że ściągnął tutaj panią właśnie z powodu tego okaleczonego bydła.

– Możliwe, że te dzieciaki mają z tym coś wspólnego? Bawiły się w wymyślne rytuały? – zastanowiła się Maggie. Skoro szeryf ukrywał, że miejscowe nastolatki eksperymentują z substancjami odurzającymi, czy mógł też zatajać inne sprawy?

– Okaleczenia są zbyt poważne, zbyt przemyślane i fachowe na spontaniczną zabawę małolatów. Ktoś robi to z premedytacją – rzekł Donny. – Nie pasuje mi to do naćpanych nastolatków. Skąd by wiedzieli, jak spuścić całą krew? I zatrzeć ślady? Prędzej uwierzyłbym, że to UFO, tak jak Stotter, niż pomyślał, że te dzieciaki są do tego zdolne.

– Muszę się z panem zgodzić – powiedziała Lucy. – Jakiś rok temu proszono mnie o przeprowadzenie sekcji zwłok. Nacięcia na ciele ofiary były precyzyjne, równie precyzyjnie wybrano organy do wyjęcia. – Nagle jej ręce znieruchomiały. Wyprostowała się i przenosiła wzrok z Maggie na Donny’ego i z powrotem. – Pamiętam, jak wtedy pomyślałam, że te nacięcia wyglądają tak, jakby były przyżegane. – Miała na myśli fachowe przypalanie tkanki. – To by wyjaśniało brak krwi. Przypominało mi to operację laserem.

Wszyscy troje wymieniali spojrzenia.

– Muszę pójść na górę i raz jeszcze porozmawiać z Dawsonem Hayesem – stwierdziła Maggie. – Zbyt wiele pytań zostało bez odpowiedzi.

Donny odprowadził ją do wypożyczonego samochodu. Chciał wziąć swoją kurtkę, a ona swoją, zanim uda się do Dawsona. Już się przekonała, że wraz z zachodem słońca zapada tutaj chłód. Rozmawiali o tym, z czym Donny wyśle techników Patrolu Stanowego, którzy wracali do Lincoln. Żadne z nich nie zauważyło pękniętej przedniej szyby, dopóki nie otworzyli drzwi toyoty.

– Co do diabła? – Donny pierwszy dojrzał na masce kamień wielkości pięści.

Maggie nie mogła w to uwierzyć. Instynktownie odwróciła głowę i rozejrzała się po parkingu, jakby jeszcze miała szansę wypatrzyć winowajcę.

– Myślałam, że Heartland to przyjazne miejsce.

– Ludzie denerwują się tą sprawą.

– Dlaczego akurat na mnie się wyżywają? Przecież staram się ją rozwikłać.

– Może ktoś tego nie chce.

– Więc czemu pan nie dostaje pogróżek?

– Prawo zabrania grożenia oficerowi Patrolu Stanowego.

– Prawo zabrania też grożenia agentowi federalnemu. – Maggie słyszała frustrację w swoim głosie.

– Łatwiej jest obwiniać kogoś z zewnątrz. Wiedzą, że ja nigdzie się nie wybieram. Pewnie myślą, że uda im się panią skłonić do spakowania manatków i powrotu do domu. Proszę nie brać tego do siebie.

– Mówi pan poważnie? – Wzięła do ręki kamień i uniosła go. – Mam nie brać tego do siebie?

– Po jakimś czasie przywyknie pani – powiedział jakiś mężczyzna.

Maggie gwałtownie się odwróciła. Nie zauważyła nieznajomego, który zapewne wyszedł z jednego z budynków. Stał obok buicka zaparkowanego za toyotą. Może czekał na nich w samochodzie.

– Nazywam się Wesley Stotter. – Wyciągnął rękę do Maggie.

– Stotter – powtórzył Donny. – Skąd ja znam pana nazwisko?

– Może słyszał mnie pan w radiu.

Donny natychmiast się skrzywił. Maggie patrzyła to na jednego, to na drugiego, oczekując wyjaśnień.

– To pan doprowadza farmerów do wściekłości swoimi opowieściami o kosmitach, którzy okaleczają ich bydło?

Stotter był mniej więcej wzrostu Maggie, miał szeroką klatkę piersiową, łysą głowę, fiołkowe oczy i zadbaną siwą brodę, dzięki której wyglądał jak profesor historii, a nie stuknięty fanatyk UFO.

– Wczoraj w nocy widziałem coś w lesie. Myślę, że to państwa zainteresuje.

– Był pan tam wczoraj w nocy? – spytała Maggie z zaciekawieniem.

– Próbowałem się dostać od tyłu, ale jasny promień światła zatrzymał mnie w pół drogi.

– To znaczy, zatrzymał się pan, żeby popatrzeć na światła? – bagatelizująco spytał Donny.

– Nie. Przecież powiedziałem, że to światła mnie zatrzymały. Cała elektryka w samochodzie wysiadła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wesley Stotter wiedział, że będą sceptyczni, przecież stróże prawa niejako z zasady nie wierzyli jego słowom. Ale jeżeli jego relacja mogłaby pomóc w śledztwie? Tak więc trzymał się faktów, referując Fergussenowi z Patrolu Stanowego i agentce specjalnej O'Dell podróż do lasu, którą odbył minionej nocy.

– Co pan robi w Sandhills? – dopytywał się Fergussen. – Myślałem, że pańskie radio ma siedzibę w Denver.

Stotter był pod wrażeniem, że śledczy jednak coś o nim wie.

– Śledzę światła na niebie. – Gdy Donny i Maggie wymienili spojrzenia, pośpieszył z wyjaśnieniami: – Od lat badam przypadki okaleczania bydła. Ostatnio mieliście ich sporo. Dokładnie siedem w ciągu trzech tygodni.

Fergussen skrzyżował ramiona na piersi i pokręcił sceptycznie głową, jednak z kolei agentka O'Dell wydawała się zainteresowana, rzuciła bowiem pytanie:

– Pana zdaniem te światła mają z tym coś wspólnego?

– Jak się widziało dziesiątki przypadków okaleczenia bydła, nie można zaprzeczyć, że istnieją między nimi podobieństwa. Zwykle tuż przed albo tuż po na nocnym niebie widać światła.

– I to prowadzi pana to stwierdzenia, że są w to zaangażowane siły pozaziemskie?

Patrzył na nią przez chwilę, niepewny, czy z niego żartuje, a może jednak jest szczerze zaciekawiona. Do tej chwili to Fergussen zadawał pytania, podczas gdy O’Dell zajmowała się sałatką, której pełny talerz kupiła w szpitalnym barze. Znaleźli stolik w kącie, gdzie nikt ich nie słyszał. Fergussen wziął dla siebie kanapkę, a Stotter pączka i kawę. O’Dell jako jedyna z nich jadła.

– Niekoniecznie pozaziemskie – przyznał w końcu Stotter.

– Tak – rzekł Fergussen. – Przez pana farmerzy się burzą, wierząc, że czarne śmigłowce bojowe są odpowiedzialne za zabijanie bydła.

– Rząd od lat prowadzi tajne badania, wykorzystując do tego celu rozmaite bydlęce organy. W latach osiemdziesiątych robili testy na gruczole tarczycy, płacąc zakładom przetwórstwa mięsnego i rzeźnikom kupę forsy. Nikt nie wiedział, co z tym robili, i prawdę mówiąc, nikogo to nie obchodziło. Potem ni stąd, ni zowąd Wuj Sam z tym skończył i zakłady przetwórcze zostały zalane bydlęcymi gruczołami tarczycowymi, więc je mielili i pakowali do hamburgerów, aż dziesiątki tysięcy ludzi zachorowało na nadczynność tarczycy. – Gdy O’Dell i Fergussen popatrzyli na niego bacznie, Stotter zdał sobie sprawę, że musi zachować ostrożność. Nie może przeskakiwać z tematu na temat jak podczas swoich audycji. – Proszę zauważyć, jakie części ciała znikają – kontynuował. – Szczęki zostają odarte do kości. Zabierają organy płciowe, języki, przewód pokarmowy. Krew co do kropelki. Pomyślcie o tym. W szczęce są gruczoły ślinowe. Przewód pokarmowy

wchłania i przechowuje ślady środków chemicznych i toksyn. Nawet ucho działa jak filtr. Gdybyście robili testy na zwierzętach i starali się zachować to w tajemnicy, zatarlibyście wszystkie ślady, które mogłyby do was doprowadzić.

– Więc za pomocą helikopterów porywają bydło ze stada? – rzekł Fergussen, siedząc wciąż ze splecionymi ramionami. Stotter widział, że śledczy mu nie wierzy. – Gdzie robią te testy? W powietrzu?

– Słyszał pan o obwoźnej rzeźni? – Stotter zobaczył, że Fergussenowi nie jest to obce, natomiast O'Dell pokręciła głową. – Departament Rolnictwa użycza farmerom nowoczesnych zakładów rzeźniczych na kółkach. Robi to w ramach specjalnego programu pomocy dla terenów rolniczych.

– No dobrze, ale jaki to ma związek?

– Widziałem obwoźne rzeźnie na tych samych terenach, na których dochodziło do okaleczenia bydła.

– Przypadek – rzucił niecierpliwie Fergussen. Usiadł prosto, gotów zakończyć już rozmowę. – Więc co to jest, Stotter? Spisek rządu czy statki kosmiczne?

– Dlaczego pan sądzi, że jedno drugie wyklucza?

– Mam dość – rzekł Fergussen, spojrzał jednak pytająco na O'Dell.

– Co to wszystko ma wspólnego z dwoma zmarłymi nastolatkami? – spytała.

– Może zobaczyli coś – przerwał na moment – czego nie powinni byli widzieć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt nie widział byłej żony od ponad pięciu lat. Wyglądała dobrze, ale to go nie zdziwiło. Zawsze przywiązywała ogromną wagę do wyglądu.

– Wróciłaś do panieńskiego nazwiska? – spytał, zanim ugryzł się w język.

– Tak. Mój mąż zgodził się, żebym je zatrzymała. – Uśmiechnęła się zaciśniętymi wargami, wokół których pojawiło się kilka nowych drobnych zmarszczek.

Jednak Platta uderzyło co innego, a mianowicie jak znajome były wciąż dla niego jej gesty. I jak bardzo mu przypominała Ali. Nie do wiary, że minęło już pięć lat.

– Więc wyszłaś za mąż. – Celowo nie szukał z nią kontaktu ani nie dowiadywał się, co się z nią dzieje, bo złość była o wiele większa niż ciekawość.

– Tak. – Nie spytała o jego sprawy, tylko wskazała krzesła wokół długiego stołu. – Proszę się rozgościć. Podsekretarz Baldwin...

– Irene Baldwin – rzekła jej szefowa, wchodząc do pokoju. – Dziękuję państwu za przybycie. – Ściskała im dłonie ze swobodą i wdziękiem dyrektora generalnego, który odniósł sukces.

Albo – Platt nie mógł uciec od tej myśli – zręcznego polityka. Baldwin miała zebrane w kok włosy, a kosztowny kostium, który musiał pochodzić od modnego projektanta, był prosty i kruczoczarny. Nie męczyła nóg w butach na obcasach i była o wiele niższa niż Mary Ellen, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, gdyż nosiła się z gracją i emanowała powagą oraz pewnością siebie. Od razu też, jakby automatycznie, stała się najważniejsza w tym gronie.

Szybko przystąpili do konkretów. Na pierwszy ogień poszedł Roger Bix, który zdał wyczerpującą relację o zatruciach pokarmowych w dwóch szkołach, a także przedstawił swój pogląd na ten temat.

Jednak szef CDC nie był w ciemię bity. Platt był pod wrażeniem. Relacja Biksa, na pozór kompletna, zawierała, jak Platt zorientował się mniej więcej w połowie, mało ważne informacje, pomijała natomiast istotne dla sprawy kwestie i żywotne detale. Innymi słowy, Bix tylko udawał, że dzieli się swoją wiedzą.

– Pomożemy w każdy możliwy sposób – oznajmiła Baldwin.

– Miło mi to słyszeć. Na początek warto by powiadomić wszystkie okoliczne szkoły.

– To niemożliwe – rzekła Mary Ellen, na co szefowa się skrzywiła. Ale ona zdawała się tego nie dostrzegać, a może to lekceważyła. – Jak mamy zawiadomić szkoły, skoro nawet nie wiemy, z jakiego powodu dzieci chorują?

– Do jutra rana będziemy to wiedzieli – wtrącił Platt tak przekonująco, że nawet Bix na niego spojrzał. Muszą do

tego dojść, bo w poniedziałkowy ranek zachorują kolejne dzieci.

– Nadal jesteś bardzo pewny siebie. – Była żona posłała mu jeden z tych swoich cierpkich uśmiechów, które zdawały się mówić: „Jak dobrze cię znam”.

– Jeśli pani powiemy, co jest źródłem zatrucia, czy jest pani w stanie dotrzeć do dostawcy? – Bix zwrócił się do Irene Baldwin, roztropnie ignorując scenę rozgrywającą się po drugiej stronie stołu.

– Oczywiście – odparła.

Ale Platt zobaczył na twarzy Mary Ellen, że obietnica jej szefowej może okazać się bez pokrycia.

– Dacie nam pełny dostęp do sprawozdań? Bez zamazywania zastrzeżonych fragmentów?

– Razem odnajdziemy winnego dostawcę, jeśli rzeczywiście okaże się, że to wina jakiegoś dostawcy. Priorytetem jest bezpieczna żywność.

– Cieszę się, ponieważ kiedy ostatnio współpracowałem z tym departamentem, personel nie był zdecydowany, czy odkryć prawdę, a jeszcze bardziej się wahał, czy ukarać jednego ze swoich długoletnich dostawców.

Zapadła cisza. Bix starł ze stołu nieistniejącą plamkę. Każdy, kto go znał, wiedział, że to jego sposób na powiedzenie pani podsekretarz, że nie da się oszukać. Że wykryje nawet najmniejszą niedoskonałość.

– Nie zamierzam pytać o pana ostatnią współpracę z tym departamentem – rzekła w końcu Baldwin. – Nie stanę w obronie procedur, o których nie mam pojęcia.

– Wedle mojego doświadczenia Departament Rolnictwa, nie mówię, że zawsze – Bix uniósł ręce, jakby się poddawał – ale czasami dość wolno reaguje na nasze informacje. Jak brzmi ta stara prawda? Rząd federalny nie zaczyna działać, dopóki nie ma stosu trupów. – Mówił z wyraźniejszym niż zwykle południowym akcentem. Może sądził, że będzie bardziej czarujący, ale Platt widział, jak Mary Ellen obrzuca go wrogim spojrzeniem.

Baldwin z kolei wydawała się niewzruszona.

– Zapewniam pana, że pod moim kierownictwem tak się nie stanie. A teraz, jeśli skończyliśmy na dzisiaj, obiecałam pani Wychulis, że nie będę jej zatrzymywała całą noc z dala od jej kochającego męża i maleństwa.

Gdy Baldwin wstała, pozostali też się podnieśli. Wszyscy prócz Platta, który bał się, że jeśli spróbuje wstać, natychmiast się przewróci.

– Masz dziecko? – spytał.

– Tak, syna.

– Przepraszam – wtrąciła Baldwin. – Państwo się znacie?

– Pułkownik Platt był kiedyś moim mężem – wyjaśniła Mary Ellen, a potem wyraźnie adresując to tylko do Platta, dodała: – Teraz mam nowe życie. – Ruszyła wraz z innymi w stronę drzwi.

Platt wlókł się na końcu. W uszach miał świst wiatru i walenie swojego serca. Wszyscy poruszali się jakby w zwolnionym tempie. Wargi poruszały się bezgłośnie. Układały w uśmiech. Oglądali się na niego. Poczuł ból

w klatce piersiowej. Miał problem z oddychaniem. W milczeniu łapał ustami powietrze.

– Platt, idzie pan? – Julia czekała w drzwiach.

Bix i pozostałe panie byli już w korytarzu.

Platt kiwnął głową i zmusił swoje nogi do wysiłku. Jakiś głos z tyłu głowy powtarzał mu bez końca: „Ty nie masz nowego życia. Nie zrobiłeś nawet kroku naprzód”.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

North Platte, Nebraska

Maggie uznała, że opowieść Wesleya Stottera, choć interesująca, brzmi zbyt fantastycznie, żeby była prawdziwa. Miała nadzieję, że wydobędzie jakieś informacje od Dawsona. Zostawiła Donny'emu problem, co zrobić z wielce absorbującym Wesleyem Stotterem.

Wychodząc z baru, raz jeszcze stanęła w kolejce i wzięła dla Dawsona ciastko czekoladowe.

Ucieszyła się, że chłopiec nie śpi, póki uważnie nie spojrzała mu w oczy.

– On tu jest – szepnął na powitanie. Gwałtownie poruszył głową, jakby się spodziewał, że ktoś wyskoczy z ciemnego kąta pokoju.

– O kim mówisz?

Położyła ciastko na stoliku obok łóżka. Dawson nawet go nie zauważył. Patrzył gdzieś za jej plecami, ponad jej ramieniem, próbował zobaczyć, co jest za drzwiami.

– Trzy razy przechodził obok drzwi.

Maggie stała w polu jego widzenia, przesuwała się specjalnie, żeby popatrzył jej w oczy. Dawson był spanikowany, jego twarz lśniła od potu, próbował się unieść na łokciach.

– Wiem, że on tu był. Czułem jego zapach.

Zastanawiała się, czy to reakcja na leki przeciwbólowe, czy też po prostu następstwo porażenia prądem. Pewna dezorientacja i zaburzenie toku myślenia mogą trwać jakiś czas. Podobnie jak nieostre widzenie.

– Czym pachniał?

– Błotem rzecznym. Ale także wanilią. Zawsze pachnie wanilią.

Włączyła lampkę w rogu pokoju i znów stanęła blisko łóżka.

– Myślisz, że on chce cię skrzywdzić?

– Powiedział, że pożałuję. – Krążył wzrokiem, tylko na moment zatrzymując spojrzenie na jej twarzy. – Powiedział, że pożałuję, że przeżyłem.

Szkoda, że nie porozmawiała z Lucy o skutkach ubocznych działania szałwii. Czy halucynacje mogą powrócić? Z pewnością personel szpitala zbadał krew Dawsona pod względem toksykologicznym. Powinna była im powiedzieć o szałwii. Czyżby to był kolejny kosztowny błąd?

– Dawsonie, musimy porozmawiać. Chcę ci pomóc, ale musisz mi powiedzieć, co się naprawdę stało ostatniej nocy.

– Nie mogę. Obiecałem Johnny’emu. – Zdał sobie sprawę, że się wygadał i spojrzał na Maggie, żeby sprawdzić, czy się zorientowała.

– Johnny nie żyje, Dawsonie.

Patrzył na nią, jakby czekał na puentę, wreszcie powiedział:

– Johnny żyje. Dziś rano go widziałem.

– Był tutaj?

– Tak. Pani mówi o Lucasie i Kyle’u. Wiem, że oni nie żyją.

– To prawda, ale Johnny też nie żyje. Znaleźliśmy go dzisiaj po południu. – Urwała, żeby wiadomość dotarła do chłopca. – Prawdopodobnie przedawkował jakieś leki. – Zamilkła niepewna, czego się spodziewać. Jak reagują nastoletni chłopcy, kiedy dowiadują się o śmierci przyjaciela? Dawsonowi już się wydawało, że widzi jakiegoś obcego, który pachnie błotem rzecznym.

– A co z Amandą? – spytał z troską w oczach.

– Czy Amanda była dziewczyną Johnny’ego?

Zmarszczył czoło, jakby odpowiedź wymagała zastanowienia. Jego umysł wciąż pracował na zwolnionych obrotach. Potem rzekł:

– Taa, chyba tak.

– Z Amandą wszystko w porządku. – Maggie chciała się przekonać, czy podkochiwał się w Amandzie.

Dawson wrócił spojrzeniem do drzwi, potem przez moment popatrzył na Maggie i znów przeniósł wzrok na drzwi. Później się położył.

– Nie do wiary, że Johnny nie żyje.

Ku zdumieniu Maggie wiadomość o śmierci przyjaciela wydawała się uspokajać Dawsona, chociaż nie do końca. Oparł głowę o poduszki. Przeczesał palcami włosy. W żyle drugiej ręki miał wenflon i wciąż był podłączony do kroplówki. Jego oczy także się uspokoiły.

– Czy twoja mama albo twój tato jest tutaj z tobą? – Maggie rozejrzała się po pokoju. Nie widziała żadnych

kurtek ani gazet. Torebki ani torby na zakupy. Żadnych kubków po kawie ani puszek po wodzie sodowej.

– Tata wpadnie po pracy.

– A mama?

– Mamy już od dawna z nami nie ma – odparł rzeczowo bez smutku czy złości.

– Przykro mi – szepnęła Maggie automatycznie, a potem tego pożałowała. Nie znosiła, kiedy ludzie pytali ją o ojca, a ona im opowiadała, że zginął, gdy miała dwanaście lat. – Przepraszam, to banalne. Ale przykro mi, że jesteś sam.

Wreszcie spostrzegł ciastko i podniósł na nią wzrok.

– To dla mnie?

– Tak, przyniosłam je z baru.

Sięgnął po talerz i widelczyk. Zaczął kroić i jeść ciastko jak zwyczajny nastolatek.

– Pani nie jest stąd.

– To widać?

Wzruszył ramionami. Nie przestawał jeść. Widziała, że zerknął pod jej kurtkę, gdzie miała pas i kaburę z bronią.

Przysunęła się bliżej.

– Dawsonie, musisz mi powiedzieć, co się wydarzyło tamtej nocy. Mam wielki problem ze zrozumieniem tego wszystkiego i rozwiązaniem tej zagadki. – Gdy jego spojrzenie znów powędrowało w stronę drzwi, dodała: – Obiecuję, że nic ci się nie stanie. – Niemal namacalnie czuła jego panikę. – Ale nie mogę cię chronić, jeśli nie wiem, przed czym.

W milczeniu dokończył ciastko. Postawił talerzyk na tacy i przez słomkę wypił duży łyk wody ze szklanki. Przyglądał się jej, jakby się zastanawiał, czy może zaufać tej agentce.

– Wiem o szałwii – oświadczyła, a on szerzej otworzył oczy. – Nie obchodzi mnie, kto ją przyniósł ani skąd ją wziął. Chcę tylko wiedzieć, co się stało. Co robiliście w lesie?

– W liceum mój tata był rozgrywającym.

– Tak? – Maggie nie miała pojęcia, co to ma do rzeczy. Czy Dawson unika odpowiedzi na jej pytania? Mimo wszystko go słuchała.

– Bardzo lubił Johnny’ego. – Dawson spojrzał na swoje ręce ściskające poszwę. – Czasami mi się zdaje, że wolałby, żeby to Johnny był jego synem, a nie ja. – Urwał. Czekał, aż Maggie coś powie. Na przykład palnie znowu jakieś głupstwo w rodzaju: „Przykro mi”. Ona jednak milczała. – Chciałem być taki jak inni. Spoko koleś. – Podniósł wzrok, upewniając się, czy Maggie go słucha. – Byłem podekscytowany, że mnie zaprosili.

– Wczoraj w nocy zaprosili cię nie po raz pierwszy?

– Trzeci.

– To była impreza tylko dla zaproszonych?

– Niektórzy zawsze byli zapraszani. To taki test.

– Jak inicjacja? – Gdy tylko wzruszył ramionami, spytała: – I za każdym razem eksperymentowaliście z innym narkotykiem? – Znowu wzruszył ramionami. – Nic ci nie grozi – zapewniła. – Staram się tylko zrozumieć, co się działo. – Wyczuwała, że Dawson nadal nie był pewien, co jej wyjawić, a co przed nią ukryć. – Filmowaliście wasze

eksperymenty, żeby je pokazywać na YouTubie? – Gdy jego oczy zabłysły, zrozumiała, że trafiła w dziesiątkę.

-

Znalazła pani kamerę. – To nie było pytanie.

Nie zdradziła mu, że jej nie znaleźli. Dlaczego tak się stało? Czy ktoś ją zabrał przed ich przyjazdem na miejsce?

– A co z krwią świni? – strzeliła po raz kolejny.

– To był durny pomysł Kyle'a. Chciał zobaczyć reakcję tych cieniasów, jak ich spryska krwią.

Maggie zauważyła, że Dawson wciąż trzyma widelczyk, który przyniosła z ciastkiem. Machał nim, a potem przenosił z ręki do ręki.

– Kto cię zaatakował, Dawsonie? Czy to była część rytuału?

– Nie, skąd, nie.

– Więc kto to był?

– Nie wiem. – Panika powróciła.

– Potrzebuję twojej pomocy, Dawsonie.

Po raz pierwszy naprawdę na nią spojrzał. Był przerażony, a także zakłopotany, że ktoś zwraca się do niego z taką prośbą.

– Pani potrzebuje mojej pomocy?

– Tak. Pomożesz mi?

Prawie się uśmiechnął, ale zaraz znów zachował się jak typowy nastolatek, udając, że prowadzi z nią negocjacje:

– Jak mi pani przyniesie drugi kawałek tego ciasta, powiem pani wszystko, co pani zechce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nebraska

Kiedy Maggie wróciła na oddział z dwoma porcjami czekoladowego ciasta, stanowisko pielęgniarek było puste. Zapomniała wziąć dla siebie widelczyk, ale zamiast wracać do baru, liczyła na to, że dostanie go od pielęgniarek. Tymczasem żadnej z nich nie spotkała.

Zbliżając się do pokoju Dawsona, zobaczyła, że światło, które wcześniej zapaliła, zostało wyłączone. Widać było tylko zieloną i czerwoną poświatę z monitorów. Może złamała jakieś szpitalne przepisy, zostając tam po wygaszeniu świateł.

Będąc już niedaleko drzwi, dostrzegła, że w pokoju ktoś jest i pochyla się nad łóżkiem Dawsona. Jakiś mężczyzna o szerokich barach stał plecami do drzwi. Może to ojciec. Postanowiła nie zakłócać im spokoju. Dawson powiedział przecież, że jego tata wpadnie tu po pracy.

Ale gdy Maggie raz jeszcze spojrzała w kierunku pokoju, coś jej się nie spodobało.

Zmrużyła oczy, żeby patrząc z jasnego korytarza, zobaczyć ciemne wnętrze. Mężczyzna trzymał w ręce poduszkę. Aha, poprawiał poduszki Dawsona. Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

I znowu się zatrzymała. Tym razem, kiedy się obejrzała, dostrzegła palce Dawsona zaciśnięte na ręce mężczyzny.

– Hej! – zawołała i wbiegła do pokoju.

W obu rękach trzymała talerze. Mężczyzna odwrócił się i rzucił się na nią z opuszczoną głową jak zawodnik na boisku. Pchnął ją ramieniem i chwycił za gardło. Talerze upadły, rozbijając się na podłodze. Maggie wpadła na jeden z monitorów, który wszczął alarm. Podniosła się, automatycznie sięgając po broń.

– Dawson? – Stukała w panel nad jego głową, aż niebieskie światełko zamrugało i wzywający pielęgniarkę przycisk zadziałał.

Chłopak siedział, trzymał się za szyję i kasłał.

– Nic ci się nie stało? – Wyjrzała na zewnątrz, rozglądając się po korytarzu. Pod odległym znakiem „Wyjście” trzasnęły drzwi.

– Nic ci nie jest?

Dawson uniósł kciuki, chociaż oczy miał wciąż wytrzeszczone.

Maggie omal nie zderzyła się z pielęgniarką, wybiegając z pokoju.

– Co się dzieje?

– Proszę wezwać policję! – krzyknęła Maggie, uderzając biodrem o klamkę.

Przystanęła na klatce schodowej. Pozwoliła, żeby drzwi zamknęły się za nią z hukiem.

Potem nasłuchiwała. Czy mężczyzna pobiegł na górę, czy na dół?

Nie słyszała żadnych kroków. Czy zdołał się przedostać na jeden z innych poziomów? Dzieliły ją od niego tylko metry.

Wstrzymała oddech. Starała się uspokoić walące serce. Znowu nadstawiła uszu.

Nic, do jasnej cholery!

Pewnie już opuścił klatkę schodową. Chwyciła za klamkę, gotowa zawrócić. Drzwi były zamknięte. Oczywiście, że były zamknięte. Na wszystkich piętrach były zamknięte. Standardy bezpieczeństwa. Można wyjść, ale już nie da się wrócić. Co znaczyło, że mężczyzna musiałby zejść na sam dół, żeby wydostać się na zewnątrz. Zapewne na parking.

Co z kolei znaczyło, że wciąż znajdował się na klatce schodowej. Czekał na nią.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Lampy na klatce schodowej rzucały więcej cienia niż światła. Przyciśnięta do ściany z pustaków, Maggie schodziła stopień po stopniu. Obiema rękami trzymała odbezpieczonego smitha & wessona lufą na dół, gotowa nacisnąć spust. Nie miała pojęcia, czy mężczyzna z pokoju Dawsona jest uzbrojony. Fakt, że postanowił udusić chłopca poduszką, nie świadczył o tym, że nie posiadał groźniejszej broni.

Nie sięgała wzrokiem dalej niż kolejny podest, a nie odważyła się wychylić przez balustradę.

To najlepszy sposób, żeby ktoś strzelił ci w głowę. Powoli zeszła piętro niżej i spojrzała na następny podest.

Był pusty. I nadal nic nie słyszała.

Może napastnik zszedł już na parter i wyszedł na zewnątrz, starając się po drodze nie trzaskać drzwiami. Tak cicho, jak to tylko możliwe, zdjęła skórzaną kurtkę, wygodną i znoszoną. Wiele razem przeszły. Zwinęła ją podszewką na zewnątrz, jak ją nauczyła matka. Nie wychylając się, rzuciła kurtkę na dół.

Usłyszała szuranie butów na cemencie, a potem świst. Wyjrzała i zobaczyła mężczyznę z wyciągniętą ręką i błysk ostrza w swojej kurtce.

– Stój, FBI!

Odwrócił się i zniknął, zbiegając głośno po schodach. Ruszyła za nim. Serce waliło jej w uszach. Po plecach ciekły strużki potu. Intruz pewnie zbiegał po dwa stopnie naraz. Maggie przyśpieszyła. Jeszcze tylko jedno piętro i mężczyzna dotrze do wyjścia.

W przelocie dostrzegła czarną kurtkę. Na głowie miał chyba wełnianą czapkę, na nogach zaś ciężkie robocze buty, ale bez stukających obcasów.

Znowu trzasnęły drzwi. A więc jest na zewnątrz.

Maggie popędziła do wyjścia i już chciała pchnąć łokciem drzwi, a jednak znowu się zatrzymała. Skoro czekał na nią na podeście, dlaczego nie miałby na nią czyhać tuż za drzwiami?

Cholera jasna!

Starała się zapanować nad oddechem, uspokoić serce, ale bez skutku. Czuła zapach mokrej ziemi albo szlamu. Co mówił Dawson? Że mężczyzna pachniał rzecznym mułem. Spojrzała na cement pod nogami. Intruz zostawił odciski butów i ziemię spod podeszew. Tak, schrzanił sprawę. Zupełnie jakby zostawił odciski palców. Ale nie miała czasu na świętowanie odkrycia. Zdmuchnęła włosy z oczu. Nadal mocno ściskała w dłoniach rewolwer.

Na drzwiach była typowa zasuwka. Wystarczyło ją pchnąć, żeby je otworzyć. Mężczyzna miał nóż. Wiedział już, że Maggie jest uzbrojona. Musiałby ją zaskoczyć, czyli ukryć się za drzwiami i zaatakować, kiedy się otworzą.

Cofnęła się parę kroków. Mocniej ścisnęła broń. Wciągnęła powietrze. Potem kopnęła z całej siły, aż drzwi

otworzyły się z hukiem, tworząc kąt prosty. Człowiek schowany za drzwiami miałby złamany nos albo nadgarstek, gdyby wyciągał rękę z nożem. Ale drzwi uderzyły tylko w ścianę. Nikogo za nimi nie było.

Maggie wyszła w ciemność. Żadne ze świateł parkingu nie sięgało tego rogu. Przyjrzała się bocznej ścianie budynku, na wypadek gdyby mężczyzna stał do niej przyciśnięty, kryjąc się w cieniu. Nie widziała żadnego ruchu. Jakiś samochód przejechał ulicą, ale nie śpieszył się, kierowca nie dodał gazu.

Maggie na czworakach zajrzała pod stojące na parkingu samochody, lecz nie dostrzegła żadnych stóp. Nie było tam pojemnika na śmieci, za którym można by się schować. Ani klimatyzatorów.

Gdzie on się, do diabła, podział?

Potem nagle coś jej wpadło do głowy. Czyżby wsiadł do jednego z tych aut? Oczywiście, że zostawił tu samochód. Gdzieś na tym ciemnym parkingu siedział w swoim samochodzie, pochylony, przyczajony w cieniu, skąd ją obserwował.

Nie oddalając się od budynku i wciąż ściskając rewolwer w opuszczonej wzdłuż ciała ręce, Maggie przesuwała się w stronę głównego wejścia do szpitala.

W oddali słyszała pociąg, za to wciąż żadnych syren. Wyjęła komórkę. Na liście kontaktów znalazła numer Donny’ego. Raczej nie zdoła przeszukać wszystkich pojazdów na parkingu, ale może sprawdzić, czy ślad

podeszwy buta ze szpitalnego korytarza odpowiada temu z lasu.

Uświadomiła sobie, że prawdopodobnie jej nadzieja na pomoc Dawsona Hayesa nie spełni się.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Kiedy Julia wróciła do domu, a raczej gdy wróciła do domu Rachel, było już późno. Wciąż nie czuła się tu dobrze, chociaż nigdy nie przyznała tego głośno, żeby chronić siebie i Rachel. Dom to nie jest miejsce. To stan umysłu. Z jakiegoś powodu Julia nadal nie potrafiła myśleć o sobie jak o kimś, kto przynależy do tego domu i do tej rodziny. Ale to nie było łatwe, i być takie nie mogło, jako że Rachel i CariAnne przez długi czas mieszkały same, tylko we dwie.

Gdy słyszała dobiegający z salonu głos z telewizora, była pewna, że Rachel ogląda wiadomości. Nie mogła się bez tego obejść, co pół godziny sprawdzała najnowsze informacje na smartphonie. Czasami nawet częściej, jeśli działo się coś ważnego. A pewnie były i takie dni, kiedy robiła to co kwadrans.

Dlatego Julia bardzo się zdumiała, gdy ujrzała CarAnne zagłębioną w dużym fotelu i owiniętą w jaskrawożółty koc.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Oglądam Leno.

Dziewczynka powiedziała to tak, jakby robiła to co wieczór. Czy w ogóle miała pojęcie, kim jest Jay Leno?

– Jak się czujesz? – Julia usiadła na sofie w bezpiecznej odległości ponad pół metra od dziewczynki.

– Lepiej. Trochę mnie jeszcze mdli.

– Czyżbym czuła zapach popcornu?

– Mam ochotę na popcorn.

– Mama pozwoli ci go jeść?

– Tylko trochę.

– I pozwoliła ci tak długo siedzieć?

– Jak wróciłam do domu, to spałam, ale teraz mi się nie chce.

– O, jesteś. W samą porę – rzekła Rachel, wchodząc z tacą.

Julia zauważyła, że na tacy stały trzy miseczki popcornu i trzy puszki wody sodowej. Zawsze ją wzruszało, że automatycznie brano ją tutaj pod uwagę.

– Oglądamy Leno.

– Słyszałam. Nie wiedziałam, że znasz inne kanały poza dwudziestoczterogodzinnymi kanałami informacyjnymi.

CariAnne zachichotała i spod żółtego koca wyjęła pilota.

– Ty tu rządzisz! – powiedziała Julia i przybiła małej piątkę. – Cieszę się, że lepiej się czujesz, dzieciaku.

– Ja też.

– Wiedzą już, czemu dzieci się pochorowały?

– Jeszcze nie. – Julia wzięła garść popcornu. Miała nadzieję, że Rachel nie będzie drążyć tematu.

– Czy ktoś umarł?

– CariAnne!

– Tylko pytam.

– Z tego co wiem, wszyscy żyją. – Julia uśmiechnęła się, widząc strapioną minę Rachel, która sobie uprzytomniła, że

jej najdroższa córeczka jest tak samo bezpośrednia jak ona.

Julię wciąż zdumiewała Rachel w roli matki. Przecież relacjonowała najbardziej okrutne zbrodnie w stolicy i okolicach. Prawdę mówiąc, lubiły opowiadać, jak się poznały nad ciałami dziwki i jej alfonsa. Rachel zobaczyła swoje i ostatnie, co można by o niej powiedzieć, to to, że jest naiwna. Okrucieństwo, do jakiego zdolni są ludzie, nie było dla niej żadną nowiną. Za to denerwowała się za każdym razem, ilekroć pojawiał się choć najmniejszy znak, że CariAnne jest świadoma ciemnych stron życia.

Julia musiała dorosnąć już w wieku dziesięciu lat i pewnie dlatego uważała, że w obecnych czasach dzieci są za bardzo rozpieszczane.

– Moja koleżanka Lisa zostanie na noc w szpitalu – powiedziała CariAnne do Julii, po czym spojrzała na mamę.

– Lisa jest bardzo chora – rzekła Rachel. – Tłumaczę CariAnne, że noc w szpitalu to nie to samo co nocowanie u koleżanki.

– Tak. Pewnie wbiją jej w rękę igłę.

– Julia!

– Fuj, nie lubię igieł.

– Hospitalizowano dwanaścioro dzieci – oznajmiła Rachel. – Podobno w szkole byli przedstawiciele CDC i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Czy to prawda?

Julia myślała, że do tej pory już wszyscy o tym wiedzą, a zatem odparła bez wahania:

– Tak.

Na pasku na dole ekranu telewizyjnego pojawiły się najświeższe wiadomości. Drukowanymi literami napisano, że zachorowania w stołecznej szkole publicznej zostały spowodowane przez niedbalstwo pracownicy szkolnej stołówki.

– To nieprawda – powiedziała Julia. – Skąd oni to, do diabła, wzięli?

Na dole ekranu przesuwała się końcówka tej wiadomości:

...zgodnie z opinią Sekretarza Rolnictwa.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Podrzuciwszy Julię i Biksa, Platt pojechał prosto do USAMRIID. Zostawił Diggera u rodziców, więc nie miał ochoty wracać do pustego domu. Mały pies stanowił lepsze zabezpieczenie niż elektroniczny system alarmowy. Przed wyjściem Platt powiedział ojcu o czarnym suvie, który jechał za nim z baru.

– Uważajcie na siebie – nalegał.

– Zawsze uważamy – odparł ojciec, ale Platt wiedział, że rodzice żyją w zupełnie innym świecie. I był na siebie zły, że być może ściągnął im na głowę jedno z zagrożeń, które towarzyszyły jego życiu.

W ciągu dnia kilka razy do nich dzwonił i wydawało się, że wszystko jest w porządku. Miał nadzieję, że incydent z minionej nocy to raczej wyraz ciekawości niż groźba.

Przez ostatnią godzinę był tak zajęty, że nie wracał myślami do Ali, Mary Ellen czy innych wspomnień, które nagle do niego napłynęły. Skupił się na przygotowaniu próbek z wymiocin dzieci i resztek wygrzebanych ze śmietnika, które razem z Racine spakowali. Bix dał mu nawet jakieś próbki materiału od chorych licealistów z Norfolku. Znalezienie bakterii nie zabrało mu dużo czasu.

Chodziło o salmonellę. Ale Bix miał rację. To nie był zwykły szczep.

Do tej pory naukowcy z Atlanty wiedzieli, z czym mają do czynienia. Zazwyczaj bakterie znajdowano w mielonej wołowinie, drobiu albo jajach. Czasami w surowych warzywach czy owocach. Platt wiedział także, że niektóre szczepy uodporniły się na antybiotyki, które otrzymywały bydło i drób.

Niestety potwierdzenie rodzaju bakterii bynajmniej nie ułatwia stwierdzenia, w jakim pożywieniu się ukryła. Platt liczył na to, że pomogą mu pobrane od uczniów próbki, a także opakowania po żywności, które wydobyli z Julią ze śmietnika.

Pod mikroskopem bakterie przypominały wbite między komórki maleńkie kołki, które przywarły do nabłonka przewodu pokarmowego. Bakteria dostaje się do żołądka, powoduje stan zapalny błony śluzowej i zwykle wywołuje gwałtowne wymioty. Z żołądka przedostaje się dalej, odkładając się na ścianach jelita i powodując krwawienie i wzdęcia. To z kolei jest źródłem ogromnego bólu i biegunki. Jeśli podczas wycieczki w dół przewodu pokarmowego ta nieznośna istota zdecyduje się na dodatkowy postój w odbycie, może spowodować oderwanie się nabłonka. Cała wycieczka trwa niespełna dwie godziny.

Przypadki o mniej groźnym przebiegu nieraz są błędnie diagnozowane jako grypa żołądkowa czy zespół jelita wrażliwego. W rzeczywistości nagłe ataki grypy żołądkowej nie zdarzają się tak często. Większość osób nie zdaje sobie

sprawy, że ból żołądka, zwłaszcza dwie do sześciu godzin po posiłku, to zazwyczaj skutek działania jakiejś bakterii.

Mary Ellen uważała, że Ali ma grypę żołądkową. Tym tłumaczyła, dlaczego wcześniej nie zadzwoniła do Platta. Był wtedy bardzo daleko od domu, w Afganistanie, gdzie wybuchła kolejna wojna, gdyby jednak wiedział, że córka poważnie zachorowała, zorganizowałby jak najszybszy powrót do Stanów. Nie potrafił wybaczyć Mary Ellen, że tak długo się z nim nie kontaktowała.

Widząc ją znów i słysząc, że ma drugiego męża i dziecko, powinien sobie uświadomić, że od tamtych tragicznych chwil minął szmat czasu. Tymczasem wspomnienia i towarzyszący im fizyczny ból były wciąż tak żywe. Zdawało mu się, jakby Mary Ellen zerwała strup z rany, która nigdy się nie zagoiła.

Wyprostował się, odsunął od mikroskopu i przetarł twarz z nadzieją, że zetrze z niej zmęczenie. Zaczął przeglądać próbki resztek ze śmietnika, kiedy zadzwoniła komórka. Chciał ją odsunąć na bok i nie odbierać, ale gdy spojrzał na wyświetlacz, od razu po nią sięgnął.

Wstrzymał oddech, zanim odpowiedział:

– Cześć, Maggie O’Dell.

– Wciąż zapominam, że u ciebie jest dwie godziny później. Obudziłam cię?

– Nie, jestem jeszcze w laboratorium.

– W USAMRIID?

– Tak. Przedziwna sprawa. Próbuję pomóc CDC odgadnąć, skąd się wziął u stu pięćdziesięciu uczniów

rozstrój żołądka.

– Zatrucie pokarmowe?

– Na to wygląda. Jestem prawie pewien, że to szczep salmonelli, ale w tym samym tygodniu zaatakował dwie różne szkoły, które dzieli ponad trzysta kilometrów. Dziwne, że jeszcze o tym nie słyszałaś. Trąbią o tym we wszystkich wiadomościach.

– Prawdę mówiąc, od wczoraj niczego nie słuchałam ani nie czytałam. Tutaj też jest dość osobliwie.

– Tak to bywa na konferencjach.

– Nie jestem na konferencji.

– O... – Już miał na końcu języka, że czuje się urażony, iż mu o tym wcześniej nie powiedziała, a przecież nie miał do tego prawa. – Wszystko gra?

– Tak. Jestem tylko trochę... przytłoczona.

Jak na nią to było bardzo szczere wyznanie. Kiedy Platt ją poznał, był jej lekarzem i czasami zbyt łatwo powracał do tej roli. Nic nie mógł na to poradzić. Zależało mu na Maggie bardziej, niż był gotów przyznać, przynajmniej samej zainteresowanej. Dopiero niedawno sam przed sobą się do tego przyznał. Nie chciał ryzykować, że straci jej przyjaźń.

Platt wiedział, że miłosna pułapka budzi w Maggie lęk. Tak właśnie to nazywała: miłosną pułapką. Zdumiewające, jak wiele można się dowiedzieć o stosunku jakiejś osoby do danej sprawy, wsłuchując się w słowa, którymi ją opisuje. Nie mówiła o swoim rozwodzie, wspomniała zaledwie, że jej małżeństwo było męczące. Nie napomknęła też o innych związkach z mężczyznami.

Platt także niewiele jej mówił o swoim małżeństwie. Każde z nich miało spore obszary życia, którymi się nie dzieliło. Może nie znali się tak dobrze, jak sądził. Wiedział, że Maggie nie chce, by ktokolwiek się o nią troszczył. Rzadko pozwalała sobie na okazanie emocji. Przyznanie się do tego, że czuje się przytłoczona, musiało ją wiele kosztować.

– Co się właściwie dzieje? – spytał.

Pokrótce wszystko mu opowiedziała. Platt poważnie się zaniepokoił. Po raz kolejny ścigała mordercę. Znów znalazła się w sytuacji zagrożenia, co zmartwiło go nie na żarty. Niezależnie od tego, ile razy mówił sobie, że to jej praca, wciąż się tym denerwował.

– Masz rację co do laserowego paralizatora – orzekł Platt. – Wojsko od dawna dysponuje tą technologią, ale dopiero niedawno udało się zastosować ją w stosunkowo niedużej broni. Z tego, co pamiętam, jest wielkości strzelby. Zdaje się, że nieodłączną częścią jest plecak z ładowarką. Początkowo ta broń miała służyć do kontroli tłumu. Wystarczy omieść teren promieniem lasera. Nie trzeba dotykać ofiary jak w przypadku paralizatora ani wystrzeliwać elektrod zakończonych małymi haczykami jak w wypadku tasera. Jak rozumiem, ta broń nie jest przeznaczona do zabijania.

– Czy jest możliwe, żeby wojsko odbywało ćwiczenia w samym środku lasów Nebraski?

– Jak najbardziej. Wygląda mi to na idealne miejsce. Z pewnością jednak nie wykorzystaliby grupy naćpanych

nastolatków jako celu.

– Jesteś pewien?

Platt odetchnął głęboko. Wiedział, że Maggie tylko próbuje spojrzeć na to z różnych punktów widzenia, ale zawsze się jeżył, kiedy ktoś atakował wojsko. Jasne, wszyscy popełniają błędy. Sam był świadkiem korupcji i nadużycia władzy w armii, a nawet doprowadził do ujawnienia kilku incydentów. Ale chciał wierzyć, że to tylko incydenty.

– W tej chwili – podjęła Maggie – widzę dwie opcje. Albo żołnierzom odbiło, albo to kosmici o czerwonych oczach.

Zaśmiał się, a ona mu zawtórowała.

Potem ni stąd, ni zowąd wypalił:

– Tęsknię za tobą.

Maggie zamilkła, a on poczuł ucisk w żołądku, po raz pierwszy jednak się tym nie przejął.

– Okej, co się dzieje? – spytała.

– Co? Nie mogę tak po prostu za tobą tęsknić? Od razu coś musi się dziać?

– Słyszę to w twoim głosie. O co chodzi?

– Chodzi o... zastanawiałaś się, czy chcesz mieć dzieci? – Gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że zrobił o jeden krok za daleko.

– Ben, nie wiem nawet, czy masz teraz na sobie bokserki czy slipy, a ty mnie pytasz, czy chcę mieć dzieci?

Znowu się zaśmiał. Napięcie nieco osłabło. Wyobraził ją sobie po drugiej stronie linii. Uśmiechała się i kręciła głową. Pewnie chodziła po pokoju. Kiedy rozmawiała przez

telefon, nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Jeżeli ją bardzo zdenerwował, właśnie zaczesywała kosmyk włosów za ucho. Jedno, co do niego dotarło z jej odpowiedzi, to słowo nawet. Nie wiedziała nawet, czy ma na sobie slipy czy bokserki. Jedno słowo tak wiele odkrywa.

– Dobrze się czujesz? – spytała po długiej chwili ciszy.

– Tak, dobrze, tylko ta sprawa nie daje mi spokoju – skłamał.

– Myślisz o Ali. – Nie było to pytanie.

Może jednak znali się zbyt dobrze.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nebraska

Lucy zostawiła włączone światło. Zapach świeżo zaparzonej herbaty i cynamonu wypełniał kuchnię.

Dzwoniąc wcześniej do Lucy, Maggie zasugerowała, że zostanie w North Platte i wynajmie pokój w hotelu. Jej walizka była w końcu w bagażniku wypożyczonej toyoty. Nie chciała nadużywać gościnności Lucy. Ostatniej nocy, kiedy były zbyt zmęczone, żeby myśleć logicznie, Lucy zaprosiła ją do siebie, ale Maggie nie spodziewała się, że zaproszenie będzie nadal aktualne.

– Jazda tutaj zabierze nieco więcej czasu – rzekła Lucy. – Rozumiem, jeśli woli pani zostać w mieście, ale ucieszę się, jeśli pani jednak przyjedzie. – Jakby dla potwierdzenia, że nie mówi tego tylko z grzeczności, dodała: – Właśnie włożyłam do piekarnika blachę cynamonowych bułeczek.

Maggie znalazła Lucy w saloniku, gdzie siedziała pochylona nad książką. W ceglanym kominku tańczył ogień. Psy leżące obok pani poderwały się i podbiegły do Maggie. Machały ogonami i domagały się uwagi, odpychając się nawzajem bez zajadłości.

Maggie opadła na fotel naprzeciw Lucy i głaskała psy. Jej matka nigdy na nią nie czekała. To Maggie – nawet jako dwunastoletnia dziewczynka – czekała na matkę, która

czasami w ogóle nie wracała do domu. Nagle ją uderzyło, jak dobrze czuje się w tym miejscu – ciepłym, przytulnym, bezpiecznym. Była tu zaledwie niecałą dobę, a już czuła się jak w domu.

Lucy podniosła wzrok znad połówkowych okularów do czytania i odłożyła na bok książkę.

– Wygląda pani na wykończoną – powiedziała. – Jak się pani czuje?

– To prawda, jestem wykończona. – Maggie się uśmiechnęła. – Ale dam radę. – Jake wsadził nos pod jej rękę, domagając się pieszczot, a ona automatycznie spełniła jego prośbę. Pozostałe psy umościły się na powrót u stóp Lucy.

– Ktoś opiekuje się pani psem, jak pani wyjeżdża?

– Tak.

– Ktoś, kto opiekuje się panią, jak pani jest na miejscu?

– Och, nie. – Potrząsnęła głową zażenowana, że tak szybko zaprotestowała. A równocześnie nie chciała wyjaśniać, że jej partner z FBI, R.J. Tully, który zajmował się Harveyem, jest blisko związany z jej najlepszą przyjaciółką Gwen Patterson.

– Ale jest ktoś taki? Ktoś nowy w pani życiu?

Maggie patrzyła na Lucy Coy, zastanawiając się, skąd u tej kobiety brała się ta zdolność do zaglądania pod powierzchnię.

– Może – odparła, wciąż myśląc o rozmowie z Plattem. Jak dobrze było usłyszeć jego głos. Uwielbiała jego śmiech. Wystarczyło, że podzieliła się z nim wydarzeniami ostatnich

dwudziestu czterech godzin, i od razu czuła się mniej samotna. – Problem w tym, że przywykłam do samotności. Lubię planować, nie czekając na czyjąś aprobatę. – W myślach dodała, że samotne życie dla niej równa się bezpieczne życie. Nikt cię nie skrzywdzi ani nie rozczaruje, jeśli nikomu nie pozwolisz za bardzo się zbliżyć. Irytowało ją, że tęskni za Benjaminem Plattem. Uważała to za słabość, za objaw bezbronności. – Czy to niezależność? – spytała w zadumie. – Czy egoizm?

– Zawsze musi panować równowaga. Nigdy nie powinno być wszystko albo nic. – Lucy zawahała się, czy kontynuować. – Nie należy wyrzekać się siebie, żeby kogoś zadowolić. To zły wybór. Moja matka należała do plemienia Omaha. Robiła wszystko, co w jej mocy, żeby temu zaprzeczyć i zostawić to za sobą. Myślę, że właśnie dlatego poślubiła mojego ojca. Był synem emigrantów, irlandzkich katolików. Inżynierem kolejnictwa, który miał tak nieogarnione marzenia jak niebo nad Nebraską. Ale uwielbiał historię Ameryki i kulturę Indian. – Przerwała na moment. – To on nauczył mnie wszystkiego o plemieniu Omaha i moim indiańskim pochodzeniu. Zdaje się, że matka też w końcu to pokochała, właśnie dzięki niemu. Kiedy spotykamy kogoś, kto tak samo jak my kocha naszą niezależność i naszą potrzebę samotności, i tak samo tego dla nas pragnie, wtedy odkrywamy, że póki ta szczególna osoba jest przy nas, te rzeczy już tak bardzo się nie liczą. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Jest w tym chyba szczypta

ironii, czyż nie? – Lucy uznała, że lepiej dłużej nie drążyć tematu, i spytała: – Jak się czuje ten chłopiec?

Maggie powiedziała jej już przez telefon o intruzie i próbie zamachu na życie Dawsona.

– Jest przerażony. Czuwa nad nim jego ojciec, a Skylar postawił przed drzwiami swojego zastępcę. Donny wydaje się pewny, że odciski stóp napastnika będą odpowiadały tym, które znaleźliśmy w lesie. Podeszwy mają ten sam charakterystyczny wzór wafla i ten sam rozmiar.

– Nawet jeśli tak będzie, to jeszcze nic nie znaczy. W tej okolicy są pewnie setki par takich butów. Czy Dawson cokolwiek pani powiedział?

– Nie za bardzo. – Maggie pokręciła głową. – Eksperymentowali w lesie ze środkami odurzającymi. Przyznał, że mieli kamerę.

– A my jej nie znaleźliśmy. Czy udało im się coś nagrać?

– Nie mam pojęcia. Co znajduje się za tymi drzewami i pastwiskami?

– Z jednej strony jest nowy budynek uniwersytetu, a z drugiej szkółka.

– Szkółka?

– Sadzą tam drzewa. Las sam się nie odnawia. Drzewa źle rosną na piasku. – Uśmiechnęła się, a potem zdała sobie sprawę, że powiedziała za mało. – To był eksperyment na początku ubiegłego wieku, w tysiąc dziewięćset drugim, o ile mnie pamięć nie myli. Każde drzewo zostało ręcznie posadzone. Zalesiono około ośmiu tysięcy hektarów. Uważano, że dzięki temu zjadą tu osadnicy, bo będą mieli

łatwy dostęp do drewna na budowę domów. Od samego początku jest to coś w rodzaju otwartego laboratorium. Kiedy drzewa umierają, tak jak teraz umiera wiele z tych posadzonych w pierwszym rzucie sosen, trzeba je zastąpić nowymi.

– To nie brzmi bardzo groźnie.

Lucy zaśmiała się.

– No nie, raczej nie.

– A co jest w tym budynku?

– Właściwie nie wiem. Uniwersytet postawił go kilka lat temu. Chyba miało tam być laboratorium przeznaczone do pracy nad hybrydami międzygatunkowymi. Zaznaczam, że nie jestem zwolenniczką genetycznie modyfikowanej żywności. Słyszałam jednak, że ostatecznie znaleźli do tych eksperymentów jakieś inne miejsce.

– Więc budynek stoi pusty?

– Nie. Zdaje się, że Departament Rolnictwa wykorzystuje go do swoich celów. Nie wiem, jakich. Z drogi tego nie widać, ale od czasu do czasu zauważam wyjeżdżające stamtąd samochody.

– Nigdy pani nie ciekawiło, co tam jest?

– Budynek jest ogrodzony i ma ochronę.

– Ogrodzenie jest pod napięciem?

Lucy zdjęła okulary.

– O czym pani myśli?

– Nie wiem. Nie pamiętam, żebym zobaczyła ten budynek, kiedy byliśmy w lesie. Czy z terenu obozowiska go widać?

– Nie sądzę – odpowiedziała Lucy po chwili namysłu, ale gdy Maggie westchnęła rozczarowana, dodała, długimi palcami masując skronie: – Jednakże niewykluczone, że widać stamtąd prywatną drogę biegnącą od głównej drogi do budynku.

W kieszeni kurtki Maggie zadzwoniła komórka. Natychmiast po nią sięgnęła, świadoma, że liczy na telefon od Platta. Zaskoczył ją pytaniem o dzieci. Ostatnio już prawie sama siebie przekonała, że chce pogłębić ich związek, ale to nie znaczyło, że pragnie podjąć się misji urodzenia mu dziecka, które zastąpiłoby jego ukochaną córkę.

Wyjęła z kieszeni telefon. To nie był Platt. Starała się ukryć rozczarowanie, niestety za późno, bo Lucy zobaczyła wystarczająco wiele.

– Śledczy Fergussen, jak rozumiem, ma pan nowe informacje.

– Nic dobrego, ale pomyślałem, że zechce pani wiedzieć. Zdarzył się wypadek samochodowy. Jakąś godzinę temu. – Maggie w tle słyszała syreny i gwar głosów, czyli Fergussen był na miejscu wypadku. – Poszkodowane to Courtney Ressler i Nikki Everett. Wygląda na to, że wyjechały zza zakrętu prosto na jelenia szóstaka.

– Na jelenia?

– Tak. Chyba za późno go zauważyły. Wie pani, jakie są nastolatki. Jechały za szybko albo pisały SMS-y.

– Nic im się nie stało?

– Niestety obie zginęły na miejscu. Paskudnie to wygląda. Pomyślałem, że powinna pani wiedzieć.

– Dziękuję.

Lucy nie zdejmowała wzroku z Maggie, ale czekała cierpliwie.

– Właśnie zginęły dwie kolejne nastolatki z tej grupy z lasu.

SOBOTA

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt miał wrażenie, że spał zaledwie kilka minut, kiedy telefon Biksa wyciągnął go z łóżka.

– Kasa biletowa United na Reagan National. Spotkajmy się tam o piątej trzydzieści. O szóstej trzydzieści mamy samolot.

– Mam nadzieję, że chodzi panu o piątą trzydzieści dziś po południu – rzekł Platt, patrząc na cyfrowy budzik przy łóżku, który pokazywał trzecią czterdzieści pięć nad ranem.

– Bardzo zabawne. Do zobaczenia.

Teraz, gdy już siedział w pierwszej klasie obok szefa CDC, Platt z satysfakcją stwierdził, że Bix wygląda jeszcze gorzej od niego. Włosy miał nastroszone, a oczy przekrwione. Ale Roger Bix w garniturze i pod krawatem wzbudzał szacunek, nawet jeżeli krawat miał poluzowany. Gdy tylko weszli na pokład, zdjął marynarkę i oddał ją stewardesie. Podwinął rękawy koszuli aż za łokcie. Platt miał na sobie mundur, tak jak mu polecił Bix, ale on także przekazał stewardesie kurtkę.

Dopiero kiedy znaleźli się w powietrzu, Bix zaczął wyjaśniać, dlaczego tak wcześnie lecą do Chicago.

– Myślę, że naszego przyjaciela – taki nadali kryptonim anonimowemu informatorowi – rozwścieczyło oświadczenie

wydane wczoraj wieczorem przez Departament Rolnictwa.

– Jakie oświadczenie?

– Nie słuchał pan wiadomości?

– Pojechałem do USAMRIID, a stamtąd do domu.

– Sekretarz rolnictwa publicznie oznajmił, że zatrucia w szkole zostały spowodowane przez zaniedbania pracownicy kuchni, którą już zawieszono w pełnieniu obowiązków.

Platt pomyślał o biednej Velmie Carter.

– Skąd ten pomysł? Na spotkaniu słowem nie wspomnieliśmy o tej kobiecie.

– Dlatego właśnie nasz przyjaciel się wściekł i podsuwa nam większy fragment łamigłówki.

– W Chicago?

– Zakład przetwórczy w północnej części miasta. Z rozmaitych rzeźni zbierają kawałki i skrawki wołowiny, mieszają je, a potem mielą. Z mielonej wołowiny robią klopsiki, paszteciki, hamburgery, doprawiają ją do tacos.

– Niech zgadnę. Swoje wyroby wysyłają do szkół.

– Gdyby to było takie proste. – Bix wyjął z teczki gruby plik dokumentów. – Próbowałem się w tym kramie połapać.

– Zakłada pan, że to wołowina w taquito była zatruta?

– Nie zakładam.

– Pańscy ludzie coś znaleźli?

– Nie mogę, do cholery jasnej, siedzieć na tyłku, dopóki wy tam w tych swoich laboratoriach nie skończycie badać wymiocin i innych śmieci. Naciskałem na mojego informatora. Czuł się trochę winny. To idiotyczne

oświadczenie Departamentu Rolnictwa skłoniło go do podpowiedzi, gdzie mam szukać.

– Powiedział panu, że to wołowina?

– Zasugerował. Nie stwierdził. Dzisiaj rano moi ludzie z laboratorium to sprawdzą.

– Więc po co lecimy do Chicago?

Bix wzruszył ramionami.

– Może ten gość wcale nie jest informatorem. Może chce tylko zaleźć nam za skórę. Ale odnoszę wrażenie, że ta wskazówka to coś ważnego.

– Więc miał pan czas, żeby się czegoś dowiedzieć o tym zakładzie przetwórczym?

– To własność rodzinna. Są w tym biznesie od pięćdziesięciu lat. Próbowałem wyciągnąć dane z kontroli Departamentu Rolnictwa. Powiedziano mi, że trzeba napisać podanie, odwołując się do Ustawy o Wolności Informacji, ponieważ dokumenty z inspekcji zawierają dane zastrzeżone.

– Dlaczego ich po prostu nie zaczernią?

– Tak właśnie zrobią, kiedy prześlemy im naszą prośbę.

– Myślałem, że Baldwin udostępni nam wszystko, co konieczne.

– Tak obiecała, prawda? Jednakże o tej porze była niedostępna. Nagrałem się na jej sekretarkę, żeby do mnie oddzwoniła, do cholery. Należy natychmiast ostrzec wszystkie szkoły przed produktami z wołowiny i trzeba je wycofać.

– I?

– Nie oddzwoniła do momentu, kiedy musiałem wyłączyć telefon.

– Wczoraj wieczorem wydawała się szczerze poruszona. Dajmy jej szansę, żeby zrobiła, co należy.

– Daję jej szansę. Ale ma niecałe czterdzieści osiem godzin.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Mary Ellen nie znosiła wychodzić z domu, kiedy mąż i syn jeszcze głęboko spali. Poprzedniego wieczoru ledwie zdążyła zobaczyć się z nimi przed spoczynkiem. Teraz, w sobotni ranek, znów stała przed salą konferencyjną. Wszystko było już przygotowane, kawa i ciastka półkruche podane. Nie brakowało nikogo prócz Irene Baldwin. Raz jeszcze kazała im na siebie czekać, chociaż przecież to ona zwołała wyjątkowo pilne spotkanie.

Mary Ellen była podminowana. Co gorsza, tego ranka wypiła już trzy kawy. W żołądku ją paliło, nerwy miała napięte jak postronki. Zamiast być zła na Benjamina Platta, myślała tylko o tym, jak dobrze ten drań wygląda. Powinna przynajmniej cieszyć się jego nieszczęśliwą miną, której nie krył, dowiedziawszy się, że wyszła za mąż i zaczęła nowe życie.

Minionej nocy, kładąc się do łóżka, mówiła sobie, że jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Dostała od losu drugą szansę. Kiedy zamknęła oczy, zaszokowana stwierdziła, że nie może zapomnieć o Benjaminie. Tak żywo pamiętała, jak się z nią kochał. Przewracała się z boku na bok, aż przytuliła się do pleców męża, przycisnęła policzek do jego ramienia i modliła się o sen.

– Wychulis.

Obcasy Baldwin stukały po posadzce holu. Wyglądała, jakby przespała osiem godzin i w przeciwieństwie do Mary Ellen nie potrzebowała tego ranka trzech filiżanek kawy, żeby się rozruszać. Jednak przyjrzawszy się bliżej, Mary Ellen dostrzegła, że szefowa starała się ukryć worki pod oczami i niestety nie całkiem jej się to udało.

– Sekretarz się odzywał?

– Nie.

– Jasne, że nie. Wydaje idiotyczne oświadczenie, a my mamy wypić to piwo, którego nawarzył.

Mary Ellen milczała. Była przekonana, że jej poprzedni szef dysponował niezbędnymi dowodami, zanim wydał oświadczenie dla mediów.

– Jesteśmy gotowi?

– Tak.

Baldwin otworzyła drzwi sali konferencyjnej i gwałtownie zatrzymała się w progu. Mary Ellen o mały włos na nią nie wpadła.

– Dzień dobry wszystkim. Dziękuję za przybycie. Zaraz do państwa dołączymy.

Potem Baldwin zamknęła drzwi i pomachała do Mary Ellen, żeby za nią poszła.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – spytała szeptem.

– Prosiła pani, żeby zwołać komisję do spraw wycofania artykułów z rynku. To są stali członkowie.

– Tam jest ze dwanaście osób.

– Dokładnie czternaście. Joseph Murray przyprowadził dwóch techników, a Karena McFerris przyszła z zastępcą inspektora. Co właściwie mamy wycofać?

– Mieloną wołowinę, którą Departament Rolnictwa kupił dla programu lunchów w szkołach.

– Rozumie pani, że nie jesteśmy w stanie wydać takiego rozporządzenia? Dostawcy dobrowolnie wycofują swoje produkty. Negocjujemy z nimi.

Baldwin popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Chce mi pani powiedzieć, że Agencja do spraw Żywności i Leków może wycofać z obrotu wadliwą zabawkę, a Departament Rolnictwa nie może wycofać skażonego mięsa, które zagraża życiu dzieci?

Mary Ellen starała się trzymać nerwy na wodzy.

– Nasza agencja ma wspomagać producentów, a także chronić konsumentów. – Dlaczego musi przypominać Irene Baldwin, że powód, dla którego właśnie ona została zatrudniona, a nie któryś z lepiej wykwalifikowanych kandydatów, jak choćby Mary Ellen, to zdolność do mediacji między tymi dwoma światami.

– Czy jest tam przynajmniej podsekretarz Eisler? – spytała w końcu Baldwin.

– Przysłał Jerolda, kierownika agencji usług marketingowych. Tak naprawdę to on odpowiada bezpośrednio za nadzorowanie Krajowego Programu Szkolnych Lunchów.

Nigdy nie widziała takiej miny Baldwin. Od pierwszego dnia pracy pani podsekretarz sprawiała wrażenie

nieomylnej. Mary Ellen zastanawiała się, co powiedziałby jej dawny szef, który dał posadę Baldwin, gdyby zobaczył teraz byłą panią dyrektor generalną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Nebraska

Kiedy Maggie rozpakowała walizkę, żeby wyjąć coś do ubrania na kolejny dzień rozwiązywania zagadki Sandhills, znalazła komórkę Johnnny’ego Bosha zakopaną między brudnymi rzeczami. Natychmiast przypomniała sobie o klaustrofobicznym tunelu pod domem Boshów, którym się czołgała. Odsunęła od siebie tę myśl i podłączyła uniwersalną ładowarkę do telefonu Johnny’ego.

Kiedy wzięła prysznic i zjadła śniadanie z Lucy, telefon był już naładowany.

Nagle otrzymała dostęp do świata Johnny’ego Bosha. Najbardziej chciała zobaczyć wiadomości tekstowe z ostatnich minut czy godzin poprzedzających jego śmierć. Wiadomości tekstowe nie znikają, dopóki użytkownik telefonu ich nie skasuje, a nawet wówczas udaje się je czasami odzyskać.

Matka Johnny’ego powiedziała, że dzwoniła do dwójki jego przyjaciół, okazało się jednak, że ani nie kontaktowali się z Johnnym, ani go nie widzieli. Skoro jednak miał przy sobie telefon, Maggie podejrzewała, że z kimś rozmawiał albo chciał porozmawiać. I nie myliła się. A jednak to, co znalazła, mocno ją zaskoczyło:

Johnny B.:

Daw jest okej.

Amanda:

Kogo to obchodzi? To cienias.

Amanda:

Oni wszyscy są cieniasami.

Johnny B.:

Nie puszczą pary z ust.

Amanda:

Taa, tak jak Taylor.

Johnny B.:

To co innego.

Amanda:

Wcale nie. Tym razem nas wykiwali.

Amanda:

Nie wyjedziesz stąd. Nigdy.

Johnny B.:

To cię bardzo ucieszy.

Amanda:

No. Utkniesz tu razem z nami.

Amanda:

Żadnej piłki. Żadnego stypendium.

Amanda:

Cienias, cienias, cienias!

Przez kolejną godzinę nie było nic więcej. Potem znowu kilka SMS-ów od Amandy z pytaniem, gdzie jest Johnny i prośbą o odpowiedź.

Już jej nie odpowiedział.

Maggie postanowiła znów odwiedzić Amandę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Chicago

Platt pomyślał, że pewnie w całym wszechświecie istnieje coś takiego jak niespodziewana kontrola. Nawet deszcz, który wściekle walił w blaszany dach, ogłaszał przyjazd kontrolnej ekipy. Stanowy inspektor sanitarny powitał ich w głównym wejściu, niosąc kilka ostatnich raportów pokontrolnych. Bix wybuchnął, widząc zaczernione fragmenty.

– To zastrzeżone informacje – rzekł inspektor Alfred, i wcale nie zabrzmiało to przepraszająco. – Wykonuję tylko polecenia. Poza tym myślę, że to ich przepis na taco. Nic wielkiego.

– Doprawdy... – sarknął Bix. – A jeśli to właśnie coś w tych składnikach i przyprawach jest powodem zatrucia?

– Wątpię.

Platt skrzywił się, słuchając idiotycznych wyjaśnień inspektora. Zaczął kartkować dokumenty, podczas gdy Bix i Alfred nadal toczyli spór kompetencyjny. Zauważył kilka ostrzeżeń i upomnień, ale dotyczyły drobnych naruszeń.

W końcu podeszli kawałek i zatrzymali się przy stanowisku ochrony, gdzie Bix i Platt wylegitymowali się. W zamian otrzymali plakietki i kodowane karty magnetyczne, dzięki którym mogli się swobodnie poruszać

po zakładzie. Dostali też kilka par ochraniaczy na obuwie z prośbą, by je zmieniali, ilekroć będą wchodzili do nowego pomieszczenia. Poinformowano ich również, że ochraniacze są dostępne przy każdym wejściu.

Platt nadal nie był pewien, co Bix spodziewał się tam znaleźć. Co gorsza, obawiał się, że Bix też tego nie wie.

Zaczęli od linii produkcyjnych. Na pierwszej z nich z mielonej wołowiny robiono hamburgery. Brygadzista objaśnił cały proces, krok po kroku. Alfred, stanowy inspektor sanitarny, sprawiał wrażenie, że wcale tego nie słucha, tylko robił jakieś notatki i prowadził własną kontrolę. Platt oddalił się i przez oszklone drzwi zajrzał do sąsiedniego pomieszczenia.

Powiedziano im, że za godzinę kończy się zmiana i wtedy będą mogli zobaczyć, jak wygląda mycie i płukanie sprzętów. A także pobrać próbki środków czyszczących, żeby sprawdzić, czy pozostaje po nich jakiś osad. Ale Platt nie był tym zainteresowany. Wierzył, że to nie środki chemiczne czy pozostały po nich osad spowodowały chorobę u dzieci.

Oglądał kolejną linię produkcyjną, gdzie skrawki wołowiny trafiały do wielkiego młynka. Później tę wołowinę przekazywano na inne linie produkcyjne. Mnóstwo surowego mięsa. Mnóstwo możliwości.

– Skąd pochodzi ta wołowina? – spytał Platt brygadzistę.

– Z różnych miejsc.

– Nie tylko z Illinois?

– Nie, nie tylko. Również z Kolorado, Nebraski, Florydy, Kalifornii... no, między innymi. Dostajemy z rzeźni skrawki i kawałki wołowiny, które nie są wykorzystywane do celów komercyjnych.

– Departament Rolnictwa zawiera z wami umowę na program szkolnych lunchów?

– Departament Rolnictwa zawiera z nami umowę, ale nie mamy pojęcia, dokąd idą nasze produkty. Dostarczamy je do państwowych magazynów albo innych zakładów, które mogą je przepakować w firmowe opakowania i sprzedawać pod swoją marką. Część jest kupowana przez szpitale. No i część produkcji jest wysyłana do ośrodków dystrybucji dla szkół.

– Nie posiadacie informacji, dokąd ostatecznie trafia wasz produkt? – spytał Bix.

– Wiemy tylko, do którego stanowego magazynu go przekazujemy. Zapewne te magazyny posiadają dane dotyczące dalszej wysyłki.

– A rzeźnie? – spytał Platt. – Otrzymujecie od nich wyniki testów na obecność bakterii czy sami przeprowadzacie testy?

– Dostarczają nam wyniki badań, ale i tak rutynowo badamy próbki po zmieleniu mięsa.

– Co się dzieje, jeśli wynik jest pozytywny?

– Powinniśmy zamknąć linię produkcyjną, wszystko zdezynfekować, wziąć kolejną próbkę.

– Za każdym razem? – spytał Bix.

– Tak, za każdym razem.

Platt zaniepokoił się, że brygadzista powiedział „powinniśmy” , a nie „zamykamy”. Mielenie wołowiny, która może być zakażona, oznacza rozprzestrzenienie się bakterii. Pobieranie próbek na chybił trafił to co najwyżej gówniany strzał w ciemno.

Przenieśli się w kolejne miejsce zakładu i znów Platt oddalił się od grupy. Dostrzegł dwóch pracowników wchodzących przez boczne drzwi. Kiedy zmieniali ochraniacze na buty, Platt zauważył, że ich stare ochraniacze były mokre. Jeden z mężczyzn niósł czyste plastikowe wiadro, które napełnił mielonym mięsem.

Platt poszedł sprawdzić, czy te drzwi prowadzą na zewnątrz. Zastanawiał się, dlaczego pracownikowi wolno wnieść do zakładu niesterylny pojemnik, ale za oszklonymi drzwiami zobaczył mały magazyn.

Otworzył drzwi za pomocą karty magnetycznej. Bix go zobaczył i pośpieszył za nim, ciągnąc za sobą dwóch pozostałych mężczyzn.

– Byłem tylko ciekaw – wyjaśnił Platt.

Nawet nie wchodząc do pomieszczenia, przekonał się, dlaczego ochraniacze na buty były mokre. Otwór odpływowy na środku podłogi był wypełniony mętnym szlamem, który cuchnął czymś zjełczałym.

– Taa, czasami, jak pada, to się zatyka – wyjaśnił brygadzista. – Już o tym rozmawialiśmy. – Wymienił spojrzenie z Alfredem, jakby wszystko było w porządku, skoro sprawa została omówiona. – George! – zawołał do

pracownika, który układał zapasy na tylnych półkach. – Wyczyść to.

Platt patrzył na George’a, który podszedł do sterty plastikowych wiader, identycznych jak to, które zostało wniesione do hali produkcyjnej i napełnione mieloną wołowiną. George wziął jedno z nich, by użyć podczas mycia podłogi.

– Czy to wiadra jednorazowego użytku? – spytał Platt.

– Bez obaw. Poddajemy je specjalnemu cyklowi mycia.

– Plastikowe wiadra? – rzekł Platt i spojrzał na Biksa, który z trudem powstrzymał się przed wybuchem.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Nebraska

Wesley Stotter odrobił lekcję. Jego fani tego właśnie od niego oczekiwali. O Parku Narodowym w Nebrasce wiedział prawie wszystko. Potrafił wymienić rosnące tam gatunki drzew i żyjące tam gatunki ptaków. Wiedział, że park zajmuje powierzchnię 36 tysięcy hektarów, ma 24 kilometry długości i około 18 szerokości. 8 tysięcy hektarów pokrywały drzewa, reszta to pofałdowane tereny pastwisk. Odwiedził miejsca kempingowe, wspiął się na wieżę obserwacyjną i był w szkółce leśnej. Nie miał jednak pojęcia, co znajduje się w budynku między rzeką Dismal a lasem.

W innej sytuacji machnąłby na to ręką, ale kiedy słońce wzeszło po bezsennej nocy, którą spędził w kombi z rewolwerem kaliber 45 w dłoni, pierwsze, co zauważył, to promienie słońca padające na blaszany dach usytuowany poniżej. Z miejsca, gdzie zaparkował, miał widok na ten właśnie budynek, zupełnie niewidoczny z głównej drogi. Był wetknięty między piaszczyste wydmy a skraj lasu, z rzeką Dismal wijącą się na tyłach. Łatwo było zapomnieć o jego istnieniu. Nikt nie interesuje się czymś, czego nie widzi.

Zanim Stotter przekonał się, czy jego samochód ruszy, pozbawiony okien blaszany budynek zaciekawił go. Wzdłuż

rzeki znajdowały się odgrodzone od niej pola, na których rosły pszenica, kukurydza i rozmaitość dużych liściastych roślin, być może różnego rodzaju warzyw. Z drugiej strony budynku widniał spory parking. Betonowy plac przypominał Stotterowi lądowisko dla helikopterów. Ciągnął się aż do budynku, gdzie wysokie dwuskrzydłowe drzwi pozwalały, by wjechała przez nie bardzo duża ciężarówka, a może nawet mały samolot.

Poprzedniego dnia o świcie Stotter martwił się głównie tym, czy ktoś go widział. Policzył sobie w myśli, ile czasu zajęłoby mu dostanie się do budynku na artretycznych nogach, kalkulował też oczywiście, czy cel jest tego wart. Ale kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, stary buick ruszył z kopyta. Stotter sam już nie wiedział, czy silnik naprawdę zgasł. A może ta poprzednia noc to tylko wybryk jego wyobraźni?

Teraz, gdy znowu znalazł się na grani, jedno wiedział na pewno. Nikt się go nie spodziewał i nikt go nie zauważy, jak będzie schodził z góry między drzewami i krzewami, zamiast iść otwartą przestrzenią pastwiska czy drogą dojazdową. Więc niezależnie od tego, jakie tajne działania tam podejmują – jeśli w ogóle coś takiego się dzieje – nikogo nie zaalarmuje swoją obecnością.

Przyglądał się budynkowi przez lornetkę, zanim zaczął schodzić. Nigdzie nie dojrzał kamer, ale podejrzewał, że cienki, prawie niewidoczny drut biegnący nad ogrodzeniem z drutu kolczastego jest pod napięciem.

Wziął ze sobą aparat fotograficzny, ale nie zabrał bezprzewodowego mikrofonu. Dziś nie będzie transmisji na żywo. Jedyną dokumentacją będą zdjęcia, oczywiście jeżeli znajdzie coś interesującego.

Minionej nocy myślał o stworzeniu, które widział, gdy biegło przez las. Wydawało się identyczne jak to, które według opowieści jego ojca spadło z nieba nad Roswell. Może to właśnie były te światła, które eksplodowały tuż przed jego oczami, kiedy je nagrywał dla swoich fanów. To się zdarzyło zaledwie kilka chwil przedtem, zanim młodzież w lesie została zaatakowana. Stotter słyszał już ich relacje. Twierdzili, że widzieli jakieś stworzenie, z którego ramion wystrzeliwały promienie światła.

Jeśli istniało stworzenie, które widziała ta młodzież, i jeśli istniało to, które widział Stotter, czy jest możliwe, że było ich więcej, nie tylko jedno? A jeśli tak, dokąd się udały? Nie mogły odejść zbyt daleko przez nikogo niezauważone, skoro Stotter dostrzegł jedno z nich biegnące przez las. Był przekonany, że blaszana hala stanowi swojego rodzaju bazę.

To wszystko brzmiało jak szaleństwo, ale tak samo mówili o relacjach jego ojca. Dotąd nie potrafili wyjaśnić, czym są utrwalone przez niego na zdjęciach szczątki osobliwego pojazdu powietrznego. Zamiast tego rząd ukrył wszystkie dowody, nie zdając sobie sprawy, że ojciec Stottera nie przekazał im całego filmu. Stotter przez wiele lat trzymał to w tajemnicy, poważnie traktując odpowiedzialność za film i zdjęcia, które ojciec powierzył mu w wielkim zaufaniu, i o istnieniu których nikt inny nie wiedział.

Może teraz w końcu nadszedł czas na opublikowanie owych fotografii. Stotter miał nadzieję, że zdjęcia, które zrobi tego dnia, okażą się równie ekscytujące.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Maggie załadowała swój komputer. Siedziała na tarasie sypialni na poddaszu, owiewana chłodnym wiatrem, choć słońce ją grzało. Przyłapała się na myśli, że to miejsce jest idealnym ustroniem, doskonałym zakątkiem na wakacje... kiedyś, w przyszłości. Pewnego dnia, kiedy nie będzie tak zaabsorbowana tym morderstwem. Czy jest możliwe, że śmierć Nikki i Courtney to nie był wypadek? Czy Johnny rzeczywiście popełnił samobójstwo?

Z grupy uczestników nocnej czwartkowej imprezy pozostali tylko Amanda i Dawson. Przed drzwiami szpitalnego pokoju Dawsona dyżurował uzbrojony policjant. Maggie dzwoniła wcześniej do domu Amandy, żeby sprawdzić, czy dziewczyna jest bezpieczna. Jej matka zapewniła, że cały czas ma córkę na oku. Powiedziała, że Amanda opuszcza swoją sypialnię tylko na posiłki. Dowiedziawszy się, że dwie kolejne koleżanki Amandy nie żyją, pani Griffin stwierdziła, że córka „będzie kompletnie załamana”. Ale zgodziła się, by Maggie z nią porozmawiała, pod warunkiem, że jej nie zdenerwuje.

Przed wyjściem Maggie postanowiła sprawdzić w internecie pewne rzeczy, które nie dawały jej spokoju.

Lucy uprzedziła ją, że połączenie bezprzewodowe może jej zabrać kilka sekund dłużej, niż mogłaby się spodziewać. Maggie już zauważyła, że w Sandhills komórka czasami nie

ma zasięgu. Usiadła wygodnie i czekała, patrząc na rozkołysane czerwone i złote trawy. Nie pamiętała, by kiedykolwiek widziała tak ciemny odcień błękitu nieba. Nie przypominała sobie także, by miała przed sobą tak rozległą przestrzeń, gdzie widoku nie zasłaniały żadne budynki.

Pomyślała o Lucy Coy, która mieszkała tutaj sama ze swoimi psami. Większość ludzi uznałaby, że jest bardzo samotna, ale Maggie świetnie ją rozumiała. Samotne przebywanie nie równa się samotności. Prawdę mówiąc, Maggie już dawno temu uświadomiła sobie, że kojarzy bycie samą z poczuciem bezpieczeństwa. Taki pogląd chronił ją w dzieciństwie, w czasie małżeństwa i rozwodu, i nadal kierował jej życiem osobistym.

A potem pojawił się Benjamin Platt.

Lubiła z nim przebywać, lubiła jego milczącą obecność. Nigdy nie znała nikogo – prócz Gwen Patterson – przy kim mogłaby być sobą i nie przepraszać za ryzyko związane z pracą, za swoją niezłomną niezależność. Wiedziała, że na Benie może polegać i liczyć na niego w potrzebie, tak samo jak mogła polegać na Gwen. Ben rozumiał, że niezależnie od konsekwencji zawsze robiła to, co należy. Do pewnego stopnia dzielił z nią ten impuls.

Potrafił ją rozśmieszyć. Rozumiał jej poczucie humoru. W ciągu niespełna roku został jej bliskim przyjacielem. Ufała mu. Ale ostatnio, ilekroć o nim myślała, przypominała sobie dreszcze po ich jedynym pocałunku. Od tamtej chwili minął prawie miesiąc, a wciąż tkwiła w jej głowie. Doprawdy, to głupie. Pewnie zbyt długo odmawiała sobie

podobnych wrażeń. Bo tak było łatwiej, niż komplikować sobie życie bliskimi związkami. Zresztą niezwykłe emocje, które towarzyszyły tamtemu pocałunkowi, wiele zawdzięczały też zbliżającemu się huraganowi. Tak przynajmniej sobie powtarzała. A teraz się unikali. No, może niezupełnie. Codziennie rozmawiali przez telefon. Ich wypełnione obowiązkami kalendarze nie pozwalały na wspólne spędzanie czasu. Tak, byli zbyt zajęci – to także wciąż sobie powtarzała.

Siłą woli wróciła do komputera. Miała pewne przeczucie i przed rozmową z Amandą chciała coś sprawdzić. Po kilku próbach znalazła to, czego szukała. Nie było to jednak dokładnie to, czego się spodziewała.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Chicago

Deszcz nie odpuszczał. Platt odnosił wrażenie, że pada jeszcze mocniej. Samochodu, który wypożyczył Bix, nie podstawiono przed wejściem do budynku, choć prosił o to szef CDC, co dało mu kolejny powód do wybuchu złości. Patrzyli na inspektora sanitarnego, który w komicznych podskokach zdążał do swojego samochodu, przeskakując kałuże i zasłaniając się teczką jak parasolem. Mimo to ani Biksa, ani Platta to nie rozbawiło.

– Pański przyjaciel wziął nas za skończonych głupków – rzekł Platt.

Bix uderzał o ceglaną ścianę parasolem, który gwałtownie się otworzył.

– Pieprzone szukanie wiatru w polu – zgodził się. – Przekonajmy się, czy ten sukinsyn jest gdzieś w pobliżu.

Uniósł parasol, zapraszając pod niego Platta.

– Wysłał nas taki szmat drogi, żebyśmy stwierdzili naruszenie wymogów sanitarnych? Po co?

Bix wzruszył ramionami. Nie miał na to pytanie odpowiedzi i wydawał się nieco zakłopotany, że jej nie zna.

Za rogiem zobaczyli ogrodzenie z łańcucha i budkę strażnika. Żadnego samochodu, żadnego kierowcy. Za ogrodzeniem znajdowała się inna część zakładu

przetwórczego. Tak to przynajmniej wyglądało na pierwszy rzut oka. Dom miał taką samą ceglaną fasadę, z głównym budynkiem łączyło go osłonięte przejście. Różnił się jednak sposobem zabezpieczenia. Strażnik w małej budce był uzbrojony i miał na sobie wojskowy mundur.

– Co tam jest? – spytał Platt, widząc, że Bix jest równie jak on zaskoczony.

Przez szybę widzieli opancerzony pojazd wyjeżdżający zza chronionego budynku. Najwyraźniej do tej części zakładu istniało osobne wejście.

– Zobaczymy, co jest w środku? – spytał Platt, kiedy wciąż stali na deszczu.

– Taa, zobaczmy.

– Mogą wezwać brygadzistę, żeby za nas poręczył.

– Coś mi mówi, że ten gość nie ma wiele do powiedzenia w tej części zakładu.

– Mamy dokumenty z USAMRIID i CDC. Ja jestem w mundurze.

– Czy mogą nas za coś takiego oddać pod sąd wojskowy?

– Jest pan cywilem, więc nie podlega pan sądom wojskowym.

Bix zastanowił się, wreszcie powiedział:

– Okej, zobaczmy, jak daleko uda nam się wejść.

Po kilku minutach znaleźli się wewnątrz. Po zaledwie dziesięciu minutach obaj zdali sobie sprawę, że to właśnie miał na myśli anonimowy informator, kiedy ich tutaj wysyłał. Platt był pod wrażeniem. Laboratoria dorównywały tym, w których na co dzień pracował. W podejrzany sposób

przypominały mu USAMRIID, ale ten z przeszłości, nie obecny.

Mężczyźni i kobiety w białych laboratoryjnych fartuchach pracowali przy cyfrowych mikroskopach i przed ekranami komputerów. Wzdłuż ścian stały rzędy monitorów. Platta i Biksa poinformowano, że laboratoria są prowadzone przez Departament Rolnictwa i że kontynuuje się w nich badania nad hybrydami i zmodyfikowaną genetycznie żywnością. Dla Platta brzmiało to sensownie, póki nie dotarli do pomieszczenia, gdzie znajdował się ogromny mikroskop elektronowy i inny bardzo nowoczesny i specjalistyczny sprzęt. Platt znał go do tej pory wyłącznie z laboratoriów USAMRIID.

Kierownik zakładu przedstawił się jako Philip Tegan. Powiedział, że jest przyzwyczajony do wizyt oficjeli – ich dokumenty zrobiły na nim duże wrażenie – którzy chcą zobaczyć, co się tu dzieje. Prawdę mówiąc, wydawał się dziwnie podekscytowany poznaniem Platta i stwierdził, że już najwyższy czas, żeby odwiedził ich ktoś z USAMRIID.

Wtedy Platt nonszalancko zapytał:

– A to dlaczego?

Tegan, którego wąskie oczy rozdzielone haczykowatym ostrym nosem i trzęsąca się broda upodabniały do ptaka, zaśmiał się skrzekliwie nigzym wrona, jakby usłyszał dobry żart.

– Cóż, z powodu fantastycznych pionierskich programów USAMRIID z lat siedemdziesiątych. Można rzec, że podążamy waszymi śladami.

– Doprawdy?

Platt ukrył zdumienie i zignorował spojrzenie Biksa, które mówiło: „O co, kurwa, chodzi?”. Zamiast tego próbował zachęcić Tegana do dalszych zwierzeń, ale ten roztropnie zamilkł.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Nebraska

Matka Amandy przygotowała kawę i ciasteczka, jakby Maggie przyszła z towarzyską wizytą. Maggie pamiętała, co szeryf mówił na temat pozycji tej rodziny w okolicy, więc nie była zdziwiona, widząc Cynthię Griffin w sobotnie popołudnie w pełnym makijażu, z jaskrawoczerwoną szminką i idealną fryzurą. Choć miała na sobie kosztowny sportowy strój, nie wyglądała na przyzwyczajoną do sportowego wysiłku, nie mówiąc już o joggingu.

– Powiedziałam Amandzie, że pani już jest – oznajmiła. – Mike'a nie ma w domu. Nie mówiłam mu o pani wizycie. – Trajkotała nerwowo, jakby chciała czymś wypełnić ciszę. – Bardzo się stara chronić Amandę i mnie. Od śmierci Johnny'ego jest niezwykle czujny. To straszne, co stało się z Johnnym, prawda? A teraz te dziewczyny... Po prostu straszne.

Chciała zaprowadzić Maggie do salonu i wskazać jej miejsce na sofie. Na wprost sofy na stoliku o szklanym blacie stały delikatne filiżanki i deserowe talerzyki z białej lśniącej porcelany ręcznie malowanej w maleńkie różowe i fioletowe kwiatki.

Maggie jednak zatrzymała się w progu i czekała, aż Cynthia Griffin to zauważy. Ułożone w przyjazny uśmiech

wargi Cynthii zadrżały, ale uśmiech pozostał, trzeba jej to przyznać, jakby był na stałe namalowany na jej twarzy jak kwiatki na porcelanie.

– Myślałam, że sobie tutaj z Amandą pogawędzicie. Tu jest o wiele wygodniej niż w jej pokoju.

Maggie ani drgnęła. I tak już poszła Amandzie na rękę, spotykając się z nią na jej terenie, w jej domu. Nie miała ochoty na kolejne ustępstwa.

– Ona teraz prawie nie wychodzi ze swojego pokoju – rzekła pani Griffin. Wciąż się uśmiechała, ale w jej ton zakradł się smutek. – Bardzo to wszystko przeżyła. A i tak mojej córce nie było łatwo, odkąd pobraliśmy się z Mikiem.

W tym momencie Maggie zrozumiała, że w rodzinnym salonie Amanda czułaby się jeszcze mniej komfortowo niż ona.

– Czy któreś z nich są z malinami? – Maggie udała, że jej uwagę przyciągnęły ciasteczka, oszczędzając pani Griffin uciekania się do kolejnego kroku, którym, jak się obawiała, byłoby błaganie.

– O tak. Te posypane cukrem pudrem. – Jej twarz pojaśniała, machała odzianymi w spandeks rękami jak skrzydłami. Nalała kawę, zanim Maggie zdążyła podziękować. – Śmietanka czy cukier?

– Dziękuję, wolę czarną – odparła Maggie, nie tłumacząc, że i tak nie wypije kawy, niezależnie od dodatków.

– Amanda uwielbia ten wyborny gatunek. To oczywiste. Jest bardzo drogi. – Pani Griffin zaśmiała się krótko, zabrzmiało to jak pomruk.

Maggie jej współczuła. Otaczały ją piękne kosztowne przedmioty pochodzące od najlepszych projektantów, prawdziwe złocenia, najlepszej jakości tkaniny i drewno, rzadkie kolekcjonerskie egzemplarze porcelany i ceramiki. Nie było tam nic taniego i sztucznego prócz niej samej.

Przeszła przez pokój, podczas gdy pani Griffin ułożyła lniane serwetki i nałożyła na talerzyki ciastka, nie naruszając ani warstwy cukru pudru, ani lukru. Maggie przyjrzała się półce nad kominkiem, gdzie stało ponad dziesięć oprawionych w ramki fotografii różnych rozmiarów i kształtów. Amanda jako niemowlę. Pani Griffin ze swoją nową rodziną, wszyscy wystrojeni i uśmiechnięci. Zdjęcie ślubne państwa Griffin. I znów Amanda w różnym wieku. Uwagę Maggie przyciągnęło inne zdjęcie.

Trzej wojskowi w mundurach polowych stali na tle czołgu na ciągnącym się w nieskończoność piasku. Ten w środku, młody Mike Griffin, obejmował kolegów ramionami i uśmiechał się do obiektywu.

Już prawie odwracała wzrok, kiedy zdała sobie sprawę, że zna także mężczyznę po lewej. Przyjrzała się uważnie. Nie, nie myliła się. To był Frank Skylar.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Nebraska

Wesley Stotter nie wierzył własnym oczom. Zrobił już ponad pięćdziesiąt zdjęć i martwił się, że nie starczy mu miejsca na dysku w cyfrowym aparacie.

Wziął ze sobą lewarek, ale ze zdumieniem stwierdził, że drzwi są otwarte. Klawiatura obok drzwi sugerowała, że wstęp jest ograniczony. Stotter podejrzewał, że ktoś tam był i wyszedł tylko na chwilę, chociaż nikogo nie widział. Gdyby wpadł na jakiegoś pracownika, zacznie udawać, że się zgubił. Jak brzmi to stare powiedzenie? Łatwiej prosić o wybaczenie niż o pozwolenie?

Z zewnątrz budynek był bardzo prosty i zwyczajny. Wewnątrz Stotter ze zdumieniem ujrzał pobielone ściany i robiący wrażenie labirynt blatów z nierdzewnej stali zapełnionych dziwnym sprzętem i przyrządami, które wyglądały jak narzędzia chirurgiczne. Między blatami stały różnej wielkości cylindryczne zbiorniki. Kilka z nich sięgało od podłogi do sufitu. Wypełniał je jakiś płyn, w którym coś pływało. Wszystkie zbiorniki emitowały niesamowitą niebieską poświatę. Prawdopodobnie wewnątrz nich znajdowały się lampy fluorescencyjne.

Wbudowana szafka z oszklonymi zamkniętymi na kłódkę drzwiami mieściła rozmaitość innych przyrządów, jakich

Stotter nigdy dotąd nie widział. Na pierwszy rzut oka przypominały rekwizyty z filmu „Gwiezdne wojny”. Albo – i to go podekscytowało – broń zabraną ze strąconego na ziemię statku kosmicznego. Jeden z przedmiotów wyglądał jak karabin z lunetą, tyle że wykonany był z dziwnego metalu i miał osobliwy dodatek na lufie. Przewód elektryczny – tyle że grubszy – łączył karabin z plecakiem z grubego płótna.

Obok karabinu wisiało kilka różnych par gogli. Stotter przykucnął, żeby im się przyjrzeć. Jedne z nich miały wypukłe zielone szkła z maleńkimi czerwonymi kropkami. Podejrzewał, że były to okulary do patrzenia w nocy. Czyżby właśnie je nosiło owo dziwne stworzenie, które widział biegnące przez las? A zatem czy to był człowiek?

Zanim ruszył do kolejnego pomieszczenia, chciał zrobić zbliżenia zbiorników. Ustawił aparat na tryb „zmierzch”, żeby uzyskać dobrą jakość zdjęć niezależnie od fluorescencyjnej poświaty. Dopiero w tym momencie zauważył, że ręce mu drżą. Koszula przykleiła się do pleców, broda była mokra od potu.

Zdawało mu się, że usłyszał otwierające się drzwi, i znieruchomiał.

Zgasł mi silnik. Zgubiłem drogę.

Starał się przygotować swoją historię, podchodząc bliżej zbiorników.

Zafascynowało mnie wszystko, co tutaj macie – tak im powie.

Ale musi schować aparat do plecaka, bo inaczej bez dwóch zdań mu go zabiorą.

Rozejrzał się, ale nikogo nie zobaczył. Może to znowu jego wyobraźnia? Jakiś silnik zaczął szumieć, nad głową Stottera ruszył wentylator. Stotter wypuścił powietrze i otarł czoło. Oczywiście, to tylko sprzęt włącza się i wyłącza. Mimo wszystko musi się pośpieszyć. Nie wolno kusić losu.

W pierwszym zbiorniku pływały duże liście. Mnóstwo ułożonych w warstwy liści. Wspaniałe, nadzwyczaj duże liście z czerwonymi żyłkami. Płyn w zbiorniku zachowywał ich świeżość. Stotter pstryknął kilka fotek i przeniósł się do następnego zbiornika.

Patrzył na niego parę minut. Pięć bardzo różnych obiektów, różnych kształtów, wielkości i konsystencji. Wyglądały na organiczne, ale były niemal przejrzyste, niebieska poświata prześwietlała je miejscami i podkreślała coś, co przypominało sieć żył i naczyń krwionośnych. Znów przykucnął, żeby obejrzeć je od dołu i wtedy rozpoznał znajdujący się naprzeciw niego obiekt. Zaszokowany odskoczył gwałtownie. Nogi się pod nim ugięły. Upuścił aparat, który przejechał po podłodze.

Gdzieś w budynku włączył się kolejny silnik, mimo to Stotter nie zdejmował wzroku z przedmiotu.

Nie od razu go zidentyfikował. Ale nawet patrząc pod tym kątem – gdy tak siedział na zimnej, wyłożonej płytkami podłodze – Stotter był pewien, że widzi ludzkie oko.

Dźwignął się na kolana, wciąż patrząc na zbiornik i obserwując pływające w nim obiekty. Teraz mógł już postawić hipotezę, więc starał się skupić, starał się przypomnieć sobie wszystkie części ciała, których brakowało okaleczonym krowom i bykom, gdy właściciele je znajdowali. Ponieważ Stotter był niemal pewien, że właśnie trafił na niektóre z tych brakujących części.

Wciąż nie spuszczał wzroku ze zbiornika, sięgając po aparat, który nie upadł zbyt daleko. Na jego rękę spadł ciężki but i Stotter usłyszał trzask kości własnych palców. Krzyk bólu przerwał drugi but, który go kopnął pod brodę, aż głowa mu odskoczyła.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

Nebraska

– Szeryf Skylar nie wspominał, że służył z pani mężem – rzekła Maggie, zauważając drugie zdjęcie tych samych trzech mężczyzn, tyle że tym razem byli w maskujących strojach do polowania. Pozowali obok jelenia powieszonego na drzewie. Skylar i drugi mężczyzna mieli strzelby. Mike Griffin znów stał pośrodku i demonstrował jeden z największych noży do polowania, jakie Maggie widziała.

– O tak, służyli razem. – Pani Griffin podeszła bliżej i palcem wskazującym przejechała po ramce pierwszego zdjęcia.

Potem jej palec przesunął się wzdłuż trzeciego mężczyzny, tego, którego Maggie nie rozpoznała. Ten czuły gest wydawał się dziwny, Maggie po raz pierwszy widziała na twarzy Cynthii Griffin prawdziwe emocje.

Podniosła wzrok na Maggie. Nie była zażenowana ani skruszona.

– Mike, Frank i mój pierwszy mąż, Evan, brali udział w operacji Pustynna Burza – wyjaśniła. – To zdjęcie zostało zrobione tuż przed ich powrotem. Niestety Evan nie wrócił z nimi do domu.

– Przykro mi.

– Evan i Griffin byli inżynierami. Gwardia Narodowa miała tylko wspierać żołnierzy. Tak mówił Evan, kiedy się zaciągnął.

– Mamo?

Cynthia Griffin prawie podskoczyła i to była jej ostatnia niekontrolowana reakcja, jaką Maggie widziała tego dnia.

– Och, Mandy. Agentka O’Dell chce z tobą znowu porozmawiać.

– Jeśli chodzi o Courtney i Nikki, nic nie wiem.

– Nie przyszłam w ich sprawie.

Dziewczynie mimo starań nie udało się skryć ulgi. Odgarnęła włosy, które, choć świeżo umyte i uczesane, wciąż wpadały jej do oczu. Skóra wyglądała na zdrowszą, oczy nie były przekrwione, a źrenice powiększone.

Maggie czekała, patrząc, jak pani Griffin instruuje córkę, gdzie ma usiąść i przypomina, że to jej ulubiona kawa, stawiając przed nią filiżankę.

– Od rana nic nie jadłaś – powiedziała z troską, podsuwając córce jedno ze zgrabnych ciasteczek.

– O Johnnym też nie chcę mówić – stwierdziła Amanda, tym razem zwracając się do swojej matki.

– Posłuchaj – rzekła Maggie, podchodząc do stolika ze szklanym blatem i siadając naprzeciw Amandy. – Obiecuję, że żadne z moich pytań nie będzie dotyczyło Johnny’ego, Courtney ani Nikki. Nie zapytam nawet o czwartkowy wieczór.

Amanda spojrzała spod kosmyka włosów i tym razem zaczesała go za ucho.

– Okej – zgodziła się. – Co pani chce wiedzieć?

– Opowiedz mi o Taylor Cole. – Maggie zobaczyła zaskoczenie na twarzy Amandy. – Była twoją przyjaciółką, prawda?

Maggie wciąż patrzyła na Amandę, lecz kątem oka widziała też panią Griffin, która przycupnęła na oparciu fotela w stylu królowej Anny.

– Taa, chyba tak. – Dziewczyna udawała, że nie jest zdziwiona.

– Byłaś z nią wtedy, kiedy skoczyła z mostu?

– Nie tylko ja.

– Ona nie skoczyła – dodała szybko pani Griffin. – To był wypadek.

– Wiem o szałwii – oznajmiła Maggie, pozwalając, by to dotarło do pani Griffin, która teraz opadła na fotel.

– Założę się, że Dawson puścił farbę – stwierdziła Amanda, krzywiąc się z niesmakiem.

– Taylor była twoją najlepszą przyjaciółką do chwili, gdy zrobiła maturę i szykowała się do college'u. – Maggie nie powiedziała na głos tego, co myślała – że Amanda czuła się opuszczona przez Taylor. A za rok miał ją opuścić Johnny, kiedy dostanie stypendium sportowe do jakiegoś college'u na Florydzie albo w Kalifornii.

Amanda odsunęła talerz, a Maggie zrozumiała, że to już koniec rozmowy.

– Taylor się nie poślizgnęła i nie spadła z mostu, prawda? Wszyscy byliście naćpani szałwią i jedna z was odważyła się skoczyć.

– Dosyć – rzekła pani Griffin, stając na nieco chwiejnych nogach. – Nie musisz o tym mówić, Amando. Agentko O’Dell, proszę wyjść.

Maggie nie dyskutowała. Wyszła bez słowa. Dostała to, po co przyszła.

Teraz wszystko zaczynało mieć sens. Amanda była tą, która inicjowała narkotykowe imprezy. W ten sposób kontrolowała przyjaciół, których zaprosiła do swojego grona. Kiedy jednak grozili, że od niej odejdą, znajdowała sposób, by im odpłacić.

Maggie nie miała pewności, że to Amanda namówiła Johnny’ego do samobójstwa, ale wiadomości tekstowe, które czytała, wyjaśniały, na czym polegała ich relacja. Czy Amanda przekonała Johnny’ego, że nie ma już przed nim przyszłości? Że utknie z nią na zawsze w Sandhills w Nebrasce? Być może nie sądziła, że ta perspektywa skłoni go do odebrania sobie życia. A może się tego spodziewała?

Kiedy Dawson pytał o Amandę, dowiedziawszy się od Maggie o śmierci Johnny’ego, Maggie zakładała, że martwił się o dziewczynę – może dlatego, że po cichu się w niej podkochiwał. Teraz zrozumiała, że zadając to pytanie, Dawson był przerażony, a nie zmartwiony. Chciał wiedzieć, czy wciąż musi się obawiać Amandy. A co z Courtney i Nikki? Tego Maggie jeszcze do końca nie rozgryzła.

Nie wiedziała też, kto w czwartkową noc zaatakował nastolatków w lesie. Być może nie było to związane z późniejszymi zgonami. Zastanawiała się jednak, dlaczego

szeryf Skylar ukrył fakt, że był starym przyjacielem Mike’a Griffina, kiedy przesłuchiwał jego pasierbicę. Czy manipulował sprawą Taylor Cole, żeby chronić Amandę?

Frank Skylar to były wojskowy. Jeżeli przeciwko tym dzieciom użyto broni laserowej, którą opisywali Donny i Platt, to z pewnością należała do kogoś, kto miał powiązania z wojskiem. Być może przypuszczenie, że Skylar ma coś wspólnego z tymi atakami, jest nieuzasadnione. A jednak Maggie nasuwało się pytanie, co jeszcze ukrywa przed nią szeryf Skylar.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

Chicago
Lotnisko Międzynarodowe O’Hare

Podczas całej podróży z północnej części Chicago na lotnisko O’Hare Platt i Bix nie zamienili ani słowa. Byli zaszokowani, wyczerpani, przytłoczeni. Teraz, ukryci w tłumie podróżnych, nareszcie poczuli się bezpiecznie.

Bix odsłuchał wiadomości i odbył kilka rozmów telefonicznych. Platt kupił dużą kawę. Zastanawiał się, czy wziąć także coś do jedzenia, ale wciąż czuł zapach surowej wołowiny.

Bix zamknął telefon i głęboko odetchnął, jakby cały dzień wstrzymywał oddech.

– Znamy już powód, dla którego nikt nie potrafił zidentyfikować tego szczepu salmonelli – rzekł, kręcąc głową i pocierając skronie. – On się zmienia.

– Mówił pan już, że to może być jakiś zmutowany szczep.

– Nie. Mam na myśli, że ulega zmianie po dostaniu się do ludzkiego organizmu. Piętnaście ofiar z Norfolku, które wypuszczono ze szpitala jako zdrowe, dwa dni temu tam wróciło.

– Może niektóre osoby potrzebują więcej czasu na walkę z tą bakterią.

– Ale mówią mi, że po sześciu dniach sama bakteria wygląda inaczej niż czwartego dnia.

– To znaczy jak?

– Jest silniejsza. Bardziej odporna. Jakby się zmutowała, żeby skuteczniej zaatakować nowe środowisko. Przyczepia się do ścian jelita.

– Zakażenie salmonellą leczy się antybiotykami, zwłaszcza jeśli infekcja się utrzymuje albo rozprzestrzenia. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Tak właśnie myśleli. Jak dotąd leczenie wydaje się bezskuteczne.

– Bakteria jest odporna na działanie antybiotyków?

– W większości wypadków.

– Trzeba dobrać koktajl antybiotyków.

– A jeśli to coś, co oni wyhodowali? – spytał Bix niemal szeptem. – Niech mi pan powie, dlaczego ten gość, Tegan, tak się podniecił na widok kogoś z USAMRIID. I o jakich projektach z lat siedemdziesiątych mówił?

Philip Tegan, kiedy do niego dotarło, że dwaj mężczyźni, których wpuścił do swojego zakładu, niezależnie od swoich imponujących dokumentów prawdopodobnie nie są świadomi wszystkich tajnych prac prowadzonych w jego laboratoriach, oprowadził ich po terenie. Opowiedział im o rozmaitych hybrydowych uprawach, które stanowiły rezultat modyfikacji genetycznej. Pokazał im z najdrobniejszymi szczegółami, jak im się to udało. Poinformował, że w Stanach Zjednoczonych siedemdziesiąt siedem procent ziaren soi i osiemdziesiąt pięć procent

kukurydzy jest genetycznie zmodyfikowanych. Uprawy będące efektem biotechnologii wymagają mniej pestycydów, mniej wody i emitują do atmosfery mniej tlenku węgla. Same dobre rzeczy. Kiedy sceptyczny Bix zapytał, czy to jest zdrowe, Tegan zapewnił, że tak, oczywiście, i że te uprawy służą wyłącznie jako karma dla zwierząt. W żadnym razie nie są przeznaczone do konsumpcji dla ludzi.

W Chinach, powiedział im, stworzono nowy rodzaj kukurydzy, zawierający enzym, który pomaga trawić fosfor. Dzięki temu w odchodach świń zmniejsza się ilość tego pierwiastka. Fosfor, kontynuował, to jeden z największych trucicieli dróg wodnych.

– Czy to nie fantastyczne?

Ale kiedy Bix spytał, jaki to ma wpływ na ludzi, którzy jedzą mięso świń karmionych tą wyjątkową kukurydzą, Tegan odparł ze śmiechem:

– Poczekamy, zobaczymy, co?

Platt słyszał o tej technologii. Wiedział także, że Tegan nie zaprowadził ich ani do laboratoriów strzeżonych przez żołnierzy, ani do tych, z których wyjeżdżał opancerzony pojazd. Nie zobaczą ich. W każdym razie nie podczas tej wizyty.

– Więc czym zajmował się USAMRIID w latach siedemdziesiątych? – spytał w końcu Bix, kiedy Platt zbyt długo się wahał.

– Podczas zimnej wojny ścigano się, kto stworzy doskonalszą broń. Zanim Rosja i Stany Zjednoczone

podpisały traktat o zakończeniu tego wyścigu, USAMRIID prowadził program mający na celu rozwój broni biologicznej.

– Jak gaz musztardowy?

– Jak gaz musztardowy. I wąglik. I wirusy, które mogłyby zaatakować całą populację.

– Jezu – rzucił Bix. – A teraz zamierzają coś podobnego zrobić z żywnością?

Siedzieli, patrząc przed siebie i czekając, aż ogłoszą lot do Waszyngtonu.

– Jak zadzwoni pański przyjaciel – Platt nadal posługiwał się tym kryptonimem dla określenia informatora, choć nie było to już konieczne, tyle że weszło mu w krew – niech mu pan powie, że musimy się z nim spotkać.

– Nie zgodzi się.

– Niech pan powie, że musi to zrobić, bo inaczej zorganizujemy konferencję prasową.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIĄTY

Nebraska

Maggie przebrała się w szorty, bluzę i buty do biegania, chociaż słońce już zachodziło i robiło się chłodno. Chciała oczyścić umysł, wyciszyć się, rozluźnić mięśnie.

Na stole kuchennym zostawiła kartkę dla Lucy, a potem razem z Jakiem wybiegła z domu. Owczarek niemiecki już rozumiał, że to zabawa, a nie ucieczka przed niebezpieczeństwem.

Dzwoniła do Donny'ego, ale niemal natychmiast włączyła się sekretarka. Chciała mu powiedzieć o Amandzie Vicks i o tym, że szeryf Skylar ukrywał dowody w sprawie Taylor Cole.

Dzięki swoim ograniczonym źródłom Maggie dowiedziała się, że Taylor Cole ukończyła to samo liceum, do którego uczęszczali jej koledzy. Jeszcze miesiąc temu Taylor szykowała się do wyjazdu na studia na Uniwersytet Stanu Nebraska w Kearney. Jej rodzice i przyjaciele zgodnie twierdzili, że nigdy nie widzieli Taylor tak szczęśliwej, podnieconej i niecierpliwie czekającej na nowe wyzwania. Nikt by nie przypuszczał, że postanowi zakończyć życie, skacząc z mostu na autostradzie 83 i z ogromnej wysokości spadając w fale wartkiej i dzikiej rzeki Dismal.

Oczywiście musieli uznać to za wypadek, chociaż tego też nikt nie potrafił wytłumaczyć. No i nie było żadnych zeznań świadków. O ile Maggie się orientowała, śledztwo umorzono. Krążyła tylko plotka, że dzieciaki biorą narkotyki. Niestety, w każdej plotce jest zwykle ziarno prawdy. Tego dnia Amanda potwierdziła, że ta plotka jest prawdą.

Maggie rozumiała, że szeryf dbał o reputację ofiary, a może chciał chronić jej bliskich. Co takiego powiedziała Lucy? Że rodzice, dowiadując się rozmaitych rzeczy o zmarłym dziecku, mogą się załamać. Skylar mógł uznać, że nie ma sensu narażać na coś takiego rodziców Taylor Cole. I tak już opłakiwali śmierć córki. Ale postępując w ten sposób, odpuszczał wszystkim zamieszanym w sprawę nastolatkom.

Maggie zobaczyła, że Jake nadstawił uszu. Zaczął ją zaganiać na skraj ziemistej drogi, zanim usłyszała słaby szum silnika zza wzniesienia z tyłu. Tym razem posłuchała psa i przesunęła się na lewe pobocze. Jeżeli kierowca jej nie zobaczy, dopóki nie zacznie zjeżdżać ze wzgórza, ona i tak będzie czuć się bezpiecznie po tej stronie. Poza tym włożyła białą bluzę, żeby być lepiej widoczną o zmierzchu. To jednak nie uspokoiło Jake’a.

Samochód zbliżał się, zwalniając na szczycie wzniesienia. Maggie obejrzała się. Włączone reflektory nie pozwalały zobaczyć, kto jest za przednią szybą. To był pikap albo suv, auto o wysokim podwoziu. Może to ten sam młody człowiek, który poprzedniego dnia o mały włos jej nie potrącił.

Bardzo zwolnił, posuwał się nieśpiesznie. Nazbyt ostrożnie. Nie oglądając się za siebie, Maggie mu pomachała, żeby jechał dalej. Biegła, ignorując szturchającego ją nosem Jake’a. Potem pies zawarczał.

Poczuła ostry ból w środku pleców, nim zdała sobie sprawę, że została potrącona. Upadła na kolana. Miała wrażenie, że przeszedł ją prąd. Chciała sięgnąć ręką do tyłu, żeby chwycić to, co wbiło jej się w plecy, ale nie była w stanie poruszać rękami.

W ogóle nie mogła się ruszyć.

Dlaczego nie rusza rękami, dłońmi, palcami?

Upadając, nie zdołała się na nich oprzeć i wpadła policzkiem w chrzęszczący piach. Dostała skurczu mięśni. Nie panowała nad odruchami. Głowa kręciła się w lewo i w prawo, a ona nie mogła tego powstrzymać. Ale to był jedyny ruch, do którego była zdolna. Nadal nie mogła się poruszyć. Była sparaliżowana.

Usłyszała skomlenie Jake’a i otworzyła usta, żeby kazać mu biec dalej. Biec do domu. Ale z jej ust dobył się tylko jakiś bełkot, głos był tak słaby i cichy, że ledwie go poznawała.

Przed jej oczami pojawiły się ciężkie buciory. Nie słyszała, jak się do niej zbliżały. Niczego już nie słyszała prócz walenia własnego serca, które przypominało głuchy odgłos w tunelu.

Poczuła smak piasku i uświadomiła sobie, że wciąż ma otwarte usta. Nie mogła ich zamknąć. Nie mogła też podnieść wzroku. Świat kręcił się, przekrzywiał się na boki.

Jedyne, co widziała, to stojące przed nią ciężkie buty, uwalane błotem, pachnące rzecznym mułem.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Julia Racine rzuciła gazetę na łóżko obok Rachel. Nie zrobiło to takiego wrażenia, na jakie liczyła, a jednak wystarczyło, by odwrócić uwagę Rachel od iPada i irytującej gadaniny ekspertów CNN.

– Nigdy nie czytasz mojej kolumny – rzekła Rachel, zerkając na gazetę, którą Julia dla większego efektu odpowiednio złożyła.

Julia była zmęczona. Straciła wolny dzień, po którym miała długi dyżur. Między innymi trafili jej się dwaj dilerzy narkotyków, którzy się nawzajem wykończyli, robiąc miastu przysługę, ale pozostawili po sobie krwawą jatkę na parkingu zabitej deskami i opuszczonej stacji benzynowej. Oczywiście w sąsiedztwie nikt niczego nie widział. Potem podczas przerwy rzuciła okiem na porzucony egzemplarz „Washington Post”. Niezależnie od tego, co myślała Rachel, Julia czytała jej kolumnę, a także każdy dociekliwy artykuł śledczy, który napisała, odkąd się poznały. Może nie zawsze jej o tym mówiła.

– Obiecałaś, że nie wykorzystasz tego, co ci powiedziałam.

– Nie wykorzystałam.

– A grzebanie w szkolnym śmietniku w poszukiwaniu dowodów?

– Okej, ale to zbyt barwne, żeby pominąć. Daj spokój, nie pisnęłam ani słowem, co tam znaleziono.

– Spotkanie w Departamencie Rolnictwa późnym wieczorem?

– Chwileczkę. – Tym razem Rachel odłożyła na bok iPada i usiadła prosto, gotowa się bronić. – Mam też inne źródła poza tobą, Julio.

– Kogo znasz w Departamencie Rolnictwa, kto wiedziałby o tak późnym spotkaniu?

– Mamusiu. – CariAnne stanęła w drzwiach sypialni z zaspanymi oczami, blada, ciągnąc ulubioną pluszową zabawkę, misia koalę, któremu brakowało jednego oka z guzika.

– Moment, kochanie – powiedziała Rachel, wyciągając rękę palcami do góry, co znaczyło „nie teraz, kiedy mamusia mówi”. Aż zobaczyła twarz córki. – Co się dzieje, kotku?

– Niedobrze się czuję. Mam biegunkę.

Rachel wyskoczyła z łóżka.

– I zrobiłam czerwoną kupkę.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Nebraska

Maggie nie wiedziała, jak dostała się na tył tego suva.

Pamiętała jeszcze dwa bolesne kopnięcia prądem, coraz bardziej rozdzierające. Czuła, że oczy uciekają jej na tył głowy. Może zemdlała. Nie mogła się skupić. Widziała jak przez mgłę, ogromny ból przeszywał jej ciało. Jej ręce podskakiwały z każdym kopnięciem prądu. Nie panowała nad nimi. Widziała je, jak unoszą się i opadają niczym ręce szmacianej lalki. Mięśnie pleców miała skurczone, zesztywniałe i znieruchomiałe do momentu, gdy po raz kolejny poraził ją prąd.

Teraz leżała na tyle samochodu. Oddychanie sprawiało jej ból, puls był przyśpieszony. Za szybki, o wiele za szybki. Wargi miała wyschnięte, a w gardle tak sucho, że nie mogła przełknąć. A jednak jej usta pozostały otwarte. Czuła ślinę cieknącą po brodzie.

Patrzyła na sufit samochodu. Widziała swoje podkulone, zgięte w kolanach nogi. Tak jej się przynajmniej wydawało, że to jej kolana. Nie czuła ich. Ręce miała przed sobą złączone w nadgarstkach plastikową zapinką. Nie wiedziała, czy nogi są skrępowane w kostkach. Nie widziała ich ani nie czuła.

Jakiś głos coś mędził, rozchodził się, odbijał się echem, głuchy i stłumiony gdzieś nad jej głową. A może w jej głowie? Nie rozpoznawała go. Czy to radio?

– ...powinna wrócić do Denver.

Nie, to on. Mówił do niej. Z przedniego siedzenia, tuż nad jej głową. Ale brzmiało to tak, jakby był wiele kilometrów dalej, na drugim końcu tunelu. Z tego, co mówił, rozumiała tylko drobne fragmenty.

Samochód skręcił, a Maggie się przesunęła. Coś stuknęło o ścianę obok niej. W jej uszach zabrzmiał szczęk metalu. Opony zjechały z asfaltu na ziemię, twardą i zrytą koleinami. Jej ciało podskakiwało, głowa uderzała o sufit. Maggie zalała fala nudności. Wpadła w panikę. Jeśli zwymiotuje, nie będzie mogła się odwrócić. Zadławi się. W głowie jej się kręciło, szukała czegoś, na czym mogłaby się skupić. Jak Dawson potrzebowała czegoś, na czym mogłaby skupić wzrok, skoncentrować uwagę.

Za oknem widziała zmierzchające niebo i zamazane światła. Jak to możliwe, że jest już tak ciemno?

Kolejny zakręt. Kolejny szczęk metalu.

Maggie odwróciła głowę, by nadal widzieć niebo. Przy okazji zobaczyła, co obok niej hałasowało.

O mój Boże, łopata, pomyślała.

Nudności przybrały na sile. Panika rosła.

Gwiazdo, jasna gwiazdo. Moja pierwsza gwiazdo tej nocy.

Na głębokim granacie zmierzchu dojrzała mrugającą gwiazdę i uchwyciła się jej.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt nie miał już czasu jechać z lotniska do domu. Razem z Biksem zjedli kolację w mieście. Old Ebbitt's była jedną z ulubionych restauracji Maggie. Szukali odpowiedniego miejsca w pobliżu pomników. Platt natychmiast przypomniał sobie tę restaurację, i teraz był zadowolony.

Miło było grzać się w blasku starych gazowych lamp i wspominać roześmianą Maggie, która siedziała naprzeciw niego przy stoliku. Ona i jej przyjaciółka Gwen Patterson często tu przychodziły, ale Platta zabrała tutaj tylko raz. Siedzieli w boksie w rogu. Na dworze było parno. Wewnątrz chłodno. Pili piwo, jedli burgery i żywo dyskutowali na temat filmów z Katherine Hepburn i Spencerem Tracym.

Tego wieczoru boksy z wysokim oparciem gwarantowały Biksowi i Plattowi pewną prywatność. A ponieważ nie byli politykami, którzy często tutaj wpadali, nikt ich nie rozpoznał ani nie zauważył. Nikt nawet się nie odwrócił, żeby na nich spojrzeć.

Platt zamówił Sama Adamsa. Bix zmarszczył czoło i poprosił o kawę.

– Spotkamy się z nim za dwie godziny – rzekł Platt. – Chyba mogę wypić piwo. – Gdy Bix wciąż na niego patrzył, ściągając brwi, dodał: – Pan też mógłby się napić piwa.

– Ja nie piję.

– Po dzisiejszym dniu może pan zacznie.

– Musimy coś zjeść. Cały dzień nic nie jadłem. – Bix otworzył menu.

– Byle nie czerwone mięso. Okej? Minie dużo czasu, zanim znowu sięgnę po cheeseburgera.

Kiedy kończyli składać zamówienie, przerwał im telefon Platta. Zamierzał nacisnąć Zignoruj, ale potem zobaczył, że to numer rodziców. Od poprzedniego dnia nie sprawdzał, co u nich słychać. To na pewno ojciec. Wiedział, że matka stale suszyła mu głowę, by zadzwonił do syna.

– Cześć, tato. – Platt zerknął na zegarek. Jeszcze nie rozpoczął się ulubiony wieczorny program telewizyjny rodziców.

– Ben, jesteś już w domu czy wciąż w Chicago?

Nikt prócz Biksa nie wiedział, że pojechał do Chicago. Nie powiedział nawet nikomu w USAMRIID.

– Skąd wiesz, że byłem w Chicago, tato?

Bix podniósł wzrok, stawiając filiżankę tak energicznie, aż wylał na rękę trochę kawy. Nawet jej nie wytarł.

– Wpadł do nas twój kolega.

Platta ścisnęło w żołądku.

– Jaki kolega?

– Wojskowy. Powiedział, że go prosiłeś, żeby do nas zajrzał i zapytał, czy u nas wszystko w porządku.

– Przedstawił się?

– Jack... jak on miał na nazwisko? Twoja matka będzie pamiętała. Z początku nas przestraszył, bo był w mundurze.

Baliśmy się, że coś ci się stało, ale nas zapewnił, że nic ci nie jest. Powiedział, że tylko chciał się przekonać, czy u nas wszystko w porządku, bo ty jesteś w Chicago. Jak ci się tam powiodło?

To było ostrzeżenie. Jeśli chcieli skrzywdzić jego rodziców, mogli już to zrobić. To właśnie dawali mu do zrozumienia, że w każdej chwili mogą ich skrzywdzić. Nie było sensu mówić ojcu, żeby się spakowali i opuścili dom. Żeby przenieśli się do jakiegoś hotelu czy pojechali do uzdrowiska. Nigdzie nie będą bezpieczni. Serce mu waliło. W głowie miał rozmaite scenariusze, ale żaden z nich nie był dobry. Zadzwoni do USAMRIID i w ciągu dwóch godzin przed domem rodziców pojawi się prawdziwy przyjaciel, który będzie ich strzegł.

– W Chicago było w porządku – odparł w końcu.

– Założę się, że zimniej niż tutaj.

– Bardziej mokro. Cały czas padało. – Starał się mówić spokojnie, żeby się nie zdradzić.

– No to cieszę się, że jesteś z powrotem cały i zdrowy. Aha, z mamą dajemy sobie radę. Naprawdę nie musiałeś nikogo przysyłać, żeby sprawdzić, co u nas słychać. Damy sobie radę.

– Wiem, tato.

– Kochamy cię, synu.

– Ja też was kocham. – Zakończył rozmowę i położył telefon na stoliku.

Bix pierwszy przerwał ciszę.

– Pieprzony skurczysyn. W co myśmy, do diabła, wdepnęli?

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Nebraska

Widok na niebo i mrugającą gwiazdę przesłaniały Maggie baldachimy z drzew, jeden za drugim. Byli w lesie, tłukli się po drogach, które nie przywykły do samochodów. Gałęzie drapały w dach suva, sosnowe igły ocierały się o szyby.

A więc tutaj zamierzał ją pogrzebać, gdzieś w głębi lasu, gdzie nie docierają turyści ani myśliwi. Nie zabije jej tak po prostu i nie zostawi na drodze, którą biegła. Ktoś mógł się tam pojawić. Poza tym na tyle jego samochodu byłoby pełno krwi.

Więc używał tasera. Wciąż pamiętała ten ból.

Tak, to musiał być taser.

Haczyki wbiły się w jej plecy przez bluzę. Wystarczyło, że wychylił się przez okno od swojej strony i strzelił. Była łatwym celem. Kiedy haczyki trafiły do celu, prąd przebiegł po drutach dołączonych do karabinu. On miał kontrolę nad tym, jak długo płynął prąd. Kilka sekund obezwładnia ofiarę. Maggie natychmiast upadła. Bez walki. Dodatkowe sekundy zwiększały tylko ból.

Kręciło jej się w głowie, a mimo to próbowała rozwikłać, co się stało. Wciąż nie miała pojęcia, kim jest człowiek siedzący za kierownicą. Kto chciał, żeby była bezradna i cierpiąca? Kto pragnął jej śmierci?

Mięśnie ją rozbolały. Ale to dobrze. To znaczyło, że wraca jej czucie. Chwilowy paraliż mijał. Sądziła, że nieznajomy nie skrępował jej nóg w kostkach, chociaż w nich jeszcze nie miała czucia. Nie, raczej ich nie związał. Chciał, żeby mogła chodzić, nawet kulejąc. Chciał, by stanęła na nogi, żeby ją zaprowadził w głąb lasu. Tak było łatwiej, niż gdyby musiał ją ciągnąć albo nieść. Tak, on każe jej iść do własnego grobu.

Maggie próbowała zgiąć palce. Czuła w nich mrowienie. To też dobry znak. Zobaczyła swoje związane ręce, dopiero kiedy światła hamulcowe rozjaśniły ciemność. Z początku była niemal zdziwiona, że wciąż są z nią połączone. W czerwonej poświacie jej ciało wyglądało na skręcone i połamane.

W głowie jej huczało. Ilekroć podnosiła głowę, zdawało jej się, że eksploduje. Ale widziała już wyraźniej i nudności zelżały. Tętno zwolniło. Nie odnosiła już wrażenia, że serce ucieknie jej z piersi. Nawet w uszach dzwoniło jakoś ciszej.

Było lepiej. Czuła się lepiej.

Lecz suv się zatrzymał, silnik zgasł. Świeciły się światła hamulcowe i przednie reflektory. Słyszała, jak kierowca otwiera drzwi. Zabrał ze sobą kluczyki. Zatrzasnął drzwi. Światło wewnątrz samochodu nie zapaliło się. Musiał je wcześniej wyłączyć.

Samochód otaczała ciemność. W czerwonej poświacie świateł hamowania Maggie widziała drzewa i gęste krzewy. Droga nie była tak naprawdę drogą. Samochód jechał przez wysoką trawę, zostawiając ślady opon, przeciskał się

między pniami drzew. Maggie zastanawiała się, jak on stąd wyjedzie. Dziwne, że się tym martwiła, skoro miała tu pozostać.

Ten człowiek liczył na to, że Maggie jest wciąż oszołomiona i unieruchomiona. Nie rozczaruje go.

Pokrywa bagażnika kliknęła, a Maggie drgnęła. Powiedziała sobie, że to kolejny dobry znak, ale jej serce znów zaczęło walić.

Zawiasy zaskrzypiały i klapa bagażnika uniosła się. W czerwonej poświacie świateł hamulcowych Maggie ujrzała Mike’a Griffina z jego myśliwskim nożem.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt zawsze uważał, że wieczorem pomniki robią większe wrażenie. Ciemność rozpraszały jasne punktowe światła, a obwożeni autokarami turyści szeptali z podziwem, zupełnie inaczej niż ci, którzy zwiedzali tę okolicę za dnia.

Informator zgodził się spotkać z nimi przy pomniku Roosvelta. Czy bohaterowie filmowi nie wybierali raczej pomnika Lincolna? Teraz jednak Platt zrozumiał i docenił wybór. Pomnik Roosvelta nie miał schodów, żadnych pułapek, w które można wpaść. Były tam osobne pomieszczenia, zwane pokojami, ale i to miało swoje dobre strony. Informator mógł spacerować po nich, mijając Biksa i Platta, jeśli nie czuł się swobodnie.

Bix zamienił marynarkę, a Platt kurtkę od munduru na sportową bluzę z logo Smithsonian. Bix niósł zwinięte wierzchnie okrycia w papierowej torbie z tym samym logo, dzięki czemu wyglądali jak turyści.

– Jak myślisz, ile czasu mu dajemy, żeby nas znalazł? – spytał Platt.

– Spóźnia się tylko dziesięć minut. – Bix zerknął na zegarek. – Dwanaście.

Plattowi wciąż nie podobał się ten pomysł, ale nie miał wyboru. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że

informatorem jest ktoś z mediów, reporter, który chce potwierdzić zdobyte przez siebie poufne informacje. Może Biksowi nie przeszkadzało to szukanie wiatru w polu, ale Platt był już tym zmęczony. Zwłaszcza że włączono w to jego rodziców.

Patrzyli na jedną ze ścian, choć żaden z nich nie czytał napisów, kiedy do Biksa podeszła jakaś kobieta. Informator pewnie będzie się trzymał z daleka, póki turyści będą się tu kręcić. Platt szturchnął Biksa łokciem i dał mu znak, żeby przeszli dalej, kiedy kobieta odezwała się:

– Dobry wieczór panom.

Omal nie przetarli oczu ze zdziwienia. Co tutaj robi Irene Baldwin? Dosłownie osłupieli. Czyżby ich śledziła?

Bix rozejrzał się. Platt wiedział, że Bix stara się zorientować, czy właśnie na dobre nie odstraszyli informatora.

– Witam, pani Baldwin – rzekł w końcu Platt, kiedy stało się jasne, że Bix zaniemówił.

– Jak tam pogoda w Chicago?

To były te słowa. Skąd znała hasło, które miał wypowiedzieć anonimowy rozmówca Biksa?

Potem Platt bacznie na nią spojrzał. Baldwin też miała na sobie bluzę z logo Smithsonian, a do tego dżinsy. Rozpuściła włosy. Nawet okulary były nowe. Gdyby nie charakterystyczny głos, mógłby jej nie rozpoznać.

– To pani? – spytał Bix. – Co, do diabła, jest grane?

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Nebraska

– Tutaj pani wysiada, O’Dell.

Griffin chwycił Maggie za kostki i zaczął ciągnąć.

Nie mogła go powstrzymać. Jej stopy nie słuchały głowy, która kazała im go kopnąć. Ledwie czuła jego palce zaciskające się na jej kostkach. Ze związanymi nadgarstkami nie mogła się bronić ani zapobiec upadkowi na ziemię z wysokości bagażnika.

Wylądowała twardo na prawym ramieniu tak boleśnie, że pomyślała, iż się przemieściło. Nowa fala bólu przeszyła górną część ciała. To lepiej, że upadła na ramię niż na głowę. Kiedy jednak ból nie mijał, natychmiast uznała, że może to jednak wcale nie jest lepiej. Poczuła mrowienie, które sięgnęło palców stóp.

Griffina nie obchodziło, że była poobijana. I tak po prostu ją zakopie. Ciągnął ją całą drogę aż na szczyt wzniesienia. W ciemności widziała jedynie tyle, by się zorientować, że to stromy teren. Pamiętała, jak schodziła na miejsce zbrodni. Jeden niefortunny krok i można łatwo spaść i uderzyć o drzewo. Griffin zostawił ją jakieś trzydzieści centymetrów od miejsca, z którego na pewno by się sturlała. Nieważne. Tutaj nie będzie techników kryminalnych, nie będzie koronera ani nawet prokuratora hrabstwa, który oglądałby

wszystkie ślady na jej ciele, ponieważ jej ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

Teraz Griffin wydawał się niezadowolony, że Maggie nie może wstać. Za bardzo się postarał tym swoim taserem. Widziała, że się rozglądał, wymyślał nową strategię, zerkał na swoje ubranie. Zawrócił do suva, nie spuszczając jej z oka, i zajrzał na tył samochodu. Był dość potężny i silny, by ją unieść, ale wyraźnie nie miał na to ochoty. Nie miał na sobie odpowiedniego stroju. Może się śpieszył. Nie chciał ryzykować, że zabrudzi sobie ubranie.

Czy słyszał o jej wizycie u Amandy? Czy to właśnie pchnęło go do tego kroku?

– Dlaczego? – zdołała wydusić. W ustach miała sucho. Czuła smak metalu. Nie była pewna, czy w ogóle ją słyszał.

A jednak na moment znieruchomiał, wreszcie odparł:

– Chciałem tylko nastraszyć tych smarkaczy. – Patrzył na nią, grzebiąc w skrzynce z narzędziami, którą znalazł na tyle suva. – Ciągle myszkowali w okolicy tej hali. Powiedziałem Amandzie, żeby trzymała się od niej z daleka.

A więc to Mike Griffin tamtej nocy użył laserowego paralizatora, pomyślała.

– Mam z nimi korzystny układ. Nie zamierzam go stracić.

– Będą mnie szukać. – Natychmiast zdała sobie sprawę, że to kiepski argument.

– Osiem tysięcy hektarów dolin i wzgórz, a wszystko pokryte drzewami i gęstymi zaroślami. O tej porze roku spadające igły i liście wszystko zakrywają. Za niecały miesiąc spadnie śnieg. Niech sobie szukają. – Zmrużył oczy,

ponieważ Maggie nie znajdowała się już w blasku świateł hamulcowych. Starał się spojrzeć jej w oczy. – I tak pani nie znajdą.

W tym momencie Maggie zrozumiała, że to nie jest człowiek, którego można przekonać. Niejeden raz stawała twarzą w twarz z mordercą. Rozpoznała to puste wydrążone spojrzenie. Kiedy patrzą na ciebie jak na przedmiot, którego należy się pozbyć – przedmiot czy osobę – za późno na argumenty.

Griffin zgiął jedną nogę i prawie wszedł na tył suva, wyciągnął łopatę, plandekę brezentową i linę. Miał nowy plan. Łatwiej zakopać plandekę i linę niż własne ubranie. Był do Maggie częściowo odwrócony tyłem. Nie musiał się obawiać, że mu ucieknie, skoro właśnie udowodniła, że nie jest nawet w stanie uchronić ramienia przed upadkiem na ziemię.

Ale ten upadek szarpnął nie tylko jej obojczykiem. Czuła stopy. Czuła ręce i palce u rąk. Kiedy spróbowała nimi poruszyć i je zgiąć, zrobiła to bez problemu.

Griffin pobrzękiwał czymś na tyle suva. Tutaj nie musiał się przejmować również hałasem. Hank i cała reszta strażników leśnych byli wiele kilometrów dalej. Maggie wykorzystywała te hałasy po to, by ukryć niezgrabne ruchy i nerwowe wdechy. Przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać pojękiwania.

Intensywnie myślała. Za nic nie zdoła go pokonać. Miała przecież związane ręce. Jej mięśnie były słabe, w głowie wirowało. Kluczyki znajdowały się w jego kieszeni. Nie

zdobędzie ich i nie dostanie się do suva. Nie dałaby nawet rady zamierzyć się na niego łopatą.

Zauważyła, że Griffin wchodzi głębiej na tył samochodu. Zrobiła zatem to jedyne, do czego była zdolna. Odetchnęła głęboko i zaczęła się turlać w dół zbocza.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DRUGI

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Platt, Bix i Irene Baldwin znaleźli ławkę ze dwa metry od pomnika, z dala od tras wycieczkowych. I z dala od czyichkolwiek uszu, na co bardzo liczyli.

– Zakład przetwórstwa mięsnego, który odwiedziliście, był wielokrotnie notowany z powodu skażonej wołowiny – wyjaśniła Baldwin. – Mimo to Departament Rolnictwa wciąż od nowa daje im szansę na to, by zaczęli postępować według obowiązujących norm.

– Czy po tylu naruszeniach przepisów nie powinni ich raczej zamknąć?

– O tak, zamknęli zakład. Na dzień albo dwa. Tamci wszystko wyszorowali, więc stało się sterylnie czyste. Ale, gdybyście tego nie zauważyli, przetwarzanie wołowiny to brudny interes. Zawsze mnie dziwi, że nie ma więcej przypadków zanieczyszczenia mięsa.

– A część skażonej wołowiny z tego zakładu trafia do Krajowego Programu Szkolnych Lunchów.

– W końcu sierpnia Departament Rolnictwa złożył trzy zamówienia. Uważam, że to idiotyczne kontynuować zakupy w zakładzie z taką historią, ale ja jestem tam nowa.

– Czy może pani dotrzeć do tych zamówień i sprawdzić, do jakich szkół dotarły? – spytał Platt, chociaż już wiedział,

że to nie będzie łatwe albo okaże się, że ślad po zamówieniach w ogóle zaginął.

– Kiedy towar trafia do stanowych magazynów, w zasadzie nie da się sprawdzić, co się z nim dalej dzieje. Odkryłam, że Krajowy Program Szkolnych Lunchów to niewyobrażalnie skomplikowany labirynt.

– Więc należy wycofać to mięso z rynku?

Irene Baldwin zjeżyła się, wyprostowała plecy. Westchnęła, lecz w tym westchnieniu więcej było irytacji niż ulgi.

– Następnego dnia po zachorowaniach w Norfolku w stanie Wirginia zrozumiałam, że wewnątrz nic nie będę w stanie zrobić.

– Chwileczkę – rzekł Bix. – Wiedziała pani o zachorowaniach już dzień później?

– Tak. A jak pan przypuszcza, dlaczego bym panów do siebie prosiła?

Bix skrzyżował ramiona na piersi. Platt zobaczył, że Bix zaczął ze złości przytupywać prawą nogą.

– Od razu pani wiedziała, że to rzadki szczep salmonelli? – spytał Platt.

– Tak.

– I mimo to nie wysłano do szkół żadnych ostrzeżeń? – Teraz Platt z trudem panował nad irytacją.

– Tego właśnie panowie nie rozumieją. – Po raz kolejny odetchnęła głęboko. Potarła kark. W słabym świetle padającym z pomnika Platt widział zmarszczki w kącikach jej oczu i ust. Nie miała żadnego makijażu. – Oni chcą

uciszyć ten przypadek. Ukryć. Chcą, żeby to przeszło niezauważenie, żeby to potraktować jako kolejne uchybienie. Kiedy przyszli do mnie w zeszłym tygodniu, powiedzieli, że sytuacja została opanowana.

– Nie uwierzyła im pani – rzekł Bix. – Więc zrobiła pani wszystko, żeby mnie w to zaangażować.

– Kiedy usłyszałam o zatruciach pokarmowych w szkole podstawowej w Waszyngtonie, od razu wiedziałam, że musi istnieć jakiś związek. I że na tym nie koniec.

– A skąd pani wiedziała, że to rzadki szczep salmonelli? – spytał znów Platt.

– Ponieważ podali mi nazwę tego szczepu. Sami go stworzyli i dodali do mięsa.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

Nebraska

Pierwsze trzy metry były najgorsze. Maggie spadała w czarną otchłań. Zatrzymała się na skalnym występie, igły sosnowe złagodziły uderzenie. Jakimś cudem nie krzyknęła, chociaż znowu wylądowała na prawym ramieniu. Jeśli Griffin nie słyszał, jak się turlała i spadała, za kilka sekund, może za minutę, jeżeli szczęście jej dopisze, zobaczy, że Maggie zniknęła.

Siłą woli przyzwyczajała oczy do ciemności. Tutaj nawet światła hamulcowe nie rozjaśniały mroku. Wiedziała, że to nie koniec zbocza, nie wiedziała, ile metrów jeszcze przed nią. Uniosła się na czworakach i sprawdziła małą półkę skalną, na której wylądowała. Potem się odwróciła i stopami macała i wyczuwała, co jest poniżej. Nie było tak stromo. Podniosła wzrok. Nie widziała światła latarki, które próbowałoby ją wyłowić z ciemności. Ześliznęła się, wyciągając przed siebie ręce. Nie było specjalnie czego się tam chwycić, ale mogła osłonić twarz i głowę przed zderzeniem z drzewem.

Piasek usunął się spod niej i wpadła w poślizg. Straciła równowagę. Wykręciła się, zjeżdżała na boku.

Za szybko, o wiele za szybko, przemknęło jej przez głowę.

Gałęzie atakowały, kłując i drapiąc. Powinna zwolnić, ale nie mogła się niczego złapać. Nie mogła się zatrzymać. Związane w nadgarstkach ręce nie pozwalały jej chwycić się gałęzi czy skały. Zaciśniętymi w pięści dłońmi starała się osłaniać, ale i one były już posiniaczone. Sunęła niczym tobogan po przeszkodach. Biodrem uderzyła w pień drzewa, rzuciło ją na kolejny pień. Gałęzie trzaskały, kłuły ręce, smagały twarz, wplątywały się we włosy.

Potem nagle po raz drugi się zatrzymała. Wylądowała na plecach.

Patrzyła na górujące nad nią smukłe sosny. W kompletnej ciemności smugi nieba między gałęziami jaśniały od mrugających gwiazd. Widziała szczyt wzniesienia. Dobry Boże, to musiało być co najmniej ze dwadzieścia metrów, ponad sześć pięter.

W ciszy usłyszała pohukiwanie sowy i jednostajny szum cykad. Leżała nieruchomo, bez tchu, pewna, że gdy tylko podniesie głowę, cały świat wokół niej zawiruje.

Trzasnęła jakaś gałąź. Gdzieś na lewo zaszeleściły liście. Siłą woli milczała, nie ruszała się. To niemożliwe. Griffin nie zdołałby tak szybko zejść na dół.

To tylko jakieś zwierzę, powiedziała sobie. Zaraz jednak pomyślała, że to może być ryś albo puma.

Uspokój się, nakazała sobie. Serce, przestań walić, błagam. Oddychaj. Musisz oddychać.

Cała była obolała. Jej knykcie i łokcie były do krwi podrapane. Plastikowa zapinka, która krępowała

nadgarstki, wbijała się w skórę. W ramieniu czuła palący ból. A jednak udało jej się dostać na dół. Zdołała uciec.

W tym samym momencie ujrzała omiatające okolicę światło latarki.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY CZWARTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

– Ich pierwotny zamiar był godziwy – starała się tłumaczyć Baldwin. – Wojna bez żołnierzy. Czy nie tak będzie wyglądać przyszłość?

– O czym pani, do diabła, mówi? – Biksowi wciąż nie mijała złość.

– O genetycznie zmodyfikowanej broni biologicznej – powiedział Platt prawie szeptem. O tym właśnie rozmawiali z Biksem na lotnisku.

– Rozumiem, że odwiedziliście też ten drugi budynek zakładu. – Baldwin urwała, ale nie czekała na potwierdzenie. Wyglądało na to, że zastanawia się, co i ile wyjawić. – W całym kraju istnieją podobne zakłady. Większość z nich ma niezależne kontrakty, więc rząd może zaprzeczyć ich istnieniu. Wszystkie zlokalizowane są z dala od ludzkich oczu. Niektóre są tak małe jak ten w jednym z federalnych parków narodowych czy eksperymentalne poletko w samym środku pola kukurydzy należącego do jakiegoś farmera.

– Więc to skażenie było zamierzone – ponuro stwierdził Platt.

– Tak.

– Skurwysyn. – Bix dotknął palcami czoła i pokręcił głową.

– Ale to mięso nie było przeznaczone dla dzieci w szkołach. Ktoś pomylił jedno z trzech zamówień. To mięso nie miało pójść do szkół.

– A dokąd? – spytał Bix.

– Naprawdę nie wiem.

– No tak.

– Dość późno dołączyłam, nie zamierzają mnie we wszystko wtajemniczać. Ale wiem tyle, że to mięso nie miało pozostać w Stanach Zjednoczonych.

– I jak oni zamierzają z tego się wyplątać? – spytał Bix. – Mamy wyższe standardy, jeśli chodzi o eksport wołowiny i drobiu niż w przypadku importu? Nasi partnerzy handlowi z pewnością nie przyjmą zakażonej wołowiny.

– Nawet przy najlepszych zabezpieczeniach przechodzi niezauważenie, zwłaszcza jeśli to nowy szczep, którego nikt nie szuka. Dlaczego panów zdaniem wybrali zakład przetwórczy, który tak często robi testy na obecność bakterii? Bo wiedzą, że niczego nie wykryją.

Bix nie mógł już powstrzymać irytacji.

– Wie pani, że w Norfolku dzieci, które na pozór wyzdrowiały, znowu chorują? Ta bakteria mutuje, zmienia się... ale... no tak, przecież taki właśnie był zamiar jej twórców, prawda? – Baldwin milczała. Bix nie spodziewał się odpowiedzi, więc podjął: – Po co nas pani wysłała do Chicago? Dlaczego od razu mi pani tego wszystkiego nie powiedziała?

– Zapewniono mnie, że sprawą ktoś się zajął. Nie rozumie pan? Powiedziano mi, żebym wspierała swojego zwierzchnika. Wiecie, kto jest szefem mojego szefa. – Uspokoiła się i zerknęła przez ramię. Ostatnie grupy wycieczkowiczów już dawno wyszły. – To prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie mogę tak po prostu zapukać do jego drzwi i powiedzieć: Hej, a tak przy okazji, ten program broni biologicznej, który stworzyli pański sekretarz rolnictwa i sekretarz obrony, o mały włos nie zabił kilkudziesięciu uczniów.

– I nadal może ich zabijać – rzekł Platt. Naukowcy Biksa pracowali nad koktajlem antybiotyków z nadzieją, że zwalczą ten szczep, zanim wyrządzi nienaprawialne szkody.

– Czego pani od nas oczekuje? – chciał wiedzieć Bix.

– Jestem tylko nowym podsekretarzem. Ale jeśli CDC i USAMRIID razem z Armią Stanów Zjednoczonych przejmą nadzór? Może to zrobi jakąś różnicę.

– Proszę nam powiedzieć, co mamy robić – rzekł Platt, zanim Bix się wtrącił.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY PIĄTY

Nebraska

Ciemność była sprzymierzeńcem Maggie. Światło księżyca przedzierało się tutaj z rzadka, a Maggie starała się unikać jaśniejszych miejsc. Jej oczy już przywykły do ciemności, ale w niektórych częściach lasu poszycie zdawało się tak czarne, że niczego przed sobą nie rozróżniała. Wciąż polegała na innych zmysłach, bardziej wyczuwała drogę niż ją widziała.

Kiedy zrobiło się tak zimno? Pod bluzę wkradał się chłód. I dlaczego włożyła krótkie spodnie? Kolana miała do krwi podrapane, nogi także. Zęby szczękały. Musiała się szybko poruszać, nie zatrzymywać.

Nadal czuła ból w piersi, ale dźwięki nocy także jej sprzyjały. Śpiew cykad zagłuszał chrapliwy oddech i szelest suchych liści pod stopami. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje, śledzi. To nie mógł być Griffin. Wciąż widziała padające z góry światło latarki. Nie zszedł na dół, próbował stamtąd ją wytropić.

Z początku ją wołał. Obiecywał, potem zaczął grozić. Później ją przeklinał. A jednak nie odważył się zejść stromym zboczem. Nie była jednak aż tak naiwna, by łudzić się, że ma nad nim przewagę. Griffin znał ten las, na pewno znał skróty, więc łatwo odgadnie, którędy i dokąd poszła.

Na tyle suva rozpoznała specjalne okulary do noszenia w nocy. Czy on może ją widzieć? Czy naprawdę tak łatwo wyśledzić jej ruchy? Może czeka tylko na właściwy moment, żeby się na nią rzucić? Może czeka, aż Maggie straci siły. Wtedy nie będzie mu się opierała. Na każdym zakręcie spodziewała się go ujrzeć. Zdawało jej się, że widzi podejrzane cienie za drzewami. Przysięgłaby, że za plecami słyszy kroki Griffina.

Chciała się ukryć, znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby się skulić, zakopać pod gałęziami i liśćmi. Przykryć się sosnowymi igłami. Zaczekać do rana. Obolałe mięśnie bardzo się tego domagały. Ból w ramieniu żył własnym życiem. Próbowała się od niego odciąć.

Oddychaj, powtarzała sobie raz po raz. Idź naprzód. Nasłuchuj.

To stało się jej mantrą.

Kiedy wyszła na polanę, wpadła w poślizg i zatrzymała się. Ujrzała jakiś budynek, ale ani śladu życia. Żadnych świateł. Zawróciła do lasu, schowała się za drzewem i patrzyła na budynek z blachy falistej. Był niczym fatamorgana. Zastanawiała się, czy ma jakieś zwidy.

Potem sobie przypomniała, że tutaj znajdowała się szkółka leśna. I hala, o której mówiła Lucy. Nie pamiętała, co tam było. Taser zablokował część jej pamięci.

Starała się skupić. Griffin mówił coś o tej hali. Chciał, żeby młodzież trzymała się od niej z daleka. Dlaczego? Tego nie pamiętała. To nieważne. W każdym razie był jakoś związany z tym miejscem. Musiał wiedzieć, że Maggie tutaj

trafi. Że będzie ją kusiło, by się tutaj ukryć. Prawdę mówiąc, pewnie na to liczył.

A jednak wierzyła, że w środku znajdzie coś, czym będzie mogła przeciąć krępującą ręce plastikową zapinkę. I ciepło. Choćby na parę minut.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Julia nie znosiła szpitali. Powiedziała Rachel, że zaczeka na zewnątrz gabinetu, ale zatłoczony korytarz oddziału ratunkowego tylko zwiększał jej niepokój. Matka Julii zmarła w takim właśnie miejscu. Minęło prawie dwadzieścia lat, a tutaj jakby nic się nie zmieniło. Miała wrażenie, że wciąż na to patrzy oczami małej dziewczynki, a nie detektyw od spraw zabójstw.

Naprzeciw niej jakaś kobieta podtrzymywała zakrwawioną rękę. Rana od noża. Pod cienką zakrwawioną gazą Julia rozpoznała ranę. Zapewne winny był nóż kuchenny, ostrze z ząbkami. Wystarczyło jedno spojrzenie na towarzyszącego kobiecie mężczyznę o czerwonej twarzy, by zgadnąć, że to była domowa kłótnia, zakończona kompromisem – wybaczę ci, ale ty mnie zawieziesz do szpitala, żeby mi zaszyli ranę. Nie zgłoszą tego na policję. Wyczerpany stażysta zasypie ich pytaniami, ale w końcu w papierach napisze to, co wymyśli poszkodowana kobieta.

Kiedy Julia przeniosła uwagę na kolejną ofiarę, z gabinetu wyszła Rachel. Rozbieganym wzrokiem szukała Julii.

Julia podniosła się po krótkiej chwili. O Boże, jest niedobrze.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni nogi uginały jej się w kolanach. Czy to właśnie oznacza bycie w związku – niepokój, stres, strach? Dlaczego jej się wydawało, że czegoś jej brak? Samej było jej całkiem dobrze. Po prostu dobrze.

Nie, to nieprawda. Byłam samotna, powiedziała sobie.

Lawirując wśród kolejkowiczów czekających przy okienku rejestracji, zbierała siły tak samo jak wtedy, gdy zbliżała się do miejsca zbrodni. Ale tutaj było inaczej. Całkiem inaczej.

Ulga na twarzy Rachel, kiedy ją w końcu zobaczyła, sprawiła, że Julia spanikowała. Rachel szukała wsparcia u partnerki. To oczekiwanie, to zobowiązanie spadło jak wielki ciężar na ramiona Julii. Nie mogła tego zrobić. Nie była do tego zdolna.

Rachel wyciągnęła do niej ręce.

– Dali jej kroplówkę. CariAnne jest bardzo odwodniona. – Dolna warga Rachel drżała. Było coś więcej. Julia widziała to w jej oczach. – Mówią, że pozostałe dzieci z jej szkoły też są chore. Nie chcą mi powiedzieć, o co tutaj chodzi. – Obejrzała się przez ramię, nie chciała, żeby CariAnne ją usłyszała. – Jest źle. Chyba bardzo źle – szepnęła. Ściskała dłonie Julii aż do bólu. – Nie mogę jej stracić.

– Nie stracisz jej.

Dawniej Julia zawsze zostawiała sobie tak zwane luki bezpieczeństwa. Tworzyła je niemal natychmiast po wejściu w jakiś związek. To była – naprawdę tak uważała – inteligentna taktyka przetrwania. Nigdy sobie nie pozwalała na tak głębokie zaangażowanie, by bezpowrotnie

zatonąć. Niczym Houdini pilnowała swoich interesów, ponieważ jeśli ona tego nie zrobi, kto zrobi to za nią?

– Wracaj do CariAnne – powiedziała do Rachel.

– Jestem przerażona. Chodź ze mną.

Julia wzdrygnęła się. Więc tak się czuje człowiek ze złamanym sercem.

– Zaczekam tutaj – powiedziała. – Muszę coś zrobić.

Była zdziwiona, że brzmi tak przekonująco. Rachel kiwnęła głową, przetarła twarz, raz jeszcze uścisnęła dłonie Julii i wróciła do córki.

Julia oparła się o ścianę. Wciągała hausty zdezynfekowanego powietrza. Kiedy wyjęła telefon komórkowy, jej dłonie tak się trzęsły, że ledwie wybrała właściwy numer.

Czekała w nieskończoność rozdarta między złością a rozpaczą. Nie rozpozna jej numeru. Proszę, nie przełączaj mnie na pocztę głosową, błagała w duchu. Nie wiedziałaby, co powiedzieć i nie miałaby odwagi po raz drugi zadzwonić.

W końcu odpowiedział:

– Benjamin Platt, słucham.

– Mam prośbę – rzekła, zapominając się przedstawić.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY SIÓDMY

Nebraska

Kiedy Maggie w końcu przecięła zapinkę, ta nie spadła natychmiast z jej nadgarstków. Plastik ją pokaleczył, krew na nim zakrzepła i zaschła. Musiała wydłubywać plastikowy pasek z rowka wyżłobionego w skórze. Pod jednym z blatów z nierdzewnej stali znalazła spirytus. Otworzyła butelkę, wstrzymała oddech i polała pierwszy nadgarstek. Zacisnęła powieki i prawie zagryzła dolną wargę, żeby powstrzymać krzyk.

Nie mdlej, nakazała sobie. Nie wolno ci zemdleć.

Z drugim nadgarstkiem poszło łatwiej. Teraz, kiedy ręce miała znów wolne, w ogóle wszystko pójdzie łatwiej.

Gdy znalazła się w blaszanym budynku, nie potrzebowała żadnego światła, bo oczy szybko przywykły do poświaty z kilku rozstawionych tam zbiorników. Bez większego wysiłku odkryła parę nożyc do przystrzygania. Dopiero po kilku próbach udało jej się przy ich pomocy przeciąć plastikową zapinkę.

Wsadziła nożyce do kieszeni szortów i szukała czegoś, co posłużyłoby jej za broń.

Jedna część budynku wyglądała jak supernowoczesne laboratorium. Inna część przypominała mały zakład przetwórczy. Otworzywszy drzwi z grubego szkła, Maggie

natychmiast poczuła różnicę. Powiew ciepłego, suchego powietrza uderzył ją w twarz. Powietrze pachniało ziemią i roślinnością.

Niebieskie fluorescencyjne światła na podłodze wytyczały drogę jak na pokładzie samolotu. To wystarczyło, by poruszać się tym labiryntem. I widzieć zwisające z sufitu suszące się rośliny.

Maggie nie weszła daleko w głąb pomieszczenia. Nie znajdzie tam nic, co by jej się przydało. Ale gdy zawracała do wyjścia, rozpoznała liście wiszących w rzędach i suszących się roślin. Nawet we fluorescencyjnym świetle była prawie pewna, że przypominają te, które Lucy znalazła na miejscu zbrodni ukryte pod ciałem jednego z chłopców w plastikowym woreczku. Wielkość liścia, jego kształt, a także – z tego, co widziała – kolor wskazywały, że to szałwia boska.

Znalazłszy się z powrotem w głównej części budynku, Maggie szybko obeszła blaty, otwierała szuflady, równocześnie zerkając na drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. Ogromne wentylatory nad głową włączały się i wyłączały, zakłócając ciszę. Ktoś mógł już wejść do środka, a ona by go nie usłyszała, póki nie znalazłby się za jej plecami. Skupiła się na innych zmysłach. Czuła zapach czegoś mokrego i stęchłego, i zobaczyła, że jej buty do biegania są uwalane piaszczystym błotem. Wcześniej w suvie czuła tę samą woń. Czy pochodziła z ciężkich butów Mike’a Griffina?

Dawson mówił, że czuł zapach rzecznego mułu. Teraz rozumiała, skąd się brał.

Próbowała zorientować się, w której części lasu się znajduje. Co powiedział Griffin? Że zamierzał tylko odstraszyć dzieciaki. Nie chciał, żeby węszyły wokół budynku. To na pewno stąd wzięły szałwię. Jeśli chciał je odstraszyć, to znaczy, że budynek stoi niedaleko miejsca zbrodni.

Nie mogła dłużej tu zostać. Już i tak przekroczyła czas, który uznała za ryzykowny. Zygzakiem ruszyła do tylnych drzwi i wtedy ujrzała wysoką szafkę z oszklonymi drzwiami, w której znajdowało się coś podobnego do karabinu.

Podeszła bliżej, obchodząc najpierw jeden, a potem drugi blat z nierdzewnej stali. Nie zauważyła stopy, nie widziała mężczyzny na podłodze, dopóki na niego nie weszła. Odskoczyła, gotowa do ucieczki. Ale mężczyzna ani drgnął.

W niebieskiej poświacie dojrzała jego twarz – szeroko otwarte oczy, wypływający z kącika warg strumyczek krwi. Nie musiała go dotykać, by wiedzieć, że Wesley Stotter nie żyje.

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

Nie wolno się zatrzymywać.

Nie stój, nakazywała sobie. Nie oglądaj się za siebie.

Stać ją na to. Tak mówiła sobie Maggie, potykając się pod ciężarem przewieszonego przez ramię plecaka z karabinem. Przed sobą widziała żółtą taśmę, która zwisała z kilku drzew. Na ten widok poczuła kolejny skok adrenaliny. Da radę. Teraz nie może myśleć o Stotterze. Musi się skoncentrować na swoim zadaniu.

Strzelała z rozmaitej broni. Czy ten karabin bardzo się różni od takiego choćby kałasznikowa? Co prawda wyglądał inaczej, z tymi przewodami i baterią zamiast kul, ale nie miała czasu, żeby dokładnie się z nim zapoznać. Zresztą już samo dźwiganie było wielkim wyzwaniem. Wzięła także jeden z brudnych białych kombinezonów, które wisiały przy drzwiach. Rozpięła mankiety, podwinęła rękawy i włożyła kombinezon na szorty i bluzę. Ciepło pomogło jej ignorować dodatkowy ciężar.

Gdy tylko opuściła budynek, zdawało jej się, że coś usłyszała. Zaszeleściły liście, trzasnęła gałąź. Griffin nie potrzebowałby nawet specjalnych okularów, żeby ją wytropić. Ale dlaczego pozwolił jej uciec z karabinem?

Ponieważ uważał, że nie będę w stanie go użyć.

Odsunęła od siebie tę myśl.

Przez krótki moment cykady milczały, ale Maggie nie słyszała Griffina. Znowu dawał jej fory.

Pieprzony sukinsyn, skomentowała w duchu.

Gdzieś jakby trzasnęły drzwi samochodu. Maggie już nie widziała budynku ani polany. Griffin wiedział, że ona nie zajdzie za daleko. Zatrzyma się, poczeka i dostanie swoją ofiarę.

W ciągu kilku minut minęła żółtą taśmę. Znów znalazła się na miejscu zbrodni. Znajomy teren. Magie mogła przynajmniej usiąść i spokojnie się przygotować. Miała kilka rzeczy do zrobienia i liczyła, że starczy jej na to czasu.

Bez większego problemu znalazła to, czego szukała. Usiłowała przypomnieć sobie, co mówił Donny, a potem odetchnęła głęboko i zabrała się do pracy.

Od razu dojrzała Griffina. On także włożył biały kombinezon, co znaczyło, że był gotowy na wszystko. Wyobrażała sobie, co tamtej nocy zobaczyły te dzieciaki, kiedy do nich wyszedł. Dawson wspominał o białym wilku. Griffin wiedział, że szałwia ma działanie halucynogenne i wzmocni efekt jego przebrania. Tym razem nie włożył specjalnych okularów. Nie potrzebował ich. Maggie liczyła na jego pewność siebie. To dlatego wybrała największy cień, chociaż miała świadomość, że jej biały kombinezon też łatwo wypatrzyć.

– To koniec – rzekł, przystając parę metrów od Maggie.

Uniosła karabin i pstryknęła włącznik, co zabrzmiało podobnie jak napięcie sprężyny w wiatrówce.

Potem czekała.

Szedł wolno, ale bez wahania.

Trzymała palce na spuście. Jeszcze kilka kroków. Chciała zyskać pewność, że Griffin znajdzie się w zasięgu najsilniejszego działania broni. Pamiętała, co mówił Platt: cztery i pół do sześciu metrów. Pozwoli mu podejść tak blisko, jak to możliwe. Zbadała szczegóły, a przede wszystkim upewniła się, że przewód z plecaka do kolby nie został rozłączony. Nie było innych przycisków. Wszystko sprawdziła.

Cztery i pół metra.

Teraz ciemność nie była jej sprzymierzeńcem. Nie widziała twarzy Griffina. Nie była w stanie powiedzieć, czy się bał, czy może uśmiechał. Nie widziała nawet, co trzymał w ręce.

Było o wiele za ciemno.

– Bez zasilacza to do niczego. – Uniósł rękę z jakimś przedmiotem.

Maggie poczuła się tak, jakby ją ktoś kopnął w brzuch. Tym właśnie różniła się ta broń od innych. Wymagała źródła prądu. Do tego służył plecak. Czy Griffin blefuje? Czy broń wymaga jakiegoś zasilacza, jak na przykład bateria?

Podszedł bliżej.

Zignorowała spocone dłonie, szykowała się do ostatecznej rozgrywki. Griffin na pewno blefuje.

– Stój albo strzelam!

Nie zatrzymał się, a Maggie nacisnęła spust.

Nic.

Spróbowała ponownie, lecz głuche kliknięcie omal nie zatrzymało akcji jej serca. Słyszała śmiech Griffina, kiedy rzuciła karabin na ziemię i chwyciła paski ciężkiego plecaka, żeby jak najszybciej ściągnąć go z ramienia i uciekać.

Skoczył na nią. Nawet nie zauważył drutu, który rozciągnęła na wysokości piersi między dwoma drzewami, za którymi stała. Przewrócił się, upadł do tyłu.

Natychmiast go dopadła i obróciła na brzuch. Jego rażone prądem mięśnie były sztywne i skurczone. Nie poruszył się, kiedy go docisnęła kolanem do ziemi. Jego ręce drgnęły, ale nie miał nad nimi władzy. Pociągnęła je do tyłu i skrępowała plastikowymi zapinkami, które znalazła w budynku.

Mamrotał coś i paplał podobnie jak Dawson.

– Ty...y…y... suukoo.

Był o wiele potężniejszy niż Dawson. Wiedziała, że skutki rażenia prądem nie potrwają zbyt długo. Liną, którą zabezpieczali miejsce zbrodni, związała mu nogi w kostkach.

– Nie...e u...ciek...niesz.

Zignorowała go. Pot zmoczył wewnętrzną stronę kombinezonu. Jej palce pracowały sprawnie, sięgnęła po kolejną linę, żeby połączyć plastikowe zapinki z nadgarstków z liną na kostkach. Potem z całej siły ją pociągnęła, aż Griffin zgiął się wpół.

– Niech cię szlag.

Spętany, nie mógł się ruszyć. Mógł tylko krzyczeć, ile dusza zapragnie. Nie wahała się i końcówkę liny

przywiązała do drzewa.

– Dobra robota.

Maggie aż podskoczyła, gdy usłyszała te słowa. Odwróciła się. Oślepiona światłem latarki, rozpoznała sylwetkę i głos.

– To dzięki panu – powiedziała do szeryfa Franka Skylara.

– Najwyższa po...ra – wyjąkał Griffin.

Maggie spojrzała na szeryfa. Dopiero teraz zauważyła, że celował w nią bronią.

– Naprawdę powinna była pani pojechać do Denver – rzekł Skylar. – Świetnie byśmy sobie sami poradzili. Nikt więcej nie musiałby ucierpieć.

– Za...zastrzel ją.

Maggie kucała bezbronna. W oślepiającym świetle nie mogła nawet znaleźć gałęzi czy kamienia.

– Teraz będziemy musieli wymyślić jakąś smutną historię, jak to niejaki Stotter panią prześladował. Jakiż ten los niesprawiedliwy – mówił Skylar. – Oboje w tym samym czasie zaginiecie bez śladu.

– On mnie nie prześladował – odparła Maggie, zastanawiając się, czy to zrobi różnicę, jeśli zagra na zwłokę. Mięśnie ją rozbolały, przypominając, przez co przeszła.

– Taa, cóż, zabawne, jak się rodzą plotki.

– Za...zastrzel ją.

– Zamknij się! – krzyknął Skylar. – Mam dość sprzątania po tobie. Dlaczego nie zostałeś w Chicago? Ty i te twoje beznadziejne przekręty.

Wyciągnął rękę i przyłożył lufę do skroni Maggie. Metal był zimny i twardy.

Podniosła wzrok, zmuszając szeryfa, żeby spojrzał jej w oczy, choć nie widziała jego twarzy. W momencie wystrzału zobaczyła jedynie przelatujący wielki kłąb czarnego futra.

Poczuła, jak gorąco przypala jej skórę. Ból przeszył bok czaszki. Upadła bezwładnie na ziemię. Nie słyszała nic prócz wysokiego dźwięku dzwonka. Świat wokół niej wirował. Widziała skręcające się ciało Skylara. Usta miał otwarte, ale nie słyszała jego krzyku, tylko jakieś dzwonienie w głowie. Zobaczyła, że Skylar podtrzymuje swoją zalaną krwią rękę.

Zamknęła oczy, spodziewając się ciemności, właściwie pragnęła odpłynąć w nieświadomość.

Wtedy na swoim policzku poczuła coś mokrego i ciepłego.

Otworzyła oczy. Wielki czarny owczarek niemiecki lizał jej twarz.

PONIEDZIAŁEK

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii

Julia Racine niosła tacę z dwiema filiżankami kawy, dwoma czekoladowymi pączkami, lukrowanym pączkiem w kształcie obwarzanka i opakowaniem mleka czekoladowego. Pod jedną pachą ściskała egzemplarz „Washington Post”, pod drugą pluszowego misia koalę. Pielęgniarka pomogła jej otworzyć drzwi.

– Dzięki – powiedziała Julia i energicznie ruszyła korytarzem.

Już przywykła do zapachu środków odkażających i odgłosu monitorów w pogrążonych w półmroku pokojach. Powstrzymywała się przed zaglądaniem do innych pokoi. Nie chciała widzieć żadnych innych pacjentów prócz CariAnne.

Znalazła dziewczynkę i jej matkę zapatrzone w kolejne wydanie programu informacyjnego nadającego najnowsze wiadomości. Prowadzący zapowiadał konferencję prasową dotyczącą skażonej żywności w szkołach.

– Hurra! Pączki! – zapiszczały radośnie matka i córka, unosząc ręce.

– Przyniosłaś mojego misia!

CariAnne wyciągnęła dłoń po pluszową zabawkę, ale jej lewa ręka była wciąż podłączona do monitora. Poprawiła się

i spróbowała raz jeszcze.

Powiedziano im, że całe to urządzenie jest tylko na wszelki wypadek. Jak dotąd wszystkie przeprowadzone u dziewczynki testy na obecność różnych szczepów salmonelli wypadły negatywnie. Zalecony przez pułkownika Benjamina Platta koktajl antybiotyków wydawał się skuteczny, mimo to CariAnne miała go brać jeszcze przez dziesięć dni.

– Ciekawa kolumna dzisiaj – rzekła Julia, kładąc na boku „Washington Post” i sięgając po pączka.

– Uważaj, zaczynasz mówić jak moja fanka.

Julia miała na końcu języka, że długo chciałaby być jej fanką.

Na dole ekranu telewizora przesuwał się pasek z nowym komunikatem. Matka i córka uciszyły Julię, która usiadła z uśmiechem.

Potem na ekranie Julia zobaczyła Mary Ellen Wychulis, która weszła na podium. Nie wyglądała na ani trochę skrępowaną, zajmując miejsce swojej byłej szefowej. Jej nowy tytuł pojawił się w podpisie: Podsekretarz Agencji ds. Bezpieczeństwa Żywności. Gdyby Julia nie znała prawdy, pomyślałaby, że ta kobieta od lat zajmuje swoje stanowisko.

Wychulis wyjaśniała, co ich zdaniem spowodowało nagłe zachorowania uczniów w dwóch różnych szkołach w minionym tygodniu. Otóż jeden z dostawców Krajowego Programu Szkolnych Lunchów nie poinformował o zanieczyszczeniu w swoim zakładzie. Twierdziła, że wszystkie produkty z mielonej wołowiny zostały wycofane,

a poza tym, na wszelki wypadek, przez kilka najbliższych tygodni w szkołach nie będą podawane żadne potrawy z mielonej wołowiny.

Była żona Benjamina Platta wywarła na niej wrażenie, chociaż zdaniem Julii wypowiadała się jak urzędnik administracji rządowej, który łatwo ulega manipulacji. Oportunista gotowy wysilić się, może nawet wykonać zwód i wprowadzić kogoś w błąd, jeśli to konieczne, a wszystko jak zwykle w imię interesów.

Pamiętając wieczorne spotkanie w Departamencie Rolnictwa, Julia zastanawiała się, czy rzeczywiście wszystko jest już pod kontrolą. Czy znaleziono tę faktycznie odpowiedzialną osobę, czy może to Irene Baldwin zapłaci za zatrucie mięsa, do którego tak naprawdę doszło przed jej nominacją. Ale to jest polityka. Jeśli Julia się nie myliła, sekretarz rolnictwa był kumplem prezydenta. Ledwie kilka dni temu ten człowiek był bardziej niż szczęśliwy, niesprawiedliwie obwiniając o całe to zamieszanie nieszczęsną pracownicę kuchni.

Julia próbowała się skupić na konferencji prasowej. Wychulis oznajmiła, że nie będzie odpowiadała na pytania.

Oczywiście, że nie będzie odpowiadała na pytania.

Ale potem powiedziała tłumowi dziennikarzy, że przedstawi kogoś, kto to zrobi. Nowego członka gabinetu. Właśnie tego ranka prezydent dokonał oficjalnej nominacji, zastępując nową osobą swojego starego przyjaciela, który niespodziewanie przeszedł na emeryturę.

Nie, twierdziła stanowczo Wychulis, to nie ma nic wspólnego z ostatnimi wydarzeniami. Zbieżność jest zupełnie przypadkowa.

Potem pomachała do kogoś, kto stał po jej lewej stronie, i po chwili przedstawiła nową sekretarz rolnictwa Irene Baldwin.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY

Hasley, Nebraska
Kościół katolicki pod wezwaniem św. Jana

W niewielkim kościele zebrało się kilkaset osób, a jednak kiedy Maggie weszła do środka, przysięgłaby, że wszystkie oczy zwróciły się na nią. Starała się ukryć zdziwienie, widząc Johnny'ego Bosha w trumnie tuż przy wejściu. W niebieskim garniturze i czerwonym krawacie wyglądał tak spokojnie. Potem zobaczyła leżącą obok ciała piłkę i słuchawki, a także kabel i iPoda, który wystawał z kieszeni. Nagle poczuła napływające do oczu łzy.

Pięcioro nastolatków straciło życie. Dla każdej społeczności to zbyt duża strata. Pogrzeby zaplanowano na cały tydzień. Maggie zmusiła się do uczestniczenia w tym jednym, choć Lucy nalegała, żeby została w łóżku i odpoczywała. Kula Griffina drasnęła czaszkę. Zostanie blizna pod włosami, kiedy już odrosną. Na razie udało jej się zakryć większość szwów, przenosząc przedziałek na drugą stronę.

Miała dwa złamane żebra, trochę zadrapań i mnóstwo siniaków, ale w przeszłości bywało o wiele gorzej. Rany się zagoją, zostanie po nich kilka nowych szram. Resztę postara się spakować i wcisnąć do nowej szufladki w swojej pamięci. Potem będzie miała masę czasu na odpoczynek.

Kunze dał jej tydzień wolnego. Nie było żadnego kazania, żadnej kary, żadnego zawieszenia – prawdę mówiąc, żadnego wyjaśnienia. Powiedział tylko, że przez następny tydzień nie chce jej widzieć w pracy. Ona zaś nie chciała myśleć o tym, ile Kunze naprawdę wiedział na temat okaleczania bydła, kiedy ją wysłał do Sandhills. Pewnie nikt nigdy nie pozna całej prawdy.

Jak się okazało, Mike Griffin był nie tylko inżynierem. Po wojnie w Iraku zatrudnił się w Departamencie Obrony Stanów Zjednoczonych i został bioinżynierem. Kilka lat temu przeniósł się do Chicago do mieszczącej się tam firmy badawczej. Jego nowy pracodawca podpisał kontrakt z rządem federalnym na wykorzystanie hali w parku narodowym do hodowli, testów i rozwoju hybrydowych szczepów. Projekt wydawał się nieszkodliwy, dlaczego więc Griffin i Frank Skylar posunęli się do tego, by powstrzymać pasierbicę Griffina i jej przyjaciół przed zbliżaniem się do budynku?

– Chciałem ich tylko nastraszyć – powiedział Griffin do Maggie. Ale nie wytłumaczył, dlaczego. Nie wyjawił też zagadki ogromnych zbiorników wypełnionych pływającymi w nich bydlęcymi organami, nie powiedział też, jak te organy się tam znalazły ani w jakim celu ich używano. Maggie zdała sobie sprawę, że niezależnie od zbiorników prawdopodobnie nigdy nie zdobędą dość dowodów, by połączyć Griffina i jego pracodawcę z okaleczaniem bydła. Podejrzewała jednak, że fantastyczna historia Wesleya

Stottera o czarnych operacyjnych śmigłowcach i tajnych rządowych testach może wcale nie być wytworem fantazji.

Odciski ciężkich roboczych butów Griffina odpowiadały śladom pozostawionym na miejscu zbrodni i w szpitalu. Oskarżono go o usiłowanie zabójstwa Dawsona i Maggie. Griffin i Skylar byli też przesłuchiwani w sprawie śmierci Kyle'a i Lucasa, a także Wesleya Stottera.

Dawson Hayes powiedział Maggie, że zamierzali nagrać kamerą swoje eksperymenty z narkotykami i zamieścić je na YouTubie, a jednak śledczy nie znaleźli żadnej kamery. Późnym niedzielnym wieczorem nagranie pokazało się na YouTubie. Stanowi i federalni śledczy wciąż usiłowali odkryć, kto za tym stoi. Ziarnisty obraz nie pozwalał nikogo zidentyfikować, ale uchwycił broń laserową w akcji i wyjaśnił pokaz świateł, który widzieli młodzi ludzie.

Zapach kadzidła wypełnił nozdrza Maggie, przenosząc ją do teraźniejszości. Za ogromnymi podwójnymi drzwiami dojrzała w przebłysku grupę około dziesięciu starych kobiet z pochylonymi głowami. Palcami przesuwały paciorki różańca, ich wargi ledwie się poruszały w modlitwie. Maggie niewiele zapamiętała z tej mszy, podczas której odbyła się procesja, paliły się świece, a chór kolegów z klasy Johnny'ego śpiewał pieśni kościelne.

Siedząc między Lucy Coy a Donnym Fergussenem, próbowała się od tego odciąć, patrząc na okno z witrażem. Poranne słońce rozpalało pomarańczowe, czerwone i fioletowe szkło, przenosząc tęczę kolorów na ściany.

Maggie nie mogła nie zauważyć ironii w tym, że tragedia zaczęła się od pokazu świateł i tym samym się zakończyła.

Jeśli chodzi o Courtney, Nikki i Johnny'ego, Maggie wierzyła, że byli ofiarami tyranii Amandy. To ona, a nie Johnny, inicjowała imprezy z narkotykami. W ten sposób zatrzymywała przy sobie wszystkie te osoby, które chciała, by pozostały w jej życiu, zaś innych się pozbywała. Donny Fergussen dotarł także do wiadomości tekstowych wymienianych między Courtney, Nikki a Amandą kilka sekund przed wypadkiem samochodowym. Bolesne i paskudne oskarżenia, które wysłała Amanda, z pewnością nie były bezpośrednim powodem wypadku, ale wystarczyły, by zdekoncentrować dziewczyny.

Maggie zerknęła przez nawę na Dawsona i jego ojca. Dawson wciąż był blady i bardzo osłabiony. Miała ochotę spakować mu torbę i wysłać go w jakieś bezpieczne miejsce.

Lucy ją poprosiła, żeby została u niej kilka dni, i Maggie się zgodziła. Ostatniego wieczoru podczas rozmowy telefonicznej Platt mówił z troską o jej obrażeniach, jak lekarz, który troszczy się o pacjenta. Prosił ją nawet, żeby mu pozwoliła zamienić kilka słów z Lucy. Chciał się upewnić, że Maggie jest pod dobrą opieką. Ale Maggie nie chciała być jego pacjentką. Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że jedyne, czego pragnie, to jego obecność. Żeby nie wyjść na osobę potrzebującą i bezbronną, koniec końców powiedziała Plattowi, że czuje się dobrze i że zobaczą się po jej powrocie do Waszyngtonu pod koniec

tygodnia. Wyjaśniła, że podróż powrotna samochodem zajmie jej dwa dni. Już zdecydowała, że zabierze ze sobą Jake’a i nie polecą samolotem.

Kiedy tłum wyszedł z kościoła, Maggie z ulgą odetchnęła świeżym powietrzem. Zapach kadzidła przyprawiał ją o zawrót głowy. Czuła, że Lucy podtrzymuje ją za łokieć. Zamiast jednak zapewnić ją, że wszystko jest w porządku, Maggie pozwoliła jej opiekować się sobą. Przeszły na bok i czekały, aż inni zejdą po schodach i tłum zrzednie. Miały świetny punkt obserwacyjny.

Dopiero kiedy Lucy szturchnęła ją łokciem, Maggie go dojrzała po drugiej stronie ulicy. Benjamin Platt pomachał jej i ruszył, wymijając ludzi wsiadających do samochodów.

– Jest przystojniejszy, niż sobie wyobrażałam – powiedziała Lucy.

Torując sobie drogę, Platt wbiegł po schodach. Kiedy przedstawiał się Lucy, zerkał na mizerną twarz Maggie. Chciała mu powiedzieć, że niepotrzebnie fatygował się taki szmat drogi, żeby się nią zaopiekować. Że nic jej nie jest. Zanim cokolwiek powiedziała, pocałował ją ostrożnie i delikatnie, a mimo to nie mogła złapać tchu i już nie miała wątpliwości, że jest dla niego kimś więcej niż tylko pacjentką.

– Pomyślałem, że przyda się wam z Jakiem towarzystwo w drodze powrotnej. – Platt uśmiechnął się, po czym dodał: – Ale muszę cię uprzedzić, że uwielbiam melodie z musicali.

ROZDZIAŁ SIEDEMDZIESIĄTY PIERWSZY

Chicago

Przed południem Roger Bix przyjechał do zakładu przetwórstwa mięsnego w północnej części Chicago. Od jego poprzedniej wizyty w tym miejscu w towarzystwie Platta minęło zaledwie czterdzieści osiem godzin. Tym razem jednak przywiózł ze sobą federalnych egzekutorów w trzech czarnych suvach.

Jechali do odległego końca zakładowego parkingu i zatrzymali się przy ogrodzeniu z łańcucha.

Bix natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak.

Budka strażników była pusta. Nikt ich nie zatrzymywał przy wejściu.

Na pierwszy rzut oka budynek wyglądał na opuszczony. W przejściu łączącym laboratoria z zakładem przetwórczym nie było już umundurowanego personelu ani opancerzonych pojazdów.

Zespół Biksa czekał, aż egzekutorzy wysiądą z suvów. Potem Bix wprowadził ich do budynku. W holu nikt ich nie przywitał. Korytarze były ciemne i puste, podobnie jak pokoje i laboratoria. Nigdzie nie było śladu mężczyzn ani kobiet w białych laboratoryjnych fartuchach, nie było

cyfrowych mikroskopów, komputerów ani rzędów monitorów. Nie było Philipa Tegana. Nie było tam nikogo.

Cały zakład został opróżniony i stał teraz kompletnie pusty.

PODZIĘKOWANIA

Po pierwsze i najważniejsze, dziękuję moim czytelnikom. Wasza nieustająca lojalność i wsparcie pozwalają mi robić to, co kocham.

Moim przyjaciółkom Sharon Car, Marlene Haney, Sandy Rockwood i Patricii Sierra dziękuję za to, że od początku tej wspaniałej zwariowanej przygody nie pozwoliły mi zwariować.

Do Patricii Bremer i jej męża Martina kieruję wyrazy wdzięczności za to, że są moimi oczami i uszami na zachodnim froncie. Cieszę się ogromnie, że nie zostaliście aresztowani, przygotowując pozorowane miejsca zbrodni w Parku Narodowym w Nebrasce.

Danowi Frodshamowi, Recowi Techowi i Bobowi Forestowi, strażnikom Parku Narodowego w Nebrasce, wyrażam podziękowania za mapy i wszelką inną pomoc. Mam tylko nadzieję, że oddałam sprawiedliwość naszemu wspaniałemu parkowi. Wybaczcie, proszę, że korzystając ze swobody twórczej, pozwoliłam sobie wprowadzić tam pewne zmiany.

Melissie Connor, profesorowi nadzwyczajnemu i szefowej programu Medycyny Sądowej na Uniwersytecie Wesleyan w Nebrasce, a także jej studentom: Jeffowi Rathmanowi, Kimberly Van Den Akker, Nikki Brophy, Amandzie Ruzickiej, Leron West i Kody Connelly dziękuję za to, że poświęcili

cale popołudnie na nakręcenie filmu wideo w uniwersyteckim Crime Scene House dla mojej strony internetowej. Melissie dziękuję również za pomysły dotyczące miejsca zbrodni, które znajduje się na otwartym powietrzu, i za wgląd w system powoływania i pracy koronerów w stanie Nebraska. Nasze rozmowy są zawsze nadzwyczaj (morderczo) pouczające.

Gary'emu Plankowi, profesorowi nadzwyczajnemu Uniwersytetu Wesleyan w Nebrasce i emerytowanemu śledczemu, który przygotowywał też portrety psychologiczne przestępców, dziękuję za odpowiedzi na moje pytania dotyczące Patrolu Stanowego i jurysdykcji w odniesieniu do miejsca zbrodni.

Annie Belatti, doświadczonej pielęgniarce z oddziału urazowego, dziękuję za bezcenne informacje na temat porażenia prądem elektrycznym i ewentualnych skutków owinięcia się drutem kolczastym.

Leigh Ann Retelsdorf, sędzinie Sądu Okręgowego w Nebrasce i emerytowanej prokurator hrabstwa Douglas, która zwykle pomaga mi mordować moje ofiary, tym razem dziękuję za sięgnięcie do wiedzy z biologii i podzielenie się ze mną ciekawostkami na temat fauny i flory Parku Narodowego w Nebrasce.

Prawdziwej Mary Ellen Wychulis należą się podziękowania za szczodrą darowiznę dla Narodowego Stowarzyszenia Stwardnienia Rozsianego i za to, że pozwoliła mi nazwać jej imieniem i nazwiskiem moją bohaterkę. Prawdziwa Mary Ellen Wychulis, o ile wiem,

nigdy nie pracowała w Departamencie Rolnictwa, a wszelkie podobieństwo jest absolutnie przypadkowe.

Dziękuję mojemu fantastycznemu zespołowi w Doubleday, prowadzonemu przez mojego wydawcę i redaktorkę Phyllis Grann. Specjalne wyrazy wdzięczności dla Judy Jacoby za jej nieskończoną troskę i uwagę, a także za traktowanie każdej mojej powieści, jakby była pierwszą i jedyną.

Podziękowania należą się także Little Brown UK: Catherine Burke i Davidowi Shelleyowi.

Rayowi Kunzemu, po raz kolejny, za użyczenie swojego imienia i nazwiska nowemu szefowi Maggie. Ray nie zdawał sobie sprawy, co to znaczy, kiedy sam prosił mnie o to, by znaleźć się na kartach powieści. Raz jeszcze, dla pamięci, przypominam, że prawdziwy Ray Kunze to dżentelmen i fantastyczny facet, który nigdy nie wysłałby agentki O'Dell do Sandhills w Nebrasce, żeby szukała winnych okaleczeń bydła.

Księgarzom i tym, którzy książki kupują, bibliotekarzom, recenzentom i blogerom w całym kraju za to, że wspominają o moich powieściach i je polecają.

Przepraszam mieszkańców Sandhills w Nebrasce i mieszkańców North Platte za to, że pozwoliłam sobie na pewne zmiany w geografii i miejscach takich jak szpital Great Plains, gdzie, wedle mojej wiedzy, w rzeczywistości nie ma tylu pięter i klatek schodowych, co w mojej powieści.

Na koniec dziękuję farmerom, hodowcom bydła i producentom żywności w naszym kraju, którzy nie tylko

znakomicie nas karmią, ale też dbają o bezpieczeństwo naszej żywności. Po wycofaniu ze sprzedaży szpinaku w 2006 roku rolnicy i producenci zjednoczyli siły i wypracowali bezpieczniejszy i bardziej skuteczny system zapobiegania zatruciu żywności w przyszłości. Zrobili to sami na długo przedtem, zanim rząd federalny zakończył oficjalne śledztwo.

Kiedy w grudniu 2010 skończyłam redakcję tej powieści, w Kongresie głosowano nad nową ustawą dotyczącą bezpieczeństwa żywności. To była reakcja na wycofanie z rynku jajek na przełomie sierpnia i września tego samego roku. O ironio, ogromne zmiany nastąpiły wyłącznie w regulacjach Amerykańskiej Agencji ds. Żywności i Leków, nie obejmując Departamentu Rolnictwa, który bezpośrednio nadzoruje jakość wołowiny, drobiu i właśnie jaj.

Tytuł oryginału:
Hotwire

Pierwsze wydanie:
Doubleday, a division of Random House, Inc., Nowy Jork 2011

Opracowanie graficzne okładki:
Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne:
Władysław Ordęga

Korekta:
Ewa Popławska

© 2011 by S.M. Kava
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin

Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25
www.harlequin.pl

ISBN 9788323896739

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.